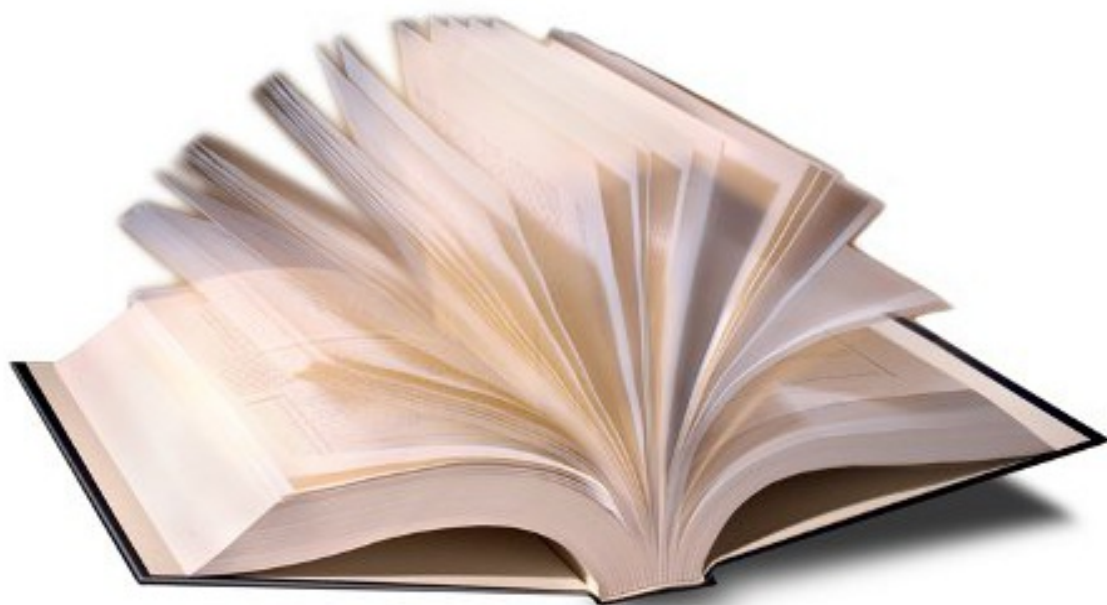


# Klasyka literatury



**e-tekst.pl**  
*twoja czytelnia*

# JERRY Z WYSP

Jack London

# OD AUTORA

Nieszczęściem dla niektórych powieściopisarzy jest fakt, że w umysłowości przeciętnego człowieka fantazja i fałsz są równoznaczne. Przed kilku laty opublikowałem powieść z Mórzu Południowych. Akcja toczyła się na Wyspach Salomona. Krytycy i recenzenci pochwalili ją jako godny uznania wytwór wyobraźni. Ale co się tyczy prawdy — utrzymywali, że nie ma jej tam w ogóle. Oczywiście — twierdzili. — każdemu wiadomo, że żadnych kudłatych ludożerców nie spotyka się już na świecie, a tym bardziej nie biegają oni na golasa odrąbując głowy sobie nawzajem, przy sposobności zaś i białym ludziom.

Otóż, posłuchajcie. Piszę te słowa w Honolulu, na Hawajach. Wczoraj, nad brzegiem morza w Waikiki, zagadnął mnie jakiś obcy człowiek. Wspomniał w rozmowie naszego wspólnego znajomego, kapitana Kellara. Kiedy u brzegów Wysp Salomona uległem katastrofie okrętowej na pokładzie „Minoty”, statku przewożącego Murzynów, uratował mnie właśnie ów Kellar, kapitan podobnego statku — „Eugenie”. Nieznajomy powiedział mi, że czarni ucięli Kellarowi głowę. Był dobrze poinformowany. Występował jako przedstawiciel matki kapitana Kellara przy likwidacji jego majątku.

Słuchajcie dalej. Kilka dni temu otrzymałem list od pana C. M. Woodforda, komisarza-rezydenta brytyjskich Wysp Salomona. Wrócił właśnie na swoje stanowisko po dłuższym urlopie, spędzonym w Anglii, gdzie umieścił syna w Oxfordzie. Na półkach niemal każdej czytelnicy publicznej można odnaleźć książkę zatytułowaną „Naturalista wśród łowców głów”. Naturalistą tym jest pan C. M. Woodford. On właśnie napisał tę książkę.

Ale wróćmy do listu. Omawiając swoje codzienne zajęcia napomknął w nim krótko i mimochodem o pewnym szczególnym zadaniu, z którym się wreszcie uporał. Przyczyną zwłoki był jego pobyt w Anglii. Zadanie to polegało na wysłaniu ekspedycji karnej na sąsiednią wyspę, a przy sposobności na odzyskaniu głów kilku naszych wspólnych znajomych — pewnego białego kupca, jego żony i dzieci oraz białego kancelisty. Ekspedycja powiodła się, a pan Woodford kończył jej opis następującymi słowy: „Specjalnie nie uderzyło mnie to, że nie było widać bólu i przerażenia na ich twarzach, które raczej zdawały się wyrażać pogodą i spokój”. Zważcie, że mówił tu o mężczyznach i kobietach swojej własnej rasy, których znał dobrze i którzy zasiadali z nim do stołu.

Inni przyjaciele, z którymi ja nieraz osobiście zasiadałem do stołu w junackich, wesołych czasach mego pobytu na Wyspach Salomona, zginęli również — w taki sam sposób. Boże kochany! Kiedyś popłynąłem na tekowym keczu „Minota” na wyspę Malaita, po Murzynów, i zabrałem ze sobą żonę. Na drzwiach naszej maleńkiej kajuty widoczne jeszcze były świeże ślady ciosów toporka, świadczące o wypadku, jaki wydarzył się przed paroma miesiącami. Wypadkiem tym było ucięcie głowy kapitanowi Mackenzie, który w tym czasie dowodził statkiem „Minota”. Kiedyśmy zawinęli na Langa-Langa, odpływał stamtąd krążownik brytyjski „Cambrian”, który właśnie zbombardował jedną z wiosek.

Nie należy obciążać tego wstępnego słowa do mej opowieści dalszymi szczegółami, których — stwierdzam to uroczyście — posiadam pod dostatkiem. Ufam, że w pewnej mierze przekonałem was, że przygody mojego psa, bohatera tej książki, są prawdziwymi przygodami w bardzo prawdziwym kanibalskim świecie. Moi drodzy! Kiedy zabrałem żonę w podróż na „Minocie”, znaleźliśmy na pokładzie rozkoszną irlandzką terierkę, która uganiała się za Murzynami, miała gładką sierść jak Jerry, na imię zaś Peggy. Gdyby nie Peggy, książka niniejsza nigdy nie zostałaby napisana. Suczka ta należała do wspaniałego kapitana statku „Minota”. Oboje takżeśmy się w niej rozkochali, że po katastrofie statku moja żona bezwstydnie i z premedytacją ukradła ją kapitanowi. Co więcej,

przyznaję, że równie bezwstydnie i z premedytacją współuczestniczyłem w owym przestępstwie. Takeśmy pokochali Peggy! Droga, królewska, wspaniała suczka, która znalazła grób w morzu, u wschodnich wybrzeży Australii!

Muszę dodać, że Peggy, podobnie jak Jerry, urodziła się nad laguną Meringe, na plantacji Meringe, położonej na wyspie Ysabel w sąsiedztwie wyspy Florida, gdzie znajduje się siedziba władz i gdzie zamieszkuje komisarz-rezydent, pan C. M. Woodford. Co więcej, powiem na zakończenie, że znałem dobrze ojca i matkę Peggy, i nieraz robiło mi się ciepło na sercu, kiedy widziałem ową wierną parkę gnającą bok w bok po plaży. On miał w rzeczywistości na imię Terencjusz. Ona nazywała się Biddy.

*JACK LONDON*

*Waikiki*

*Honolulu, Oahu*

*5 czerwca 1915 r.*

Jerry'emu nie śniło się nawet, że czeka go coś niedobrego, dopóki Mister Haggin nie wsadził go sobie nagle pod pachę i nie wskoczył na rufę oczekującej szalupy. Przez całe sześć miesięcy życia Jerry'ego Mister Haggin był jego ukochanym panem. Jerry nie znał Mister Haggina jako „pana”, gdyż wyraz „pan” nie figurował w słownictwie Jerry'ego, który był gładkowłosym, złotopłowym terierem irlandzkim.

Ale w jego słownictwie „Mister Haggin” posiadało ten sam ustalony dźwięk i znaczenie, co wyraz „pan” ma dla ludzi, gdy określa ich stosunek do psów. Jerry słyszał, że „Mister Haggin” było dźwiękiem, który kancelista Bob i dozorca plantacji, Derby, zawsze wydawali zwracając się do jego pana. Podobnie słyszał, że dwunożne istoty ludzkie, które z rzadka przybywały do nich w odwiedzinach na pokładzie statku „Arangi”, mówiły do jego pana: „Mister Haggin”.

Jednakże psy są tylko psami i w jakiś nieokreślony, bezmowny, błyskotliwy, pełen uwielbienia sposób wadliwie oceniają ludzi. Mają o swoich panach lepsze mniemanie i żywią do nich większe uczucie, niżby to uzasadniały fakty. „Pan” oznacza dla nich — tak jak „Mister Haggin” dla Jerry'ego — coś więcej, wiele więcej niż dla ludzi. Człowiek uważa siebie za „pana” własnego psa, ale pies uważa swego pana za „boga”. Otóż wyraz „bóg” nie należał do słownictwa Jerry'ego, mimo że posiadał on już dosyć wyraźny i wcale spory zasób słów. „Mister Haggin” był to dźwięk oznaczający „boga”. W sercu i głowie Jerry'ego, w tajemnym ośrodku wszelkich jego poczynań, który nazywa się świadomością, dźwięk „Mister Haggin” zajmował to samo miejsce co „Bóg” w świadomości ludzkiej. Jako słowo i dźwięk „Mister Haggin” miało dla Jerry'ego ten sam walor co wyraz „Bóg” dla ludzi wierzących. Krótko mówiąc, Mister Haggin był bogiem Jerry'ego.

Tak więc, gdy Mister Haggin czy bóg, czy jak to nazwać zważywszy ograniczenia mowy, podniósł Jerry'ego z władcą stanowczością, wsadził go sobie pod pachę i wsadł do szalupy, której czarna załoga natychmiast pochyliła się nad wiosłami, Jerry od razu zdał sobie z niepokojem sprawę, że zaczyna się dziać coś niezwykłego. Nigdy dotychczas nie był na pokładzie statku „Arangi”, który teraz przybliżał się i rósł mu w oczach za każdym ruchem wiosła.

Ledwie przed godziną Jerry przyszedł z zarządu plantacji nad brzeg morza, aby się przyjrzeć odpłynięciu „Arangi”. Już dwukrotnie w swoim półrocznym życiu doświadczył tych rozkosznych wrażeń. Było bowiem czymś prawdziwie rozkosznym móc biegać tam i z powrotem po białej plaży z miążskiego piasku koralowego, brać udział w ogólnym podnieceniu, a nawet je powiększać pod roztropnym kierownictwem Bidy i Terencjusza.

Można tu było także napastować Murzynów. Jerry nienawidził ich od urodzenia. Kiedy był jeszcze skomlącym szczeniakiem, pierwsze doświadczenia pouczyły Jerry'ego, że jego matka, Bidy, i ojciec Terencjusz nienawidzą czarnych. Czarny był czymś, na co należało warczeć. Jeżeli nie był chłopcem do posług, mogło się go atakować, gryźć i tarmosić, kiedy się znalazł w obrębie osady. Robiła to Bidy. Robił to Terencjusz. W ten sposób służyli swemu bogu — Mister Hagginowi. Krajowcy byli pośledniejszymi dwunożnymi stworzeniami, które wykonywały niewolniczą pracę dla dwunogich białych panów i mieszkały w odległych barakach roboczych — byli czymś o tyle gorszym i niższym, że nie śmieli zbliżać się do siedzib swych władców.

Napastowanie Murzynów miało posmak przygody. Jerry pojął to, gdy tylko nauczył się skradać. Było w tym pewne ryzyko. Dopóki Mister Haggin albo Derby czy Bob znajdowali się w pobliżu, Murzyni przyjmowali to biernie. Ale zdarzało się, że białych panów nie było. Wtedy hasło brzmiało: „Strzeż się czarnych!” Można ich było zaczepiać jedynie z należytą ostrożnością. Pod nieobecność

białego pana nie tylko pomrukiwali i łypali spode łba, ale atakowali psy kijami i kamieniami. Jerry był świadkiem, jak poturbowali jego matkę, i zanim nauczył się przezorności, sam dostał w wysokich trawach cięgi od Godarmy'ego, krajowca, który nosił na piersiach porcelanową gałkę od drzwi zawieszoną na sznurku uplecionym z włókien kokosowych. Nie koniec na tym. Jerry pamiętał też drugą przygodę w trawach, kiedy to razem ze swoim bratem, Michaeliem, rzucił się na Oumiego, innego Murzyna, który wyróżniał się tym, że na piersi nosił kółka zębate od budzika. Michael oberwał wtedy tak mocno po głowie, że jego lewe ucho pozostało na zawsze okaleczone i zmieniło się w mały, uschły, podwinięty kikut.

I na tym jeszcze nie koniec. Brat Jerry'ego, Patsy, i jego siostra, Kathleen, zapodziali się gdzieś przed dwoma miesiącami i zniknęli na dobre. Wielki bóg, Mister Haggin, szalał po całej plantacji. Przetrząsnięto gąszcze. Oćwiczono pół tuzina Murzynów. Mimo to Mister Hagginowi nie udało się rozwiązać zagadki zniknięcia Patsy i Kathleen. Ale Biddy i Terencjusz wiedzieli. Wiedzieli także Michael i Jerry. Czteromiesięczny Patsy i Kathleen poszli do kotła w barakach dla czarnych, a ich miękkie, szczenięce skóry zostały zniszczone w ogniu. Jerry wiedział o tym, podobnie jak jego ojciec, matka i brat, gdyż wszyscy oni nieomylnie zwietrzyli zapach przypalonego mięsa, a Terencjusz, doprowadzony do pasji tą świadomością, zaatakował nawet chłopca do posług, Mogoma, za co otrzymał naganę i razy od Mister Haggina, który nic nie zwietrzył i nic nie zrozumiał, a zawsze starał się wpajać dyscypliną wszystkim istotom żyjącym pod jego dachem.

Natomiast na plaży, kiedy czarni, którym kończył się okres pracy na plantacji, przychodzili niosąc swe skrzynki na głowach, aby odpłynąć statkiem „Arangi”, uganianie się za Murzynami przestawało być niebezpieczne. Była to ostatnia okazja do załatwienia dawnych porachunków, gdyż ci, którzy odpływali, nie wracali już nigdy. Na przykład tego właśnie rana Biddy, pamiętając lanie, jakie potajemnie spuścił jej Lerumi, wbiła mu zęby w nagą łydkę i wywróciła go do wody razem ze skrzynką tudzież całym doczesnym dobytkiem, po czym uśmieła się zeń, pewna opieki Mister Haggina, ubawionego tym epizodem.

Prócz tego na „Arangi” znajdował się zwykle przynajmniej jeden dziki pies z buszu, na którego Jerry i Michael mogli z plaży ujadać do utraty tchu. Pewnego razu Terencjusz, który był prawie tak duży jak airedale i równie nieulekły — Terencjusz Wspaniały, jak go nazywał Tom Haggin — dopadł takiego psa na plaży i spuścił mu przerozkosne lanie, do którego Jerry i Michael, a także żyjący jeszcze wówczas Patsy i Kathleen dołączyli wiele rozgłośnych naszczekiwań i bolesnych ukąszeń. Jerry nigdy nie zapomniał uniesienia, jakie go ogarnęło, kiedy kłapnąwszy zębami poczuł w pysku sierść o wyraźnym psim zapachu. Dzikie psy były psami — uznawał je za swoich krewnych — ale różniły się przecież od jego szlachetnej rasy, były jakieś” inne, pośledniejsze, podobnie jak czarni w porównaniu z Mister Hagginem, Derby'm i Bobem.

Teraz Jerry przestał spoglądać na zbliżający się „Arangi”. Biddy, już nauczona poniesionymi' przedtem dotkliwymi stratami, przysiadła na samym skraju plaży, przednimi łapami w wodzie, i zawodziła żałośnie. Jerry wiedział, że rozpacza za nim, bo i jego czułym, namiętym sercem targnął ten przejmujący, choć niejasno uświadomiony ból matki. Nie rozumiał, co wróży, czuł tylko, że widocznie ma go spotkać jakaś klęska i katastrofa. Kiedy obejrzał się na lamentującą ostrowłosą Biddy, zauważył krążącego troskliwie obok niej Terencjusza. I on też miał szorstką sierść, podobnie jak Michael, Patsy i Kathleen; z całej rodziny bowiem tylko Jerry był gładkowłosy.

Co więcej — choć Jerry o tym nie wiedział w przeciwieństwie do Toma Haggina — Terencjusz był iście królewskim, kochankiem i pełnym oddania małżonkiem. Jerry od pierwszej chwili życia pamiętał, jak Terencjusz biegał z Biddy całymi milami po plażach albo alejkach pośród palm kokosowych, jak obydwójce bok w bok gnali z roześmianymi pyskami, pełni najszczerzej radości.

Ponieważ oprócz braci, sióstr i kilku z rzadka pojawiających się dzikich przybyszów były to jedyne psy, jakie Jerry znał, nie przychodziło mu nawet do głowy, że nie wszystkie psy i suki żyją w tak wiernym stadle. Ale Tom Haggin wiedział, że to bardzo niezwykle. „Dobra krewi — mawiał często ciepłym głosem, spoglądając na, nie wzrokiem pełnym czułego uznania. — Ten Terencjusz to dżentelmen, taki czworonożny człowiek. Prawdziwy pies-człowiek, psiak równy jak jego cztery nogi. A tyle w nim krzepy, że słowo daję, tę swoją dobrą krew, trzeźwą głowę i dzielne serce przekaże do tysięcznego pokolenia!”

Terencjusz nie objawiał głośno" swojego smutku, jeżeli w ogóle go czuł, ale fakt, że biegał naokoło Biddy, świadczył, że troska się o nią. Natomiast Michael zaraził się od matki rozpaczą i siadłszy obok począł gniewnie oszczekiwać coraz bardziej oddalającą się łódź, tak samo jakby oczekiwał na każdego wroga skradającego się z szelestem przez dżunglę. Ten widok także zapadł w serce Jerry'emu, potwierdzając domysł, że czeka go jakiś nie znany jeszcze, zły los.

Po sześciu miesiącach życia Jerry rozumiał bardzo wiele i bardzo mało zarazem. Wiedział — nie myśląc o tym wcale i nie zdając sobie sprawy, że wie — dlaczego Biddy, mądra i dzielna Biddy, nie postępuje zgodnie z nakazem serca, który rozbrzmiewał w jej głosie, i nie skacze do wody, by za nim popłynąć. Gdy kiedyś wielka puarka (co w słownictwie Jerry'ego, wraz z chrząknięciami i kwikiem, stanowiło kombinację dźwięków czy też wyraz oznaczający „świnie”) usiłowała pożreć go, przypartego do wysokiej ściany domu na plantacji, Biddy osłaniała go jak lwica. I jak lwica rzuciła się na kuchcika, który uderzył Jerry'ego kijem chcąc go przepędzić z kuchni. Bez zmużenia oka czy choćby jednego pisku przyjęła cios, po czym przewróciła czarnego i jęła go tarosić wśród garnków i patelni, póki nie odciągnął jej (warczącej po raz pierwszy) Mister Haggin, który nie złąjał Biddy, natomiast zwymyślał kuchcika za to, że ośmielił się podnieść rękę na czworonożne zwierzę będące własnością boga.

Jerry wiedział, dlaczego matka nie skacze za nim do wody. Słone morze, podobnie jak połączone z nim laguny, było tabu. „Tabu” jako wyraz czy dźwięk nie istniało w słownictwie Jerry 'ego. Natomiast definicja i znaczenie tego słowa tkwiły dojmująco w jego świadomości. Mglisto, niewyraźnie, a jednak nieodparcie wyczuwał, że dla każdego psa wejście do wody jest rzeczą nie tylko nie wskazaną, ale w najwyższym stopniu katastrofalną i że zagraża mu niejasno przeczuwanym, ostatecznym unicestwieniem. Albowiem w wodzie — to na powierzchni, to wynurzając się z głębin — pływały bezgłośnie ogromne, łuskowate potwory o potężnych szczękach i straszliwych zębiskach, pochłaniające psa jednym błyskawicznym kłapnięciem, podobnie jak drób Mister Haggina dziobiąc pochłaniał ziarno.

Często słyszał, jak ojciec i matka, bezpieczni na brzegu, wściekali się i wyszczekiwalili swoją nienawiść do tych straszliwych mieszkańców morza, którzy ukazywali się na powierzchni tuż przy plaży, niby pływające pnie drzewne. Wyraz „krokodyl” nie należał do słownictwa Jerry'ego. Stanowił obraz, obraz pływającej kłody, która tym się różniła od innych kłód, że była żywa. Jerry, który słyszał, zapamiętywał i rozpoznawał liczne wyrazy. będące dla niego tak samo narzędziami myśli jak dla ludzi, ale który z urodzenia i natury nie był obdarzony artykułowaną mową i przeto nie mógł ich wypowiadać, posługiwał się w swoich procesach myślowych obrazami, tak jak ludzie mówiący — słowami. A zresztą i ludzie obdarzeni artykułowaną mową, chcąc nie chcąc, posługują się w trakcie myślenia obrazami, które odpowiadają słowom i rozszerzają ich treść.

Być może w mózgu Jerry'ego wysuwający się na pierwszy plan świadomości obraz pływającej kłody wytwarzał bliższe i pełniejsze pojęcie owego przedmiotu, niż słowo „krokodyl” wraz z towarzyszącym mu obrazem może wytworzyć w świadomości ludzkiej. Jerry bowiem w gruncie rzeczy wiedział o krokodylach więcej niż zwykli ludzie. Potrafił zwiertzyć krokodyla z większej

odległości i w sposób bardziej różnicujący niż którykolwiek człowiek, nawet nadmorski dzikus czy mieszkaniec buszu. Umiał wyczuć, że o sto stóp, na miękkim kobiercu dżungli, leży cicho i nieruchomo, być może śpiąc, krokodyl, który wypełznął z laguny.

Lepiej znał język krokodyli niż ktokolwiek z ludzi. Miał lepsze środki i możliwości po temu. Znał ich rozmaite odgłosy, podobne do pochrząkiwań i bulgotania. Wiedział, kiedy wyrażają gniew, lęk, głód i miłość. A każdy z tych dźwięków był dokładnie tak samo wyrazem należącym do jego słownictwa, jak wyrazy ze słownictwa ludzkiego. Owe krokodyle odgłosy były też narzędziami myśli. Za ich pomocą rozważał, osądzał i określał swoje własne postępowanie, tak samo jak człowiek — i podobnie jak człowiek, przez lenistwo nie podejmował żadnych decyzji, lecz tylko notował i utrwał sobie jasne zrozumienie czegoś, co wprawdzie działo się wokół niego, ale nie wymagało żadnej czynności z jego strony.

Mimo wszystko jednak Jerry nie wiedział bardzo wielu rzeczy. Nie wiedział mianowicie, jaka jest wielkość świata. Nie wiedział, że laguna Meringe, od tyłu osłonięta zalesionymi górami, od przodu zaś przybrzeżnymi wysepkami koralowymi, nie jest bynajmniej całym światem. Nie wiedział, że to zaledwie cząsteczka wielkiej wyspy Ysabel, która z kolei jest jedną z tysiąca innych, niejednokrotnie znacznie większych, tworzących razem Wyspy Salomona, a, oznaczonych przez ludzi na mapie garstką kropek wśród bezmiaru zachodniej części południowego Pacyfiku.

Co prawda, istniało jakieś „gdzieś, indziej” czy „gdzieś dalej”, które niejasno sobie uświadamiał. Ale tak czy owak było to tajemnicą. Z niej wyłaniały się nagle rzeczy, które oglądał po raz pierwszy. Na plantacji Meringe zjawiały się ni stąd, ni zowąd nie widziane dotychczas kurczęta, puarki i koty. Raz nawet zdarzył się najazd przedziwnych, rogatych i włochatych czworonogów, których obraz, zanotowany, w mózgu Jerry'ego, można by odnaleźć w mózgach ludzkich pod nazwą „kóz”.

To samo było z Murzynami. Zjawiali się nagle z Nieznanego, z owego „Skądś” czy „Gdzie Indziej”, które dlań było zbyt nieuchwytnie, aby mógł o nim cokolwiek wiedzieć. Przybywali niespodziewanie, rośli, z przepaskami na biodrach, z kościanymi kolcami przewleczonymi przez nosy, i chodzili po plantacji Meringe, a Mister Haggin, Derby i Bob zapędzali ich do roboty. Ich przybycie Jerry nieodzownie kojarzył z przyplłynięciem „Arangi”. Dalej już się nie wgłębiał, wyjąwszy tylko skojarzenie pochodne, a mianowicie, że znikanie tych ludzi zbiega się również z odjazdem statku.

Jerry nie wnikał w owe zjawiania się i znikania. Nigdy nie przychodziło mu do złotopłowej głowy, żeby zainteresować się tą sprawą czy też próbować ją rozwikłać. Przyjmował to tak samo jak wilgotność wody czy ciepło słońca. Tak już się działo w życiu i na tym znanym mu świecie. Jego mglista świadomość była po prostu świadomością czegoś — zresztą odpowiadającą dosyć dokładnie posiadanej przez przeciętnego człowieka mglistej świadomości tajemnic narodzin, śmierci, Nieznanego, o których nie ma określonego pojęcia. Nie da się zaprzeczyć, że kecz „Arangi”, statek handlowy, przewożący Murzynów na Wyspach Salomona, musiał być w mózgu Jerry'ego odpowiednikiem tajemniczej łodzi, krążącej między tym a tamtym światem, i znaczył dlań tyle, co ongiś dla ludzi owa łódź Charona, która przepływała się przez Styks. Z nicości przybywali ludzie. I w nicość odchodzili. A zawsze przybywali i odchodzili na „Arangi”.

I właśnie na „Arangi” płynął tego rozprężonego do białości, podzwrotnikowego poranka Jerry, trzymany pod pachą przez Mister Haggina, podczas gdy na plaży zawodziła żałośnie Bidy, a naiwny Michael wyszczeniwał wieczyste wyzwanie młodości, rzucane Nieznanemu.



Z szalupy na pokład „Arangi” był tylko jeden krok nad niską burtą oraz sześciocalowym relingiem z drzewa tekowego; Tom Haggin z łatwością postawił ten krok trzymając wciąż Jerry'ego pod pachą. Pokład był zatłoczony arcyciekawym tłumem. Arcyciekawy byłby on dla nieotrząskanych ludzi ze świata cywilizacji, i taki też był dla Jerry'ego; natomiast dla Toma Haggina i kapitana Van Horna stanowił pospolity objaw codziennego życia.

Pokład był niewielki, ponieważ niewielki był statek „Arangi”. Pierwotnie elegancki jacht z drzewa tekowego, z mosiężnymi okuciami, wzmocniony żelaznymi kątownikami, obity niczym krążownik blachami z miedzi i zaopatrzony w spiżowy fałsz-kil, sprzedany został na Wyspy Salomona do przewożenia czarnych niewolników. Jednakże prawnie handel ten podniesiono do wyższej godności za pomocą terminu „werbowanie”.

„Arangi” był więc statkiem werbującym siłę roboczą i transportował świeżo pochwytych czarnych ludożerców z odległych wysp — do pracy na nowych plantacjach, gdzie biali ludzie przemieniali wilgotne i niezdrowe moczary i dżungle w bogate, wspaniałe gaje kokosowe. Oba maszty „Arangi” sporządzone były z oregońskiego cedru, tak wypolerowanego i natartego na gorąco parafiną, że w świetle słońca błyszczały niczym płowe opale. Duża powierzchnia ożaglowania pozwalała statkowi płynąć szybko jak strzała i sprawiała, że kapitan Van Horn, jego biały oficer i piętnastu czarnych z załogi mieli niekiedy pełne ręce roboty, Statek liczył sześćdziesiąt stóp długości, a belek podtrzymujących pokład nie osłabiały żadne nadbudówki. Jedynymi otworami (dla których zresztą nie musiano przecinać pokładników) były: świetlik głównej kabiny i zejście kajutowe, luk na dziobie i drugi, niewielki luk na rufie, wiodący do ładowni.

Na tym to ciasnym pokładzie przebywali oprócz załogi „powracający” Murzyni z trzech dalekich plantacji. Termin „powracający” oznaczał, że upłynęły już trzy lata, na które zawarli umowę o pracę i że zgodnie z tą umową odstawiano ich do rodzinnych wiosek na dzikiej wyspie Malaita. Dwudziestu z nich — dobrze znanych Jerry'emu — wracało z plantacji Meringe, trzydziestu przybywało z Zatoki Tysiąca Okrętów na Wyspach Russella, a pozostałych dwunastu z Pennduffryn na wschodnim brzegu Guadalcanaru. Oprócz nich — a wszyscy znajdowali się na pokładzie, paplając piskliwie dziwnymi, nieledwie elfimi falsetami — byli tam jeszcze dwaj biali, kapitan Van Horn i jego oficer, Duńczyk Borckman, co w sumie wynosiło siedemdziesiąt dziewięć głów.

— Myślałem, że w ostatniej chwili nie starczy panu odwagi — powitał Haggina kapitan Van Horn, którego oczy zabłyśły z zadowolenia na widok Jerry'ego.

— Ano, niewiele brakowało — odrzekł Tom Haggin. — W każdym razie robię to tylko dla pana. Jerry jest najlepszy z całego miotu poza Michael'em, rzecz jasna, bo tylko one dwa zostały, chociaż te, co zginęły, też nie były gorsze.

Kathleen to była kochana suka, zrobiłaby się z niej wykapana Bidy, gdyby żyła. No, bierz go pan.

Raptownie złożył Jerry'ego na rękach Van Horna, odwrócił się i odszedł.

— A jakby mu się stało co złego, to nigdy panu nie daruję, kapitanie! — rzucił szorstko przez ramię.

— Wpierw musieliby mi głowę uciąć — roześmiał się kapitan.

— To nie takie nieprawdopodobne, kochany — mruknął Haggin. — Meringe jest dłużne plemieniu Somo cztery głowy; trzech umarło na dyzenterię, a na czwartego dwa tygodnie temu zważyło się drzewo. I jeszcze na dobitkę był synem wodza.

— Owszem, a „Arangi” winien jest Somo jeszcze dwie głowy — przytaknął Van Horn. — Pamięta pan? Jakiśmy zeszłego roku płynęli na południe, jeden gość nazwiskiem Hawkins utonął razem z szalupą w przesmyku Arli. — Haggin odchodząc, kiwnął głową. — Miał on w szalupie dwóch chłopaków z Somo. Zwerbowałem ich do plantacji Ugi. Razem z tymi pańskimi „Arangi” jest dłużny sześć głów. Ale co z tego? Istnieje taka nadmorska wioska, której jest winien osiemnaście. Zwerbowałem ich do Aolo, a że pochodzili z plemienia nadmorskiego, więc ich załadowano na „Sandfly”, który zatonął w drodze do Santa Cruz. Już tam, na wybrzeżu, zebrali grubsze składki... daję słowo, że ten, co by zdobył moją głowę, zostałby drugim Carnegie! Dla gościa, który mnie złapie i dostarczy, uzbierali we wsi sto pięćdziesiąt świń i nie wiadomo ile pieniędzy muszelkowych.

— No, nie udało im się... jak dotąd! — parsknął Haggin.

— Nie ma obawy! — brzmiała wesoła odpowiedź.

— Pan mówi tak, jak kiedyś Arbuckle — zauważył Haggin. — Nie raz to słyszałem. Biedny, poczciwy Arbuckle ! Najmądrzejszy i najostrożniejszy gość, jaki w ogóle miał do czynienia z czarnuchami. Nigdy nie położył się spać, póki nie rozsypał na pokładzie całego pudełka gwoździ, a jak już nie gwoździ, to chociaż zmiętych gazet. Dobrze pamiętam — mieszkaliśmy wtedy na wyspie Florida pod jednym dachem — jak raz wielki kot zapędził karalucha w te papierzyska. A wtedy on pęc, pęc, pęc, dwa razy po sześć z dwóch wielgachnych pistoletów, i podziurawił całą chałupę jak durszlak. No i rąbnął tego kota. Umiał strzelać po ciemku nie widząc celu; pociągał cyngiel środkowym palcem, a wskazujący trzymał wyprostowany wzdłuż lufy. Tak, tak, kochany. To był kawał chłopca i oko miał dobre. Nie było takiego dzikusa, który by sięgnął po jego głowę. A przecie dobrali się do niego, a jakże. Czternaście lat wytrzymał. I to jego własny kuchcik! Odrąbał mu toporkiem głowę przed śniadaniem. Dobrze pamiętam, jakieśmy za drugim razem wybrali się w busz po to, co z niego zostało.

— Widziałem jego głowę, kiedyście ją oddali komisarzowi w Tulagi — dodał Van Horn.

— I taki miał pogodny, spokojny, zwyczajny wyraz twarzy, prawie ten sam uśmiech, który tysiąc razy widziałem ! Tak mu jakoś przysechł nad ogniem. Dobrali się do niego, choć to trwało czternaście lat. Niejedna głowa jedzie na Malaitę i zostaje na karku, ale w końcu ją zabierają jak ten stary garnek.

— Ja tam potrafię dać sobie z nimi radę — upierał się kapitan. — Jak tylko kłuje się coś niedobrego, idę prosto do nich i mówię im parę słów z głowy. Nie mogą się połapać. Myślą, że mam jakieś potężne, czarodziejskie lekarstwo.

Tom Haggin nagle wyciągnął dłoń na pożegnanie, uparcie odwracając wzrok od Jerry'ego, którego Van Horn trzymał na ręku.

— Miej pan oko na tych, którzy ode mnie wracają, póki nie wysadzisz ich co do jednego na ląd — ostrzegł przełaząc przez burtę. — Nie mają powodu kochać Jerry'ego ani jego krewniaków, a za nic bym nie chciał, żeby któryś dzikus zrobił mu coś złego. W nocy, po ciemku, można go łatwo machnąć za burtę i do widzenia. Nie spuszczaaj pan ich z oka, póki nie wyprawisz ostatniego.

Gdy Jerry zobaczył, że Mister Haggin zostawia go i odpływa szalupą, szarpnął się i przyciszonym, żalonym skomleniem dał wyraz swemu niepokojowi. Kapitan Van Horn przytulił go mocniej i pogładził wolną ręką.

— Nie zapominaj pan o umowie! — zawołał Tom Haggin oddalając się coraz bardziej. — Gdyby coś się panu stało, Jerry ma wrócić do mnie!

— Spiszę to na papierze i dołączę do dokumentów okrętowych! — brzmiała odpowiedź Van Horna.

Pośród rozlicznych słów znanych Jerry'emu było też jego własne imię. W tym, co mówili obaj mężczyźni, rozpoznał je parokrotnie i wyczuł niejasno, że ich rozmowa dotyczy owej mglistej, nieodgadnionej a strasznej rzeczy, która się z nim dzieła. Szarpnął się jeszcze mocniej, a Van Horn postawił go na pokładzie. Jerry skoczył do relingu szybciej, niż można by się spodziewać po nieporadnym, sześciomiesięcznym szczeniaku i choć Van Horn natychmiast próbował go zatrzymać, nie zdołałby tego zrobić, gdyby Jerry nie odskoczył na widok wody chlupoczącej o kadłub „Arangi”. Tabu podziałało. Powstrzymał go jaśniejący w mózgu obraz pływającej kłody, która nie była kłodą, lecz żywą istotą. Nie było to rozumowanie, ale instynkt, który przeobraził się w nawyk.

Jerry usiadł na krótkim ogonku, uniósł ku niebu złocisty pyszczek i wydał długie, szczenięce wycie, pełne przerażenia i żalu.

— No dobrze, dobrze, malutki — uspokajał go Van Horn. — Weźże się w kupę i bądź mężczyzną.

Ale Jerry nie dał się ubłagać. Chociaż miał niewątpliwie do czynienia z białoskórym bogiem, jednakże nie był to jego bóg. Mister Haggin był jego bogiem i to bogiem wyższego rzędu. Nie myśląc o tym Jerry uznawał ów fakt. Jego Mister Haggin nosił spodnie i buty. Natomiast bóg stojący przy nim na pokładzie przypominał raczej Murzyna. Nie tylko nie nosił spodni, chodził boso i miał gołe nogi, ale jak pierwszy lepszy krajowiec był owinięty jaskrawą przepaską, która niby szkocki kilt opadała mu prawie aż na opalone kolana.

Kapitan Van Horn był przystojnym i okazałym mężczyzną, choć Jerry tego nie wiedział. Jeżeli kiedykolwiek prawdziwy Holender zstąpił z obrazu Rembrandta, to był nim właśnie kapitan Van Horn, pomimo że urodził się w Nowym Jorku, podobnie jak wszyscy jego przodkowie od czasów, gdy Nowy Jork nie był jeszcze Nowym Jorkiem, lecz Nowym Amsterdamem. Stroju kapitana dopełniał nasadzony zawadiacko na bakier miękki, filcowy kapelusz, wyraźnie rembrandtowski w charakterze, tors okrywał tani, bawełniany podkoszulek, a u pasa dyndał kapciuch z tytoniem, nóż w pochewce, magazynki pełne naboju i olbrzymi pistolet w skórzanej kaburze.

Na plaży Bidy, która stłumiła już swą boleść, poczęła znowu zawodzić, słysząc wycie Jerry'ego. A Jerry zamilknąwszy na chwilę, aby posłuchać, rozróżnił zajadłe szczekanie Michaela i nie uświadamiając sobie tego, ujrzał nagle jego okaleczone ucho, zadarte uparcie do góry. I kiedy kapitan Van Horn oraz oficer Borckman wydawali rozkazy, a grot-żagiel i bezan „Arangi” poczęły wjeżdżać na maszty, Jerry wyładował całą swą żalność serdeczną w wyciu, które tam, na plaży, Bob, rozmawiając z Derbym, nazwał „największym wyczynem wokalnym”, jaki słyszał u psa, i dodał, że gdyby nie trochę zbyt cienki głos, sam Caruso nie umywałby się do Jerry'ego. Jednakże owa pieśń przekraczała wytrzymałość Haggina, który wysiadłszy na ląd przywołał gwizdnięciem Bidy i szybkim krokiem oddalił się z plaży.

Na widok znikającej Bidy, Jerry popisał się jeszcze bardziej carusowskimi efektami, które sprawiły ogromną radość stojącemu obok krajowcowi, powracającemu z Pennduffryn. Roześmiał się i począł drwić z Jerry'ego chichocząc cienko na poły ptasim, na poły ludzkim głosem, przypominającym bardziej krzyki stworzeń żyjących w dżungli niż głos człowieka, prawdziwego człowieka, a zatem boga. To okazało się wybornym środkiem przeciwdziałającym. Jerry'ego ogarnęło oburzenie, że byle czarnuch wyśmiewa się z niego, i w następnej chwili ostre jak igły, szczenięce zęby naznaczyły nagą łydkę zdumionego dzikusa długimi, równoległymi bruzdami, z których natychmiast trysnęła krew. Czarny odskoczył z przerażeniem, ale krew Terencjusza Wspaniałego odezwała się w Jerry'm, który wzorem ojca pognał za nim i rozorał drugą łydkę krwawymi krechami.

W tej chwili, właśnie gdy podniesiono kotwicę i wciągnano przednie żagle, kapitan Van Horn,

którego bystremu oku nie uszedł żaden szczegół tego wydarzenia, rzucił rozkaz czarnemu sternikowi i obrócił się, by pochwalić Jerry'ego.

— Dobrze, Jerry! — zachęcał psa. — Bierz gol Potrząśnij nimi Potarłoś! Weź go! Weź go!

Murzyn broniąc się wymierzył kopniaka Jerry'emu, który miał odskoczyć, rzucił się naprzód — co było jeszcze jednym dziedzictwem po Terencjuszu — i w ten sposób uniknął uderzenia bosej stopy oraz nakreślił następną serię równoległych czerwonych krech na ciemnej łydce. Tego już było za wiele i czarny, bojąc się bardziej Van Horna niż psa, zawrócił i czmychnąwszy w stronę dziobu schronił się na świetliku kajutowym, gdzie leżało osiem karabinków Lee-Enfield, strzeżonych przez jednego z członków załogi. Jerry począł srożyć się wokół świetlika, na próżno usiłując nań wskoczyć, póki kapitan Van Horn go nie odwołał.

— To ci dopiero poganiacz Murzynów z tego psa! — zwierzył się Van Horn Borckmanowi nagradzając Jerry'ego głaskaniem i należną pochwałą.

A Jerry pod dotknięciem pieszczotliwej dłoni boga — aczkolwiek boga nie noszącego spodni — na chwilę zapomniał o swoim losie.

— Prawdziwy lew z tego psiaka; podobniejszy jest do airedale'a niż do irlandzkiego teriera — mówił Van Horn, wciąż głaszcząc Jerry'ego. — Patrz pan, jaki już duży. A jak zbudowany I Co za wspaniała pierś! Ma krzepę. Będzie z niego pies nie lada, jak się rozrośnie proporcjonalnie do tych swoich łap.

Jerry właśnie przypomniał sobie o swym zmartwieniu i już chciał rzucić się przez pokład do relingu, aby spojrzeć na Meringe malejącą z każdą sekundą w oddali, gdy wtem w żagle uderzył podmuch południowo-wschodniego pasatu i przygiął „Arangi” burtą do wody. Jerry ześliznął się i osunął po pokładzie, pochylonym pod kątem czterdziestu pięciu stopni, na próżno usiłując przytrzymać się pazurami gładkiej powierzchni. Oparł się dopiero o podstawę bezanmasztu, podczas gdy kapitan Van Horn, który swym marynarskim okiem wypatrzył przed dziobem rafę koralową, dawał rozkaz: „Ster na wiatr!”

Borckman i czarny sternik powtórzyli jak echo jego słowa i kiedy okręcono koło sterowe, „Arangi” błyskawicznie wyostrzył, po czym natychmiast wyprostował się pośród łopotu, żagli i chrobotania szkotów .

Jerry, wciąż zapatrzony w Meringe, skorzystał z poziomej pozycji pokładu, by się pozbierać i popęznąć ku relingowi. Jednakże zatrzymał go zgrzyt bloków grot-szkota na tęgim wodzidle, w chwili gdy grot-żagiel, dostawszy wiatr z przeciwnej strony, przelatywał nad nim jak szalony. Jerry dzikim skokiem uniknął niebezpieczeństwa (nie mniej dzikiego susa dał Van Horn, śpieszący mu na ratunek) i znalazł się wprost pod bomem, nad którym ogromny grot-żagiel piętrzył się, jakby miał runąć i zmiażdżyć go.

Było to pierwsze zetknięcie Jerry'ego z żaglami. Nie znał tych bestii, a tym bardziej ich obyczajów, ale w jego pamięci gorzało żywe wspomnienie jastrzębia, który — gdy Jerry był jeszcze maleńkim szczeniakiem — runął nań z nieba w samym środku osady. Pod grozą przepotężnego uderzenia Jerry przywarł do pokładu. W górze, spadając nań jak grom, zawisł skrzydlaty jastrząb, niepomniernie większy od tamtego. Ale w skuleniu się Jerry'ego nie było ani śladu strachu. Przycupnął tak, by zebrać się w sobie, poddać wszystkie komórki ciała władzy ducha, przygotować się do skoku i pochwycić w locie ową potworną, groźną rzecz; Lecz oto w następnym ułamku sekundy grot-żagiel, znów zazgrzytawszy blokami po wodzidle, przeleciał na przeciwną stronę i wydał się na drugim halsie tak szybko, że Jerry skoczywszy nie zdążył dopaść nawet jego cienia.

Van Hornowi nie wymknął się żaden szczegół tej sceny. Nieraz już widywał młode psy doprowadzone do prawdziwych konwulsji strachu przy pierwszym spotkaniu z wypełniającymi

niebo, przesłaniającymi światło, czyhającymi w górze żaglami. Ten pies był pierwszym, który w jego oczach skoczył nieulękle z wyszczerzonymi zębami, ażeby podjąć walkę z potężnym Nieznanem.

Wiedziony odruchem podziwu Van Horn podniósł Jerry'ego z pokładu i chwycił go w objęcia.

Jerry chwilowo zapomniał zupełnie o Meringe. Pamiętał dobrze, że jastrząb miał ostre szpony i dziób. Trzeba więc było mieć się na baczności przed tym trzepoczącym, gromowym potworem. Toteż Jerry, zebrany do skoku, wciąż usiłując utrzymać się na śliskim, pochyłym pokładzie, nie spuszczał oczu z grot-żagla i wydawał przyciszone pomruki za lada jego ruchem.

„Arangi” lawirował pod wiatr między koralowymi wyspami wąskiego toru wodnego. To wymagało częstych zmian halsu, toteż w górze grot-żagiel ustawicznie przelatywał z lewej burty na prawą i z powrotem, czyniąc hałas podobny do świstu skrzydeł, ostro strzepując ref-linkami i donośnie chrobocząc po wodzidle. Kiedy tak przelatywał w górze, Jerry z pół tuzina razy doskakiwał do niego, rozwierając pysk do ukąszenia, poddzierając wargi nad czyściutkimi, szczenięcymi zębami, które błyszczały w słońcu niby cacka z kości słoniowej.

Ponieważ chybiał za każdym skokiem, doszedł więc do pewnego wniosku. Należy tu zanotować mimochodem, że wniosek ten był owocem określonego aktu rozumowania. Na podstawie kolejnych obserwacji owej rzeczy, która ciągle groziła mu ponawianymi atakami, Jerry stwierdził, że ani razu nie zadała ciosu, ani nawet nie zdołała go dotknąć. A więc — aczkolwiek wcale nie myślał o tym, że myśli — nie była widać tak groźna i niszcząca, jak zrazu mniemał. Może było i dobrze wystrzegać się jej, ale w klasyfikacji Jerry'ego zajęła już miejsce jako coś, co wydaje się straszne, lecz straszne nie jest. Podobnie nauczył się dawniej nie czuć lęku przez szumem wiatru między palmami, kiedy leżał zwinięty w kłębek na werandzie domu na plantacji, ani też przed atakiem fal, które nadlatując z sykiem i hukiem na plażę rozplływały się u jego stóp w nieszkodliwą pianę.

Po wielekroć w ciągu owego dnia Jerry czujnie i nonszalancko, nieledwie z ironiczną wyższością przekrzywiał głowę zerkając na grot-żagiel, kiedy ten przelatywał nagle albo targał się napinając z chrzęstem szkoty. Ale psiak już nie gotował się do skoku. Była to pierwsza lekcja i opanował ją szybko.

Załatwiwszy się z grot-żaglem Jerry powrócił myślą do Meringe. Ale nie było już Meringe, nie było też na plaży Bidy, Terencjusza ani Michaela; nie było Mister Haggina, Derby'ego ani Boba; nie było plaży, lądu z pobliskimi palmami i dalekimi górami, które wiecznie wznosiły w niebo swoje zielone wierzchołki. Ilekroć Jerry oparł przednie łapy na sześciocalowym relingu i wyjrzał — widział z prawej i lewej burty, przed dziobem i za rufą tylko ocean, pomarszczony i skłębiony, a jednak karnie toczący pod naporem pasatu swe białogrzywe fale.

Gdyby miał oczy człowieka, znajdujące się prawie o dwa jardy wyżej niż jego własne, i gdyby to były wytrawne oczy marynarza, mógłby dojrzeć w kierunku północnym płaskie pasemko wyspy Ysabel, a na południu mglisty zarys Florydy, ukazującej się coraz wyraźniej, w miarę jak „Arangi” płynął pełnymi zakosami, gnany południowo-wschodnim pasatem. Gdyby zaś mógł korzystać z lunety, którą kapitan Van Horn przedłużał zasięg swego wzroku, byłby zobaczył na wschodzie dalekie szczyty Malaity, nad nimi zaś pierzaste, różowawe obłoczki.

Ale dla Jerry'ego najbardziej bezpośrednia była terażniejszość. Wcześniej poznał żelazne prawo bezpośredniości i nauczył się przyjmować to, co jest w danej chwili, miast zaprzętać sobie głowę jakimiś odległymi sprawami. Morze było. Lądu już nie było. „Arangi” był na pewno, razem z tym wszystkim, co żyło na jego pokładzie. Jerry począł więc zapoznawać się z tym, co jest — krótko mówiąc, badać nowe otoczenie i przystosowywać się do niego.

Zrobił pierwsze rozkoszne odkrycie: znalazł szczeniaka dzikiego psa z wyspy Ysabel, którego wioził na Malaitę jeden z powracających z Meringe krajowców. Pies był rówieśnikiem Jerry'ego, ale

różnił się od niego rasą. Był sobie zwyczajnym, dzikim psem, który skrada się chyłkiem, z uszami stale zwieszonymi, ogonem niezmiennie wtulonym pod siebie, wciąż boi się nowego nieszczęścia czy sponiewierania, zawsze jest wystraszony i nieufny, złośliwie szczerzy szczeniące kły w obawie przed krzywdą, kuli się pod ciosem, piszczy ze strachu i bólu, zawsze gotów zdradziecko ukąsić, jeżeli okoliczności sprzyjają, a niebezpieczeństwo nie grozi.

Dziki pies był dojrzały od Jerry'ego, roślejszy i bardziej przebiegle złośliwy, natomiast Jerry miał krew błękitną, dobry rodowód i odwagę. Dziki pies był owocem równie ścisłej selekcji, ale selekcji innego rodzaju. Puszczańscy przodkowie, od których pochodził, ostali się dzięki selekcji strachu. Nigdy dobrowolnie nie podejmowali walki z silniejszym przeciwnikiem. Na otwartym polu nie atakowali, chyba że ich ofiara była słaba albo bezbronna. Żyli nie dzięki odwadze, lecz dzięki temu, że skradali się chyłkiem i unikali niebezpieczeństwa. Selekcji dokonała tu na ślepo natura wśród okrutnego, wrogiego otoczenia, w którym prawo do życia zdobywało się przebiegłym tchórzostwem, a czasem rozpaczliwą obroną w sytuacji bez wyjścia.

Natomiast Jerry był owocem selekcji miłości i odwagi. Jego przodków świadomie i z rozmysłem dobrali ludzie, którzy niegdyś w zamierzchłej przeszłości wzięli dzikiego psa i uczynili z niego to, co sobie wymarzyli, co pragnęli mieć i co podziwiali. Nie powinien był walczyć jak szczur w kącie, bo nie wolno mu było czmychać w kąt wzorem szczura. Odwrót musiał być dlań nie do pomyślenia. W przeszłości ludzie odrzucali psy, które rejterowały. Nie zostały one przodkami Jerry'ego. Na jego przodków wybrano psy dzielne, junackie i zuchwałe, które rzuciły się wprost na niebezpieczeństwo, walczyły i ginęły, ale nie ustępowały nigdy. A ponieważ jabłko niedaleko pada od jabłoni, więc Jerry był taki sam jak Terencjusz i jak od dawien dawna wszyscy przodkowie Terencjusza.

Toteż gdy Jerry natknął się na dzikiego psa, zmyślnie ukrytego przed wiatrem w zakamarku pomiędzy grot-masztem a świetlikiem kabiny, nie zastanawiał się ani chwili, czy tamten jest większy lub zacieklejszy od niego. Wiedział tylko jedno: że jest to odwieczny wróg — dziki pies, który ongiś nie przyszedł do ognisk ludzkich. Z zapamiętałym peanem radości, który zaalarmował wszystkosłyszące uszy i wszystkowiedzące oczy kapitana Van Horna, Jerry przypuścił atak. Dziki pies rzucił się do ucieczki z niewiarygodną szybkością, ale Jerry dopadł go i przeturlał kilka razy po nachylonym pokładzie. A tamten, tocząc się tak i czując ukłucia ostrych zębów, począł kłapać i warczeć, wydawać na przemian skowoty i skomlenia pełne strachu, bólu i nikczemnej pokory.

Jerry był dżentelmenem, to znaczy psem szlachetnym. Taką już miał krew. Ponieważ tamten nie stawiał oporu, ponieważ skomlał w upodleniu, ponieważ leżał pod nim bezradnie, Jerry zaprzestał ataku i puścił przeciwnika, z którym kotłował się w ścieku burtowym. Nie myślał o tym wcale. Nie myślał, bo taki już był. Stał na rozkołysanym pokładzie, z niezmierną satysfakcją czując w pysku rozkoszny smak psiej sierści, a w uszach i świadomości mając pełne uznania słowa kapitana Van Horna: „Dobry piesek, Jerry Dzielny pies! Dobry pies, dobry !”

Trzeba przyznać, iż kiedy Jerry odchodził, widać było, że jest z siebie dumny. Kroczył odrobinę za sztywno, a głowa przekrzywiona w stronę skowyczącego psa zdawała się mówić: „No, chyba masz dość na dzisiaj. Teraz będziesz uważał, żeby mi nie wchodzić w drogę”.

Jerry nadal badał swój nowy, malutki świat, który ani przez chwilę nie pozostawał w bezruchu, lecz nieustannie wznosił się, przechylał i ześlizgiwał po rozkolebanej powierzchni morza. Byli tu powracający z Meringe krajowcy. Postanowił sobie zidentyfikować ich wszystkich, przy czym otrzymywał w odpowiedzi ponure spojrzenia i burknięcia, które z kolei odwzajemniał zuchwałymi napaściami i groźbami. Ponieważ tak go wychowano, więc choć były to dwunożne istoty, przecież na swoich czterech nogach kroczył przed nimi z całą wyższością, zawsze bowiem poruszał się i żył pod opieką wielkiego dwunożnego, strojnego w spodnie boga, Mister Haggina.

Prócz tamtych byli na statku obcy Murzyni, powracający z Pennduffryn i z Zatoki Tysiąca Okrętów. Postanowił poznać ich wszystkich. Kiedyś w przyszłości taka znajomość mogła okazać się potrzebna. Ale Jerry nie myślał o tym. Po prostu posiadał wiedzę o swoim otoczeniu nie bawiąc się w żadne przewidywania ani nie troszcząc o przyszłość.

Zdobywając po swojemu tę wiedzę, wprędce wykrył, że podobnie jak na plantacji chłopcy do posług byli czymś odmiennym od pracujących w polu, tak i na „Arangi” powracający Murzyni różnili się od reszty. Tą resztą była załoga statku. Piętnastu składających się na nią czarnych pozostawało w bliższych niż tamci stosunkach z kapitanem Van Hornem. Najwyraźniej należeli bardziej bezpośrednio do niego i do „Arangi”. Pracowali pod jego rozkazami, stawali u koła sterowego, przyciągali liny, windowali zza burty wodę w wiadrach i szorowali szczotkami pokład.

Podobnie jak od Mister Haggina Jerry nauczył się, że winien być bardziej wyrozumiały wobec posługaczy niż wobec pracujących na plantacji, którym zdarzyło się wkroczyć w obręb osady — tak samo i od kapitana Van Horna nauczył się większej tolerancji w stosunku do załogi niż do powracających krajowców. Miał mniej swobody w obcowaniu z załogą niż z tamtymi. Skoro kapitan Van Horn nie życzył sobie napastowania załogi, obowiązkiem Jerry'ego było powstrzymać się od tego. Z drugiej strony jednak nie zapominał nigdy, że jest psem białego boga. Jakkolwiek nie wolno mu było rzucać się na tych właśnie Murzynów, jednakże nie pozwalał im na żadną poufałość. Miał na nich oko. Bywał już świadkiem, jak czarni, których tolerowano zupełnie tak samo jak tych, stali w szeregu i otrzymywali chłostę od Mister Haggina. Ludzie należący do załogi zajmowali w ogólnym porządku rzeczy miejsce pośrednie i należało baczyć, czy aby go się trzymają. Jerry przyznawał im pewne prawa, ale nie przyznawał równości. W najlepszym razie mógł być dla nich wyrozumiały nie zapominając jednak o dystansie.

Dokonał gruntownych oględzin kambuza; był on prymitywny, otwarty od strony pokładu, wystawiony na wiatry, deszcze i burze, z małą kuchenką, nawet nie okrętową, na której dwaj czarni, latając ją i klinując, jakoś tam pitrasili wśród kłębow dymu strawę dla osiemdziesięciu ludzi przebywających na statku.

Jerry'ego zainteresowały następnie pewne osobliwe poczynania załogi. Mianowicie w reling wkręcano pionowo rurki, mające służyć jako paliki, i przymocowywano do nich trzy pasma drutu kolczastego, który obiegał cały statek dokoła, z ledwie piętnastocalową luką na trap. Jerry bez chwili zastanowienia odgadł, że jest to środek ostrożności na wypadek niebezpieczeństwa. Całe jego życie, od momentu doznania pierwszych wrażeń, upływało wśród niebezpieczeństw stale grożących ze strony dzikich. W domu na plantacji Meringe kilku przebywających tam białych zawsze patrzyło podejrzliwie na rozlicznych krajowców, którzy dla nich pracowali i byli ich własnością. W pokoju bawialnym, gdzie znajdował się stół, bilard i gramofon, umieszczono stojaki ze strzelbami, a w każdej sypialni, przy każdym łóżku leżały pod ręką pistolety i karabinki. Podobnie Mister Haggin, Derby i Bob, wychodząc z domu między czarnych, zawsze mieli u pasa rewolwery.

Jerry wiedział, czym są owe grzmiące przedmioty — a mianowicie narzędziami zniszczenia i śmierci. Widział, jak niszczyły żywe istoty — puarki, kozły, ptaki i krokodyle. Za pomocą tych rzeczy biali bogowie wolą swoją przemierzali przestrzeń, nie przemierzając jej ciałem i niszczyli żyjące stworzenia. Natomiast on sam, chcąc dobrać się do czegoś, musiał przebyć przestrzeń fizycznie. Był inny niż tamci. Był ograniczony. Wszelkie niemożliwe rzeczy były możliwe dla nie ograniczonych dwunogich białych bogów. W pewnym sensie ta ich zdolność niszczenia na odległość stanowiła przedłużenie kłów i pazurów. Nie zastanawiając się nad tą sprawą, nie uświadamiając jej sobie, przyjmował to tak samo jak wszystko na otaczającym go, tajemniczym świecie.

Raz nawet widział, jak jego Mister Haggin zadaje na odległość śmierć innym grzmiącym



sposobem. W jego oczach Haggin ciskał kiedyś z werandy laski eksplodującego dynamitu w wyjąca tłuszczę dzikich napastników, którzy przybyli z Nieznanego w długich, czarnych, rzeźbionych i wysadzanych masą perłową czółnach wojennych o zadartych dziobach, które to czółna pozostawili wyciągnięte na brzeg u progu Meringe.

Jerry stykał się z wieloma środkami ostrożności przedsięwziętymi przez białych bogów, toteż kierując się jakimś nieomal nieuchwytnym wyczuciem uznał oczywiście to ogrodzenie z drutu kolczastego za oznakę stałego istnienia niebezpieczeństwa. Klęska i śmierć czyhały tuż-tuż oczekując sposobności, by skoczyć i zdusić życie. Choć Jerry od niedawna znał życie, przecie nauczył się jednego prawa: że musi ono być bardzo żywotne, aby się ostać.

Następną przygodą Jerry'ego, gdy obserwował zakładanie drutu, było spotkanie z Lerumim, powracającym z Meringe krajowcem, którego Bidy tegoż rana na plaży wywróciła do wody razem z całym dobytkiem. Spotkanie to nastąpiło między świetlikiem kajutowym a prawą burtą, przy której Lerumi stał przeglądając się w tanim lusterku i czesał kudłatą czuprynę ręcznie wyrzezanym z drzewa grzebieniem.

Jerry, nie zauważywszy Lerumiego, dreptał właśnie na rufę, gdzie oficer Borckman nadzorował uwiązywanie drutu do palików. Lerumi, zerknąwszy z ukosa, by się upewnić, czy zamierzony przezeń wyczyn nożny będzie osłonięty przed cudzym wzrokiem, wymierzył kopniaka synowi swej czworonożnej nieprzyjaciółki. Bosa stopa trafiła Jerry'ego we wrażliwy koniuszek świeżo przyciętego ogona, i oburzony psiak, w poczuciu popełnionego na nim świętokradztwa, z punktu oszalał.

Kapitan Van Horn, który stał nie opodal rufy obserwując kierunek wiatru wydymającego żagle oraz niezbyt sprawne sterowanie stojącego przy kole krajowca, nie widział psa, gdyż zasłaniał mu go świetlik. Jednakże dostrzegł ruch ramion Lerumiego, zdradzający balansowanie na jednej nodze w chwili, gdy druga zadawała kopniaka. A z tego, co teraz nastąpiło, wywnioskował, co stało się przedtem.

Wrzask, jaki podniósł Jerry, gdy przysiadłszy okręcił się w miejscu, skoczył i ugryzł, był prawdziwym szczenięcym skowytom oburzenia. W powietrzu dosięgło go drugie kopnięcie, rozorał jednak stopę i kostkę Lerumiego, i chociaż poleciał przez nachylony pokład aż do ścieku burtowego, pozostawił jednak na czarnej skórze czerwone ślady szczenięcych, ostrych jak igły zębów. Wciąż wyszczekując swoje oburzenie, począł się wspinać z powrotem na stromą, drewnianą pochyłość.

Lerumi, zerknąwszy powtórnie z ukosa, zauważył, że jest obserwowany, i nie śmiał posunąć się do ostateczności. Pobiegł wzdłuż świetlika, chcąc umknąć na dół zejściem kajutowym, ale ostre zęby Jerry'ego ucapiły go za łydkę. Jerry, atakując na oślepa, zaplątał mu się między nogi. Lerumi potknął się, a jego upadek przyspieszyło jeszcze nagłe, silniejsze uderzenie wiatru w żagle. Na próżno usiłując ustać na nogach, pochwycił trzy druty kolczaste, umieszczone na zawietrznej burcie.

Wszyscy czarni obecni na pokładzie statku ryknęli śmiechem, a Jerry, widząc, iż przeciwnik jest niezdolny do walki, a mylnie sądząc, że to on sam jest przedmiotem tych drwin, z nie zmniejszoną furią rzucił się na krajowców i w nagłym ataku pokaleczył liczne nogi, które przed nim umykały. Murzyni powskakiwali do zejścia kajutowego i luku na dziobie, uciekli na bukszpryt, wdrapali się na olinowanie i pouczepiali wszędzie niczym potworne ptaszyska. W końcu na pokładzie pozostał tylko Jerry oraz załoga statku; nauczył się już bowiem rozróżniać jednych krajowców od drugich. Kapitan Van Horn z głośnym śmiechem począł go chwalić; przywołał psiaka i na znak radosnego podziwu obsypał go żartobliwymi, męskimi kuksańcami. Następnie zwrócił się do swoich pasażerów i wygłosił taką orację w *bêche-de-mer*.

— Hej, wy, chłopak! Ja do was duża mowa. Ten pies moja własność. Jak który skrzywdzić ten

pies, ja — daję słowo! — bardzo ogromnie zły na niego. Ja go stłuc na miazgę. Wy uważać na swoje nogi. Ja uważać na swój pies. Rozumieć?

A pasażerowie, wciąż pouczeni wysoko, ugadując się między sobą piskliwie i łyskając czarnymi oczami, przyjęli prawo białego człowieka. Nawet Lerumi, mocno pokaleczony drutem kolczastym, nie łytał spode łba i nie mamrotał grózb. Przeciwnie, pomacał ostrożnie palcami zadrapania, co wywołało wybuch śmiechu towarzyszy i ogień w oczach kapitana, po czym powiedział:

— No, no! To ci kawał pies!

Jerry nie był złym psem. Po prostu, tak samo jak Bidy i Terencjusz, był zajadły i nieulekły, które to cechy należały już do jego dziedzictwa. I również wzorem Bidy i Terencjusza lubił napastować czarnych, co z kolei było już sprawą wychowania. Tak go uczono od małego. Czarni byli czarnymi, natomiast biali byli bogami i ci właśnie biali bogowie nauczyli go napastować Murzynów i osadzać ich na owym pośledniejszym miejscu, które im przypadło na świecie. Biały człowiek dzierżył cały świat w swoich rękach. A czarni? Alboż nie widział, jak ich zawsze spychano na to poślednie miejsce? Czyż nie był świadkiem, jak na Meringe biali bogowie przywiązywali ich do palm i batogami siekli im plecy na strzępy? Nic dziwnego, że dobrze urodzony terier irlandzki, czule hołubiony przez białego boga, patrzył na krajowców jego oczyma i postępował z krajowcami tak, aby zasłużyć sobie na pochwałę.

Ten dzień był dla Jerry'ego pełen wrażeń. Wszystko na „Arangi” było nowe i obce, a tyle tam przebywało ludzi, że ustawicznie działy się rzeczy ciekawe. Stoczył ponowną utarczkę z dzikim psem, który podstępnie zaatakował go z boku. Skrzynki z dobytkiem krajowców poustawiano tak nierówno, że między dwiema w najniższej warstwie pozostała niewielka luka. Z niej właśnie wyskoczył dziki pies, gdy Jerry biegł na wołanie kapitana. Wbił ostre, młode zęby w żółtą, aksamitną sierść Jerry'ego i czmychnął z powrotem do kryjówki.

I znów Jerry'ego zdjęło oburzenie. Rozumiał, że można atakować z boku. Nieraz bawili się w ten sposób z Michaelem, była to jednak tylko zabawa. Ale odwrót bez walki, kiedy się ją zaczęło, był obcy naturze i obyczajom Jerry'ego. Ze słusznym gniewem skoczył za wrogiem do dziury. Jednakże dziki pies najlepiej walczył właśnie w ten sposób — zaszyty w kącie. Gdy Jerry wpadł do ciasnej kryjówki, uderzył się łbem o stojącą wyżej skrzynkę i w następnej chwili uczuł na pysku zaciekle zęby przeciwnika.

Nie mógł dobrać się do dzikiego psa ani rzucić się nań z rozmachem, całym ciężarem. Mógł tylko pełzać, miotać się i przepychać naprzód, a za każdym razem napotykał warczący, uzębiony pysk. Ale i tak dobrałby się w końcu do dzikiego psa, gdyby nie to, że Borckman przechodząc sięgnął do dziury i wywlókł Jerry'ego za tylną nogę. A potem znów rozległo się wołanie kapitana Van Horna i Jerry posłusznie pobiegł na rufę.

Na pokładzie, w cieniu bezanu, podawano posiłek i Jerry, przysiadłszy między oboma mężczyznami, otrzymał swoją porcję. Doszedł już do wniosku, że z tych dwóch kapitan jest wyższym bogiem i wydaje liczne rozkazy, których oficer słucha. Oficer z kolei wydawał rozkazy czarnym, natomiast kapitanowi nigdy. Prócz tego Jerry zaczynał lubić Van Horna, więc usadowił się tuż przy nim. Kiedy wetknął nos do jego talerza, otrzymał łagodną naganę. Gdy natomiast zaledwie obwąchał dymiącą filiżankę herbaty oficera, ten trzepnął go po nosie brudnym paluchem. Nie ofiarował mu też ani kaska.

Kapitan Van Horn najpierw podsunął Jerry'emu miseczkę owsianej papki, obficie podlanej skondensowaną śmietanką i osłodzonej czubatą łyżką cukru. Potem od czasu do czasu dawał mu kawałki chleba z masłem i dzwonka smażonej ryby, z których przedtem starannie usuwał drobne ości.

Ukochany Mister Haggin nigdy nie karmił Jerry'ego przy stole, toteż psiak, uradowany tak rozkosznym przeżyciem, po prostu wychodził z siebie. A że był młody, uległ więc swoim zapalom i wkrótce zaczął natrętnie domagać się od kapitana dalszych kąsków ryby i chleba z masłem. Raz nawet szczechnął prosząco. To nasunęło pewien pomysł kapitanowi, który natychmiast zaczął go uczyć „mówić”.

Po pięciu minutach Jerry umiał już mówić cicho, odzywać się raz tylko — stłumionym, delikatnym, dźwięcznym szczeknięciem jednosylabowym. Również w ciągu tych pierwszych pięciu minut nauczył się „siadać” w odróżnieniu od „leżenia”, a także tego, że winien usiąść, ilekroć się odzywa, mówić nie podskakując i nie zmieniając siedzącej pozycji, a potem czekać, aż mu dadzą kąsek.

Następnie dorzucił trzy wyrazy do swego słownictwa. Odtąd już zawsze „mów” miało dla niego znaczyć, że winien się odezwać, zaś „siadł”, że winien usiąść, a nie kłaść się. Trzecim dodatkiem do jego słownika był wyraz: „Kapitan”. Słyszał, że w ten sposób nazywa Van Horna oficer. I podobnie jak wiedział, że ktoś, wołając „Michael”, zwracał się do Michaela, a nie do Bidy lub Terencjusza czy do niego samego — tak samo pojął, że *Kapitan* jest nazwą dwunogiego, białego pana, który władał tym nowym, nawodnym światem.

— To nie jest zwyczajny pies — zakonkludował Van Horn do oficera. — Za tymi piwnymi oczami tkwi prawie ludzki rozum. Przecież on ma sześć miesięcy! Każdy sześciolatek byłby cudownym dzieckiem, gdyby w pięć minut nauczył się tego, *co on*. *Gott-fer-dang!* Psi mózg musi być podobny do ludzkiego. Bo jeżeli ten psiak postępuje jak człowiek, musi też myśleć jak człowiek.

# IV

Schodnia wiodąca do głównej kajuty była stromą drabiną, po której kapitan zniósł Jerry'ego, gdy pies się najadł. Kajuta — długie pomieszczenie zajmujące całą szerokość „Arangi” — sięgała od ładowni rufowej do małej kabiny na dziobie. Za tą kabiną, oddzielony szczelną grodzią, znajdował się forkasztel, w którym sypiała załoga statku. Małą kabinę dzielili Van Horn i Borckman, a główną kajutę zajmowało sześćdziesięciu kilku powracających krajowców. Siedzieli w kucki i leżeli wszędzie: na podłodze oraz na długich, niskich pryczach, które bieły wzdłuż obu boków kajuty.

Znalazłszy się w małej kabynie, kapitan rzucił na podłogę w kącie koc i bez trudu wyjaśnił Jerry'emu, że to ma być jego posłanie. A Jerry, najedzony i utrudzony tyloma wrażeniami, również bez trudu zapadł natychmiast w sen.

W godzinę później zbudziło go wejście Borckmana. Kiedy Jerry pomerdał krótkim ogonkiem i uśmiechnął się przyjaźnie oczami, oficer łypnął na niego spode łba i mruknął coś chrapliwie a gniewnie. Jerry nie robił mu dalszych awansów i leżał obserwując go spokojnie.

Oficer przyszedł łyknać coś mocniejszego. Prawdę mówiąc podkradał trunki z zapasów Van Horna. Jerry o tym nie wiedział. Na plantacji często widywał popijających białych ludzi. Ale Borckman pił jakoś inaczej. Jerry uświadomił sobie niejasno, że jest w tym coś ukradkowego. Nie wiedział, na czym polega zło, ale je wyczuł i przeto obserwował podejrzliwie.

Po odejściu oficera Jerry byłby znów zasnął, gdyby nie to, że nie domknięte drzwi rozwarły się nagle z trzaskiem. Otworzywszy oczy, gotów odeprzeć wszelkie wrogie najście Nieznanego, spostrzegł splezającego po ścianie wielkiego karalucha. Kiedy się podniósł i począł ostrożnie skradać ku niemu, karaluch umknął z cichym szelestem i zniknął w jakiejś szczelinie. Jerry od urodzenia znał karaluchy, ale miał dowiedzieć się paru nowych rzeczy o tej odmianie, która zamieszkiwała na „Arangi”.

Dokonawszy pobieżnych oględzin kabiny Jerry powędrował do głównej kajuty. Wszędzie leżeli tu czarni, ale Jerry, uważając to za obowiązek wobec swojego Kapitana, postanowił zidentyfikować wszystkich po kolei. Kiedy ich obwąchiwał, spoglądali na niego spode łba i wydawali stłumione, groźne pomruki. Jeden miał śmiałość zamachnąć się na niego pięścią, ale Jerry, zamiast uciekać, pokazał zęby i zebrał się do skoku. Murzyn czym prędzej opuścił rękę i począł coś mówić uspokajająco, ze skruchą, podczas gdy inni chichotali. Jerry poszedł dalej. Nie było to dlań nowością; zawsze należało spodziewać się razów od krajowców, kiedy biali nie przebywali w pobliżu. I Kapitan, i oficer znajdowali się właśnie na pokładzie, więc Jerry, choć bynajmniej nie zastraszyony ostrożnieją podjął teraz swoje oględziny.

Jednakże u bezdrzwiowego wejścia do ładowni rufowej zapomniał ze szczętem o wszelkiej ostrożności i rzucił się do wnętrza w pogoni za nową wonią, która doleciała do jego nozdrzy. Ktoś obcy, kogo jeszcze dotąd nie zwietrzył, siedział w tym niskim, ciemnym pomieszczeniu.

Na prymitywnej macie z sitowia, rozpostartej na stosie skrzynek z tytoniem i pięćdziesięciofuntowych puszek mąki, leżała w samej tylko koszuli mała, czarna dziewczynka.

Było w niej coś przyczajonego i lęklivego, czego Jerry nie omieszkał wyczuć, a z dawna już wiedział, że coś jest nie w porządku, kiedy czarny przyczaja się albo skrada. Krzyknęła ze strachu, gdy zaszczekał na alarm i rzucił się na nią. Choć zęby Jerry'ego zadrapały jej obnażoną rękę, nie próbowała go uderzyć. I nie krzyknęła powtórnie. Skuliła się drząc i nie stawiała oporu. Jerry zacisnąwszy zęby na lichej koszulinie począł nią tarmosić i szarpać warcząc i pomrukując, aby zastraszyć dziewczynkę, oraz naszczekiwać głośno w nadziei, że ściągnie tu Kapitana lub oficera.

Podczas owego szamotania dziewczynka przeważała skrzynki i puszki, i cały stos runął na podłogę. To sprawiło, że Jerry począł ujadać jeszcze zacieklej, a czarni, którzy zagłądali z kajuty, ryknęli okrutnym śmiechem.

Gdy zjawił się Kapitan, Jerry pomerdał kikutem ogonka i stuliwszy uszy począł jeszcze usilniej szarpać i tarmosić cienką, bawełnianą koszulę dziewczynki. Spodziewał się za to pochwały, ale kiedy Kapitan po prostu kazał mu puścić, usłuchał domyślając się, że to lękliwe, wystraszone stworzenie czymś się widocznie różni od pozostałych i winno być traktowane inaczej.

Dziewczynka była istotnie ogarnięta takim strachem, jaki przetrzymać mogą tylko nieliczne ludzkie istoty. Van Horn nazywał ją „swoją paczką kłopotów” i pragnął się jej pozbyć, nie unicestwiając jednak „paczki” ostatecznie. Bo właśnie od unicestwienia ocalił dziewczynkę wykupując ją w drodze równej wymiany za tłustego wieprzka.

Otępiała, na nic nie przydatna, zgnębiona i chorowita, nie mająca więcej niż lat dwanaście, dziewczynka owa, która nie budziła zachwytu w młodzieńcach z wioski,.. przeznaczona została przez zawiedzionych rodziców do kotła. Kapitan Van Horn ujrzał ją po raz pierwszy w chwili, gdy była centralną postacią ponurego orszaku nad brzegami rzeki Balebuli.

„Wszystko, tylko nie piękność” — brzmiała ocena kapitana, kiedy zatrzymał ów pochód zmierzający na miejsce *pow-wow*. Dziewczynka, wyniszczona chorobą, miała skórę zeschniętą i złuszczoną od egzemy zwanej *bukua*; ze związanymi rękami i nogami wisiała jak wieprzek u tęgiego drağa niesionego na ramionach przez tych, którzy zamierzali ją pożreć. Nazbyt zrezygnowana, aby spodziewać się miłosierdzia, nie wzywała pomocy, choć o straszliwym lęku, jaki nią targał, wymownie świadczyły dziko rozwarte oczy.

W uniwersalnej angielszczyźnie *bêche-de-mer* wyjaśniono kapitanowi Van Hornowi, że dziewczynka nie cieszy się sympatią współplemieńców, i że właśnie mają pławić ją po szyję w wartkich wodach rzeki Balebuli. Jednakże przedtem zamierzano porozrywać jej stawy i połamać grube kości rąk oraz nóg. Nie był to żaden religijny rytuał ani też sposób przebłagania okrutnych bogów dżungli. Była to sprawa czysto gastronomiczna. Tak przygotowane żywe mięso nabierało delikatności i smaku, a jak podkreślali jej towarzysze, dziewczynka z całą pewnością wymagała podobnego zabiegu. Oświadczone kapitanowi, że dwa dni w wodzie powinny całkowicie wystarczyć. Potem ją się zabije, rozpali ognisko i zaprosi paru znajomych.

Po półgodzinnych targach, w których toku kapitan Van Horn podkreślał bezwartościowość towaru, nabył tłustego świniaka ocenionego na pięć dolarów i wymienił go na dziewczynkę. Ponieważ zapłacił za świniaka w towarach, te zaś obliczone były na sto procent zysku, dziewczynka kosztowała go przeto dwa dolary i pięćdziesiąt centów.

I wtedy zaczęły się kłopoty kapitana Van Horna. Nie mógł się pozbyć dziewczynki. Zbyt dobrze znał krajowców z Malaity, aby im ją przekazać w którymkolwiek punkcie wyspy. Wódz Iszikola z Su'u oferował mu za nią pięć razy po dwadzieścia młodych orzechów kokosowych, a Bau, wódz plemion żyjących w buszu, proponował na plaży w Malu dwa kurczaki. Ale ta druga oferta, której towarzyszył szydery śmiech, świadczyła, że stary hultaj drwi sobie z chudości dziewczynki. Ponieważ kapitan Van Horn nie zdołał nawiązać kontaktu z misjonarskim brygiem „Krzyż Zachodu”, na którym byłaby bezpieczna od pożarcia, musiał więc trzymać dziewczynkę w ciasnym pomieszczeniu na „Arangi” ufając, że w jakiejś niewiadomej przyszłości uda mu się powierzyć ją misjonarzom.

Jednakże dziewczynka nie była mu wcale wdzięczna, gdyś brakowało jej zdolności rozumienia. Ponieważ została sprzedana za tłustego wieprzka, uważała więc, że jej żałosna rola na tym świecie bynajmniej się nie zmieniła. Przedtem przeznaczono ją na zjedzenie. Tak samo było nadal. Zmienił

się tylko ten, kto ją miał zjeść, a niewątpliwie wielki biały pan z „Arangi” zamierzał, to uczynić, gdy tylko ją dostatecznie utuczy. Jego zamysły były od początku przejrzyste, kiedy usiłował ją odkarmić. Ale starała się go przechytrzyć jedząc rozmyślnie tylko tyle, by się utrzymać przy życiu.

Wynik był taki, że ona, która od urodzenia żyła w buszu i nigdy nie tknęła stopą czółna, kołysała się teraz i kolebała bez końca na szerokim oceanie, w nieustającym koszmarze strachu. Rozliczni pasażerowie „Arangi” przepowiadali dziewczynce, co ją czeka, posługując się owym *bêche-de-mer*, używanym przez czarnych zamieszkałych na tysiącu wysp i mówiących dziesięcioma tysiącami dialektów. „Daję słowo, ty dziewczyna — mówił jeden. — Niedługo wielki biały pan ciebie *kai-kai*”. A drugi: „Wielki biały pan ciebie *kai-kai* w duży brzuch”.

*Kai-kai* oznaczało w *bêche-de-mer*: zjeść. Nawet Jerry to wiedział. „Jeść” nie istniało w jego słowniku, natomiast było tam *kai-kai*, które znaczyło więcej niż „jeść”, służyło bowiem zarazem jako rzeczownik i czasownik.

Dziewczynka nie odpowiadała na drwiny krajowców. Właściwie nie odzywała się wcale, nawet do kapitana Van Horna, który w ogóle nie znał jej imienia.

Było późne popołudnie, kiedy Jerry, wykrywszy dziewczynkę w ładowni, znalazł się znów na pokładzie. Zaledwie Kapitan, który wniósł go tam po stromej drabinie, postawił psiaka na deskach, ten dokonał nowego odkrycia, a mianowicie łądu. Nie dojrzał go, ale zwietrzył. Nos Jerry'ego zadarł się do góry i poczynił badać wiatr przynoszący wieści. Jerry odczytywał nozdrzami powietrze, tak jak człowiek czyta gazetę — rozróżniał słony zapach morskiego wybrzeża, wilgotną zgniliznę porośniętych mangrowcami bagien, wyczuwalną teraz w chwili odpływu, korzenne aromaty tropikalnej roślinności i wątlą, wątlutką, cierpką woń dymu z ognisk.

Pasat, który zapędził „Arangi” pod ten sterczący w morze cypel Malaity, ucichł teraz, więc statek jął przetaczać się po łagodnych falach pośród skrzypienia szkotów i bloków oraz grzmiącego trzaskania żagli. Jerry zaledwie raczył rzucić pogardliwe, ironiczne spojrzenie grot-żaglowi, który wyprawiał nad nim swoje brewerie. Znał już czczą jałowość jego gróźb, ale miał baczenie na wielokrążki szkotów i obchodził wodzidło dokoła miast przez nie przeskakiwać.

Korzystając z ciszy morskiej kapitan Van Horn postanowił przeciwzić załogę w posługiwaniu się bronią palną oraz dokonać przeglądu karabinków. Kiedy zdejmował je ze świetlika kajutowego, Jerry nagle przywarował i począł się skradać na sztywnych łapach. Ale dziki pies, który stał o trzy stopy od swego legowiska pod skrzynkami, miał się na bacności. Patrzył i warczał groźnie. Nie było to miłe warczenie. Prawdę mówiąc, było równie złe i dzikie jak całe jego życie. Większość pomniejszych stworzeń bała się tego pomruku, ale nie podziałał on hamująco na Jerry'ego, który podkładał się nadal. Kiedy dziki pies skoczył do swojej dziury pod skrzynkami, Jerry rzucił się za nim i chybił wroga ledwie o parę cali.

Kapitan Van Horn ciskał za burtę kawałki drewna, butelki i puste puszkę rozkazując ośmiu ludziom z załogi celować do nich. Jerry podniecony i zachwycony strzelaniną przydawał do huków swoje szczenięce ujadanie. Gdy wystrzelone mosiężne łuski spadały na pokład, powracający krajowcy zbierali je na czworakach uważając, że są to przedmioty nader cenne, i wpychali sobie jeszcze ciepłe gilzy w otwory w muszlach usznych. Otwory te były bardzo rozmaite; najmniejszy z nich mógł pomieścić gilzę naboju, w większych zaś tkwiły gliniane fajki, pałeczki tytoniu, a nawet pudełka zapalek. Niektóre otwory były tak ogromne, że krajowcy nosili w nich wystrugane z drzewa kołki o trzycalowej średnicy.

Kapitan i oficer mieli u pasa pistolety i teraz zaczęli z nich wystrzeliwać magazynki za magazynkiem ku niezmiernemu podziwowi czarnych dla tak cudownej szybkości ognia. Załoga statku strzelała dość słabo, ale Van Horn, jak każdy kapitan z Wysp Salomona, wiedział, iż krajowcy z

buszu i z plemion nadbrzeżnych są jeszcze znacznie gorszymi strzelcami i że na celności załogi można polegać — jeżeli sama w krytycznym momencie nie zwróci się przeciwko statkowi.

Borckmanowi od razu zaciął się pistolet i oficer otrzymał od Van Horna naganę za to, że nie utrzymuje go w czystości i nie oliwi dość cienko. Prócz tego usłyszał karcące pytanie, czy dużo wypił i czy na karb tego należy kłaść jego słabsze niż przeciętnie wyniki w strzelaniu. Borckman wyjaśnił, że ma lekką gorączkę, a Van Horn powstrzymał się od wypowiedzenia swych wątpliwości do chwili, gdy w kilka minut później, przysiadłszy w cieniu bezanu. z Jerry'm na rękę, wyznał mu, *co o tym myśli*.

— Najgorsza z nim bieda to ten sznaps, piesku — wyjaśnił. — *Gott-fer-dang!* Przez to muszę pełnić wszystkie swoje wachty i jeszcze połowę jego na dodatek. A ten mi powiada, że to gorączka! Nie wierz temu, Jerry. To sznaps, po prostu sz-n-a-p-s, nic więcej. Na trzeźwo dobry z niego marynarz, Jerry. Ale jak się zaleje, po prostu dostaje bzika. Wtedy kręci mu się we łbie, durnieje z kretesem i chrapałby w sztorm, a chodził jak kołowaty ze snu w ciszę morską. Jerry, ty dopiero zaczynasz tupać po świecie tymi swoimi czterema miękkimi łapami, więc posłuchaj rady kogoś, kto zna się na rzeczy, i nie tykaj sznapsa. Wierz mi, Jerry, mój chłopcze, sa rzuchaj ojca: sznapsem niczego nie zwojujesz.

Po czym zostawiwszy na pokładzie Jerry'ego, który znów zaczął podchodzić dzikiego psa, kapitan Van Horn zszedł do małej kabiny i łyknął potężny haust z tej samej flaszki, z której podkrażał Borckman.

Podchodzenie dzikiego psa stało się zabawą, przynajmniej dla Jerry'ego, który taką już miał naturę, że w sercu nie nosił złości, a bawił się tym wspaniale. Ponadto dawało mu to rozkoszną świadomość własnej wyższości, gdyż przeciwnik zawsze przed nim uciekał. Jerry był psim panem na pokładzie „Arangi”. Nie przyszło mu do głowy zastanawiać się, jak jego postępowanie wpływa na dzikiego psa, aczkolwiek trzeba przyznać, że setnie zatruwał mu życie. Jeżeli Jerry nie był na dole, tamten nigdy nie śmiał oddalić się .więcej niż o kilka stóp od swej kryjówki i ustawicznie drżał ze strachu przed owym pulchnym ladaco, który nie lękał się jego warczenia.

Późnym popołudniem Jerry, udzieliwszy jeszcze jednej nauczki dzikiemu psu, podreptał na rufę, gdzie zastał Kapitana, który siedział na pokładzie, oparty o niski reling, i podkurczywszy kolana patrzył w zamyśleniu ku zawietrznej. Jerry obwąchał jego nagą łydkę — nie żeby ją musiał rozpoznawać, ale po prostu dlatego, że mu to sprawiało przyjemność, a także niejako w charakterze przyjaznego pozdrowienia. Ale Van Horn nie zwrócił na, niego uwagi i dalej patrzył na morze. Nie był nawet świadom obecności psiaka. Jerry złożył pysk na kolanie Kapitana i długo, poważnie wpatrywał mu się w twarz. Tym razem Kapitan go zauważył i był tym mile zaskoczony, ale nadal nie dawał nic poznać po sobie. Jerry, popróbował innego sposobu. Kapitan opierał się przedramieniem o kolano, a jego rozchyłona dłoń zwisała swobodnie. W tę rozchyłoną dłoń Jerry wsunął swój miękki, złotawy pysk aż po oczy i pozostał tak bez ruchu. Gdyby mógł patrzeć, zauważyłby ognik w oczach Kapitana, które oderwały się od morza i spoglądały teraz na niego. Ale Jerry nie mógł tego widzieć. Przesiedział tak nieruchomo jeszcze chwilą, po czym dmuchnął potężnie.

Tego już było za wiele dla Kapitana; parsknął śmiechem tak wesołym i serdecznym, że jedwabiste uszy Jerry'ego stuliły się z zażenowania i tkliwości, jakby błagając, aby mu wolno było kapać się w słonecznym uśmiechu boga. Ten śmiech Kapitana wprowadził też ogonek Jerry'ego w szaleńczy ruch. Rozchyłona dłoń zwarła się w mocnym uścisku obejmując fałdy skóry nad szczękami i na łbie Jerry'ego. Potem zaczęła potrząsać nim w przód i w tył tak serdecznie, że chcąc nie chcąc musiał kołysać się za jej ruchem na wszystkich czterech łapach.

Była to dla niego rozkosz. Nie, więcej: była to ekstaza. Bo Jerry wiedział, że nie ma złości ani

groźby w tym szorstkim potrząsaniu i że jest to taka sama zabawa, jaką uprawiał z Michaelem. Niekiedy bawił się podobnie z Bidy i czule ją tarmosił. Zdarzało się też, choć bardzo rzadko, że tarmosił go czule i Mister Haggin. Dla Jerry'ego była to mowa pełna nieomylnego znaczenia.

Kiedy potrząsanie stało się bardziej szorstkie, Jerry wydał swe najgroźniejsze warknięcie, które poczęło przybierać na zajadłości, w miarę jak Kapitan potrząsał nim coraz gwałtowniej. Ale i to była tylko igraszka, udawanie, że chce skrzywdzić tego, kogo zbyt lubił, by mu wyrządzić krzywdę. Szarpał się i próbował rozluźnić uścisk, usiłując tak przekreślić szczękę w fałdach skóry, aby móc kłapać zębami.

Gdy Kapitan puścił go i szybkim pchnięciem odrzucił od siebie, Jerry zawrócił, warcząc zapamiętale i szczerząc zęby, po to, aby go znów złapano i wytarmoszono. Zabawa trwała dalej przy wzrastającym rozochoceniu psiaka. Raz, szybszy od Kapitana, zdążył chwycić jego dłoń zębami, ale ich nie zwarł. Przymknęły się miłośnie, pozostawiając znaki na skórze, ale nie było to ukąszenie.

Zabawa przybierała na gwałtowności, i Jerry zupełnie się zapamiętał. Ogarnęło go takie podniecenie, że wszystko, co do tej pory było udawaniem, stało się prawdziwe. Toczył teraz walkę, zmagając się z ręką, która chwyciła go, potrząsała i odrzucała. W jego warczeniu nie było już pozorowanej drapieżności; stała się ona rzeczywista. Kiedy Van Horn go odpychał, Jerry przyskakiwał z powrotem, szczekając piskliwie, ogarnięty, szczenięcą histerią. Kapitan uświadomił to sobie i nagle zamiast zacisnąć dłoń, wyciągnął ją szeroko otwartą, gestem symbolizującym pokój, tak dawnym, jak ręka ludzka. Jednocześnie wykrzyknął jedno jedyne słowo: „Jerry!” Była w nim stanowcza nagana, rozkaz i zarazem cała troskliwość uczucia.

Jerry zrozumiał i od razu ochłonął. Natychmiast okazał skruchę; wszystek już był łagodną pokorą, uszy położył po sobie, jak gdyby błagał o wybaczenie i zapewniał, że jego gorące serce tętni miłością. Ze szczerzącego kły psa, atakującego gwałtownie z rozwartym pyskiem, przemienił się błyskawicznie w kłębek miękkości i jedwabistości, który przypadł do otwartej dłoni i całował ją językiem wysuniętym spomiędzy białych, lśniących zębów na kształt różanego klejnotu. W następnym momencie był już w objęciach Kapitana i tulił pysk do jego policzka, a język znowu wysuwał się szybko z całą siłą przekonywania, jaką posiadać może istota pozbawiona mowy. Była to prawdziwa uczta miłości, jednakowo miła dla obydwu.

— *Gott-fer-dang!* — zawołał kapitan Van Horn. — Przecież ty jesteś jednym kłębkim wrażliwości ze złotym sercem w środku i złotą powłoką z wierzchu. Dalibóg, Jerry, tyś cały z czystego złota; jeszcze nie było na świecie psa ukutego z takiego kruszcu. Masz złote serce, złoty psiaku; bądź dla mnie dobry i kochaj mnie, tak jak ja zawsze będę dobry dla ciebie i będę cię kochał.

I oto kapitan Van Horn, który rządził na „Arangi” boso, w przepasce biodrowej i lichym podkoszulku — który przewoził tam i z powrotem czarnych ludożerców, dzień i noc mając pistolet u pasa i wiedząc, że na jego głowę dybią w dziesiątkach nadmorskich wiosek oraz obronnych gniazd w buszu — którego uważano za najtwardszego szypra na Wyspach Salomona, gdzie tylko ludzie twardzi mogą się ostać i przeto cenią twardość — ten sam kapitan Van Horn zamrugał nagle, czując pod powiekami wilgoć, i przez chwilę nie widział wyraźnie psiaka, który drżał cały z miłości w jego objęciach i scałowywał mu z oczu to słone rozrzewnienie.



Szybko zapadająca, podzwrotnikowa noc pochłonęła „Arangi”, który na przemian to przetaczał się po falach wśród ciszy morskiej, to znów kolebał się i parł naprzód przez szkwały u wybrzeży kanibalskiej wyspy Malaita. Tak zmienną pogodę spowodowało ucichnięcie południowo-wschodniego pasatu, sprawiając zarazem, że gotowanie na pokładowej kuchence stało się męką, a powracający krajowcy, chociaż nie mogło im przemoknąć nic oprócz skóry, czmychnęli pod pokład.

Pierwszą wachtę od ósmej do dwunastej godziny pełnił oficer; kapitan Van Horn, którego rzęsista ulewa i szkwał spędziły do małej kabiny, zabrał tam z sobą na noc Jerry'ego. Jerry był zmęczony wielorakimi przeżyciami tego najbardziej podniecającego dnia w swoim życiu i zasnął powarkując i wierzgając łapami przez sen, nim jeszcze Kapitan, przykręciwszy lampę naftową, rzucił nań, okiem po raz ostatni i mruknął głośno:

— To ten dziki pies, Jerry. Weź go! Potrząśnij nim, a mocno!

Jerry spał tak twardo, iż kiedy deszcz ustał i obrawszy powietrze z ostatniego tchnienia wiatru sprawił, że kabina zmieniła się w parny, duszny piec — nie spostrzegł, że Kapitan, w podkoszulku i przepasce mokrej od potu, chwytając z trudem oddech wziął pod pachę koc i poduszkę i wyszedł na pokład.

Jerry obudził się Van dopiero wtedy, gdy ogromny trzycalowy karaluch zaczął mu nadgryzać wrażliwą, bezwłosą skórę między palcami. Ocknąwszy się wierzgnął bolącą łapą i spojrzał na karalucha, który bynajmniej nie uciekł, ale odmaszerował z godnością. Patrzył, jak karaluch połączył się z innymi, paradującymi po podłodze. Nigdy jeszcze nie widział ich na raz tylu ani tak dużych. Były one ogromne i łąziły wszędzie. Długimi szeregami wypełzały ze szpar w ściankach i schodziły na podłogę, aby przyłączyć się do towarzyszy.

To było wręcz nieprzyzwoite — przynajmniej Jerry uważał, że nie podobna tego tolerować. Mister Haggin, Derby i Bob nigdy nie tolerowali karaluchów, a ich zasady Jerry przyjął za swoje.. Karaluch był pod zwrotnikami odwiecznym wrogiem. Jerry skoczył na najbliższego chcąc go przydusić łapami do podłogi. Ale tamten uczynił coś, czego nie zrobił dotąd żaden znany Jerry'emu karaluch. Wzbił się w powietrze silnym, ptasim lotem. I jakby na dany znak rojowisko karaluchów uleciało w górę i jęło trzepotać się i krążyć po kabynie.

Jerry zaatakował uskrzydloną chmarę. Skakał do góry, kłapał zębami na latające robactwo, usiłował zrzucić je łapą na ziemię. Od czasu do czasu udawało mu się dosięgnąć i zniszczyć któregoś; walka ustała dopiero wtedy, gdy karaluchy, jak gdyby na nowy sygnał, zniknęły w licznych szparach, pozostawiając Jerry'ego na placu.

Jego następną, szybką myślą było: „Gdzie jest Kapitan?” Wiedział, że nie ma go w kabynie; wspiąwszy się na tylnych łapach, przeszukał niską koję, a wrażliwy, mały nos drgał mu z zachwytem, kiedy prychając leciutko wietrzył woń świadcząca o niedawnej obecności Kapitana. Ta sama zaś przyczyna, która powodowała, że nos Jerry'ego drgał węższąc, wprawiła w ruch jego krótki ogonek.

*Ale gdzie jest Kapitan?* Ta myśl była w jego mózgu równie wyrazista i określona jak w mózgu człowieka. I tak samo poprzedzała działanie. Drzwi zostawiono uchylone, więc Jerry wybiegł do sąsiedniej kajuty, gdzie pół setki czarnych wydawało przez sen osobliwe postękiwania, westchnienia i chrapnięcia. Leżeli ciasno jeden przy drugim, zaścielając całą podłogę 1 długie prycze, tak że musiał przełazić przez ich gołe nogi. A nie było nigdzie białego boga, który by go ochronił. Wiedział o tym, lecz nie czuł strachu.

Upewniwszy się, że Kapitana nie ma w kajucie, Jerry przygotował się do niebezpiecznej

wspinaczki na stromą schodnię, która była właściwie drabiną, i wtedy przypomniał sobie o ładowni. Pobiegł tam i obwąchał śpiącą w bawełnianej koszuli dziewczynkę, która mniemała, że zostanie zjedzona przez Van Horna, jeżeli ten zdoła ją utuczyć.

Wróciwszy do drabiny spojrzął w górę i czekał chwilę w nadziei, że a „nuż pokaże się Kapitan, który go wniesie na pokład. Wiedział, że tędy przechodził, a wiedział o tym z dwóch przyczyn. Była to bowiem jedyna droga, którą mógł wyjść, a prócz tego nos mówił Jerry'emu, że Kapitan istotnie tędy przeszedł.

Pierwsza próba wypełnienia po stopniach zaczęła się dobrze. Dopiero na jednej trzeciej drogi, kiedy „Arangi” przechylił się na fali, a potem wyprostował raptownie, Jerry pośliznął się i spadł. Kilku wyrwanych ze snu krajowców, poczęło go obserwować przygotowując sobie do zucia orzeszki betelu owinięte w zielone liście.

Po dwakroć Jerry, ledwie rozpoczynając wspinaczkę, osuwał się na powrót, a dalsi dzicy, zbudzeni przez towarzyszy, popodnosili się i z radością obserwowali jego zmagania. Za czwartym razem udało mu się dotrzeć do połowy drogi, zanim spadł ciężko na bok. Powitały to przyciszone śmiechy i cienkie, świegotliwe głosy, które równie dobrze mogłyby dobywać się z gardeł jakichś ogromnych ptaków. Jerry podniósł się, zjeżył komicznie na karku i warczeniem dał wyraz najwyższej wzdardzie dla tych poślednich dwunożnych istot, które były posłuszne woli wielkich, białoskórych, dwunogich bogów, takich jak Mister Haggin albo Kapitan.

Bynajmniej nie zniechęcony ciężkim upadkiem, Jerry znów popróbował wleźć na drabinę. Skorzystał z chwilowej przerwy w kołysaniu i jego przednie łapy znalazły się już na górnej krawędzi schodni, kiedy przyszła następna wielka fala. Przytrzymał się kurczowo zgiętymi łapami, po czym wypełznął na pokład.

Na śródkręciu przysiadł nie opodal świetlika i począł przypatrywać się ludziom z załogi oraz Lerumiemu. Rozpoznał ich ostrożnie i nagle odszedł sztywno, kiedy Lerumi wydał stłumione, groźne syknięcie. Na rufie, przy kole zastał sterującego krajowca, a przy nim oficera, który pełnił wachtę. W chwili gdy Borckman zagadał do Jerry'ego i pochylił się, żeby go pogłaskać, pies zwietrzył gdzieś niedaleko Kapitana. Pomerdawszy więc pojednawczo ogonem, ruszył pod wiatr i natknął się na Van Borna, który leżąc na wznak spał twardo, zawinięty w koc tak, że wystawała mu tylko głowa.

Jerry przede wszystkim obwąchał go radośnie i z zadowoleniem pomachał ogonem. Ale Kapitan nie obudził się; kiedy zaś nadleciała fala deszczu, drobnego niemal jak mgła, Jerry skulił się i ostrożnie wypełznął pomiędzy głowę a ramię Van Horna. To wreszcie zbudziło kapitana, gdyż cichym, pieszczotliwym głosem wyszeptał: „Jerry”, na co psiak odpowiedział dotykając jego policzka zimnym, wilgotnym nosem. Wtedy Kapitan znów zasnął. Ale Jerry nie spał. Uniósł nosem brzeg koca i wśliznął się cały do środka po ramieniu Kapitana. Ten ocknął się i na poły przez sen pomógł mu zwinąć się tam w kłębek. Ale Jerry nie poprzestał na tym. Począł okręcać się w kółko, aż wreszcie wtulił się w zagięcie ręki Kapitana i dopiero wtedy, złożwszy mu łeb na ramieniu, westchnął głęboko z zadowoleniem i zasnął.

Kilkakrotnie budził Van Horna hałas, który czyniła załoga przyciągając szkoty w miarę zmieniania się kierunku wiatru. Za każdym razem Kapitan przypominał sobie szczeniaka i pieszczotliwie przygarniał go ręką do siebie. I za każdym razem Jerry przez sen poruszał się w odpowiedzi i mocniej przytulał do niego.

Pomimo że był psem niepospolitym, Jerry miał ograniczone możliwości i nie mógł odgadnąć, jakie wrażenie wywiera na twardym Kapitanie delikatne, ciepłe dotknięcie jego aksamitnego ciała. Otóż pod wpływem tego dotknięcia Kapitan sięgnął pamięcią wiele lat wstecz, do chwili, gdy trzymał na ręku swą śpiącą córeczkę. Przypomniał to sobie tak żywo, że rozbudził się zupełnie i

przeróżne obrazy, poczynając od dzieciństwa malutkiej, jeły palić udręką jego mózg. Żaden biały na Wyspach Salomona nie wiedział, co Van Horn nosi w sobie ma jawie i często we śnie, a właśnie owe obrazy kazały mu uciec na Wyspy w daremnym usiłowaniu wymazania ich z pamięci.

Najpierw we wspomnieniu, pobudzonym przez tulącego się doń miękkiego psiaka, pojawiła mu się dziewczynka z matką w małym mieszkanku w Harlem. Małe było, to prawda, lecz wypełnione przemieniającym je w raj szczęściem ich trojga.

Ujrzał lnianopłowe włosy dziewczynki, które stopniowo upodabniały się do ciemniejszego złota włosów matki, w miarę jak wyrastały w pukle i loki, by wreszcie stać się dwoma grubymi, długimi warkoczami. Zrazu usiłował odegnać owe obrazy, lecz potem zaczął rozpamiętywać je, chcąc tak zaprzątnąć nimi wyobraźnię, by nie dopuścić do siebie tego jednego jedyne, którego nie chciał zobaczyć.

Przypomniał sobie swą pracę — wóz tramwajowego pogotowia technicznego — i swoich podwładnych i zastanowił się, co też porabia Clancey, który był jego prawą ręką. Stał mu przed oczyma ów długi dzień, kiedy wyrwano go z łóżka o trzeciej nad ranem, żeby wydobyć elektrowóz z potłuczonych okien wystawowych sklepu i ustawić go z powrotem na szynach. Tego dnia harowali do wieczora, usuwając pół tuzina innych uszkodzeń, a kiedy o dziewiątej wrócili do zajezdni, przyszło ponowne wezwanie.

„Chwała Bogu!” — powiedział wtedy Clancey, który mieszkał w sąsiednim domu. Van Horn widział jeszcze jego spoconą twarz, którą ocierał mówiąc te słowa. — „Chwała Bogu, to chyba coś niewielkiego i w naszej dzielnicy — o kilkanaście ulic stąd. Jak tylko się z tym załatwimy, będziemy mogli machnąć się do domu, a chłopaki odprowadzą wóz do warsztatów”.

„Trzeba go tylko podlewarować” — odpowiedział wtedy.

„A co tam się stało?” — zapytał Billy Jaffers, inny członek ekipy.

„Kogoś najechali i nie mogą teraz wyciągnąć” — odparł, kiedy wsiadali do wozu technicznego i ruszali z miejsca.

Widział znów wszystkie wydarzenia tej długiej jazdy, razem z zatorem spowodowanym przez wozy strażackie pędzące do jakiegoś pożaru. Przez ten czas on i Clancey podkpiwali z Jaffersa na temat jego randek z różnymi wymyślanymi dziewczętami, udaremnionych przez tę dodatkową robotę.

Dotarli do długiej linii zablokowanych tramwajów, ujrzeli tłum, powstrzymującą go policję, dwie karetki pogotowia czekające na swój ładunek oraz młodego policjanta, który pełnił tu służbę, a teraz stał blady, wstrząśnięty i powitał go słowami: „Straszna rzecz, panie. Aż się człowiekowi niedobrze robi. Dwie osoby przejechane. Nie możemy ich wydobyć. Próbowałem. Jedna chyba jeszcze żyła”.

Ale Van Horn był człowiekiem krzepkim i dziarskim, przywykłym do takiej roboty. Był już znużony ciężkim dniem, a w perspektywie miał miłe, wesołe mieszkanko, czekające nań po skończonej pracy o kilkanaście ulic dalej. Odpowiedział więc wesoło i ufnie, że ich wyciągnie raz-dwa, po czym pochylił się i wpełznął na czworakach pod tramwaj.

I znowu zobaczył teraz siebie w chwili, kiedy pocisnął guzik latarki elektrycznej i spojrzał. Znowu ujrzał bliźniacze, grube warkocze złocistych włosów, nim palec osunął się z guziczka pogrążając go w ciemności. .

„Żyje jeszcze ta jedna?” — pytał wstrząśnięty policjant.

I powtarzał to pytanie, podczas gdy Van Horn pasował się z sobą, aby się zdobyć na zapalenie latarki.

Usłyszał własny głos, gdy odpowiadał: „Za chwilę się przekonam”.

I znowu patrzył. Patrzył przez długą minutę.

„Obie nie żyją — odrzekł spokojnie.— Clancey, daj lewar numer trzy i wejdź z drugim pod tamten koniec wozu”.

Teraz, na statku, leżał na wznak wpatrując się w samotną, przymgloną gwiazdę, która kołysała się, widoczna poprzez rzednące obłoki. Czuł w gardle dawny ucisk, w ustach i oczach — dawną, chropawą suchość. I wiedział to, czego nie wiedział nikt inny: dlaczego jest tu, na Wyspach Salomona, szyprem tekowego szkunera „Arangi” przewożącego niewolników, dlaczego ryzykuje głową i pije więcej szkockiej whisky, niż to może wyjść komukolwiek na zdrowie.

Od tamtego wieczora nie spojrzął już ciepło na żadną kobietę. U innych białych miał opinię notorycznie nieczułego na wdzięki wszelkich dzierlatek o czarnej czy białej skórze.

Lecz oto stanąwszy oko w oko z najwyższą grozą wspomnień, wkrótce zdołał zasnąć znowu, rozkosznie przy tym świadom bliskości głowy Jerry'ego, złożonej na jego ramieniu. Raz, kiedy Jerry, któremu przyśniła się plaża na Meringe, Mister Haggin, Bidy, Terencjusz i Michael, zaskomlał cichutko, Van Horn ocknął się na tyle, że przygarnął go mocniej do siebie i mruknął groźnie: „Niech tylko któryś czarnuch tknie tego psiaka...”

O północy, kiedy oficer dotknął jego ramienia, Van Horn budząc się, jeszcze nie oprzytomniawszy całkowicie, uczynił szybko, automatycznie dwie rzeczy. Prawą ręką sięgnął do pistoletu spoczywającego na biodrze oraz mruknął: „Jeżeli któryś czarnuch tknie tego psiaka...”

— To chyba przyładek Kopo przed nami — powiedział Borckman, kiedy obaj popatrzeli ku nawietrznej na wznoszący się z morza ląd. — Nie zrobiliśmy więcej niż dziesięć mil i nie ma co spodziewać się stałego wiatru.

— Tam się coś niecoś szykuje — odparł Van Horn spoglądając na poszarpane chmury, które sunęły po przymglonych gwiazdach.

Zaledwie oficer zdążył przynieść sobie z dołu koc i ułożyć się na pokładzie, rzeźwa, silna bryza powiała od lądu i pchnęła „Arangi” po gładkiej wodzie z szybkością dziewięciu węzłów. Jerry przez pewien czas próbował pełnić wachtę razem z Kapitanem, ale wkrótce zwinął się w kłębek i zasnął, jedną połową ciała na deskach, a drugą na bosych stopach Kapitana.

Kiedy Van Horn podniósł go i zawinął w koc, Jerry ocknął się i po chwili usnął znowu. Zaraz jednak obudził się i wyskoczywszy z koca, jął dreptać po pokładzie za przechadzającym się tam i z powrotem Kapitanem. Teraz nastąpiła nowa lekcja; Jerry w pięć minut pojął, iż wolą Kapitana jest, aby pozostał w kocu, że wszystko jest w porządku, a Kapitan będzie spacerował w pobliżu. O czwartej oficer objął wachtę na pokładzie.

— Uplłynęliśmy trzydzieści mil —oznajmił mu Van Horn. — Ale teraz znowu wieje zmienny wiatr. Uważaj pan na szkwały przybrzeżne. Lepiej rzucić fały na -pokład, a wachta niech będzie gotowa. Jasne, że będą spali, ale niech chociaż śpią przy fałach i szkotach.

Jerry zbudził się w chwili, gdy Kapitan wsuwał się pod koc. Zupełnie jakby to był od dawna już ustalony zwyczaj, psiak zwinął się w kłębek pomiędzy jego ręką a bokiem, raz prychnął radośnie, pocałował go chłodnym językiem, a kiedy Kapitan pieszczotliwie przytulił się do niego policzkiem, Jerry zapadł w sen.

W pół godziny później — o tyle, o ile Jerry mógł się połapać —doznał wrażenia, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nastąpił niespodziewany koniec świata. Obudził go Kapitan zrywając się gwałtownym susem, od którego koc poleciał w jedną stronę, a psiak w drugą. Pokład „Arangi” przemienił się niejako w ścianę, po której Jerry zsuwał się pośród huczącej ciemności. Wszystkie lny i wanty dźwięczały i skrzypiały pod wściekłym naporem szkwału.

— Do fałów! Żywo! — usłyszał donośny krzyk Kapitana. Słyszał też cienki brzęk grotaszku

sunącego przez bloki, podczas gdy Van Horn w ciemnościach luzował śpiesznie szkot, który tylko raz okręcony na maglu przelatywał mu poprzez piekące dłonie.

Podczas gdy te wszystkie odgłosy, wrzaski załogi i krzyki Borckmana. uderzały Jerry'ego w bębenki uszne, zsuwał się on po stromym pokładzie swego nowego, niestałego świata. Ale nie doleciał do relingu, o który mógłby łatwo połamać sobie kruche żebra. Ciepła woda oceanu, chlusnąwszy przez zanurzoną burtę powodzią bladej fosforescencji, osłabiła jego upadek. Kłębowisko luźnych lin oplatało go w chwili, gdy zaczynał płynąć.

Płynął nie po to, aby ocalić życie, ani nie z lęku przed śmiercią. Opanowała go tylko jedna myśl. *Gdzie jest Kapitan?* Nie żeby chciał go ratować czy przyjść mu z pomocą. Powodowało nim miłujące serce, które każdego zawsze ciągnie do ukochanych. Podobnie jak matka w chwili katastrofy usiłuje dostać się do swego dziecka, jak Grek konając wspomina słodkie Argos, jak żołnierz na polu bitwy umiera z imieniem lubej na ustach — tak Jerry w tym walącym się świecie chciał być przy Kapitanie.

Szkwał ucichł równie nagle jak uderzył. „Arangi” wyprostował się raptownym szarpnięciem, a Jerry wylądował w prawym ścieku burtowym. Podreptał przez poziomy już pokład do Kapitana, który stojąc na szeroko rozkraczonych nogach, ze zwojem grotaszkotu w garści, wykrzykiwał:

— *Gott-fer-dang!* Wiatr poszedł! Deszczu nie ma!

Poczuł na nagiej łydce zimny nos Jerry'ego, usłyszał jego radosne dmuchnięcie, pochylił się i pogładził psa. Nie widział nic po ciemku, ale serce rozgrzała mu świadomość, że Jerry na pewno merda ogonem.

Liczni wystraszeni krajowcy stłoczyli się na pokładzie, a ich żalosne, piskliwe głosy brzmiały niby senne ćwierkanie ptactwa. Borckman stanął przy Van Hornie i obaj, pełni napięcia i niepokoju, usiłowali przeniknąć wzrokiem otaczającą ich czerń, wsłuchując się usilnie w odgłosy żywiołów wody i powietrza.

— Co się stało z deszczem? — zapytał gderliwie Borckman. — Zawsze najpierw jest wiatr, potem zaś przychodzi deszcz, który go tłumi. A tu deszczu nie ma.

Van Horn wciąż wyteżał wzrok, nasłuchiwał i nic nie odpowiadał.

Ich zaniepokojenie wyczuł Jerry, który także był pełen napięcia. Przycisnął chłodny nos do łydki Kapitana, a różany pocałunek języka przyniósł mu słony smak morskiej wody.

Kapitan pochylił się nagle, szybko i trochę szorstko zawinął go w koc i złożył między dwoma workami *yamów*, uwiązany za bezan-masztem. Po namyśle okręcił jeszcze koc kawałkiem powroza, tak że Jerry znalazł się jakby zawiązany w worku. Ledwie to się stało, przeleciał nad nimi bom, przednie żagle strzeliły wypełniając się raptownie, a wielki grotżagiel, wskutek poluzowania szkotu przez Van Horna, napiął takelunek z trzaskiem, od którego cały statek zatrzęsł się i przechylił gwałtownie. To drugie uderzenie przyszło z przeciwnej strony i było potężniejsze niż pierwsze.

Jerry usłyszał głos Kapitana wołającego do oficera:

— Do fałów! Luzować liny! Ja pilnuję takelunku!

A potem do kogoś z załogi:

— Batto! Ty luzować szybko lina bezan! Ranga ! Ty puścić szkot bezan!

Tu Van Horna zwała z nóg lawina krajowców, którzy stłoczyli się na pokładzie podczas pierwszego szkwału. Kotłująca się masa ludzka, której sam był częścią, stoczyła się na zanurzone w wodzie druty kolczaste nadburcia. Jerry był tak dobrze ulokowany w swoim kąciku, że nie wypadł stamtąd. Gdy jednak usłyszał, że komendy Kapitana zamilkły, a w parę minut potem rozległy się jego przekleństwa przy drucie kolczastym, począł ujadać przenikliwie i szarpać wściekle koc, aby się zeń uwolnić. Coś się stało Kapitanowi. To jedno wiedział. Wiedział tylko tyle, bo nie myślał o sobie w

tym chaosie walącego się świata.

Umilkł jednakże, aby nadstawić ucha na nowy odgłos — grzmiący łopot żagli, któremu towarzyszyły wrzaski i krzyki. Wyczuł — i wyczuł błędnie — iż jest to zapowiedź czegoś niedobrego, nie wiedział bowiem, że to grot-żagiel zjeżdża na dół, gdyż Kapitan przeciął nożem jego liny.

Piekielną wrzawę pomnażał jeszcze Jerry ujadaniem, gdy wtem poczuł czyjąś rękę macającą wewnątrz koca. Znieruchomiał i pociągnął nosem. Nie, to nie był Kapitan. Powąchał raz jeszcze i poznał Lerumiego, Murzyna, którego Biddy przewróciła na plaży poprzedniego ranka i który później kopnął Jerry'ego w czubek ogonka, a nie dalej jak tydzień temu cisnął kamieniem w Terencjusza.

Powróż był rozwiązany, a ręka Murzyna szukała Jerry'ego wewnątrz koca. Warknął, jak umiał najgroźniej. To było świętokradztwo. On, pies białego człowieka, był tabu dla wszystkich czarnych. Wcześniej nauczył się prawa, że żadnemu Murzynowi nie wolno tknąć psa białego boga. A tu Lerumi, który był uosobieniem zła, ośmielał się go dotykać w momencie, gdy walił się otaczający ich świat.

Kiedy palce dotknęły Jerry'ego, ten zwarł na nich szczęki. A potem druga ręka czarnego spadła nań z taką siłą, że zaciśnięte zęby rozorały skórę i ciało na palcach, kiedy Lerumi je wrywał.

Wściekając się jak szatanek, Jerry uczył, że go podnoszą za kark i na wpół uduszony wyleciał w powietrze. Lecąc nie przestał szaleć z furii. Spadł w morze i zniknął pod powierzchnią wchłaniając w płuca łyk słonej wody, po czym wychynął dławiąc się, ale płynąc dalej. Pływanie było jedną z rzeczy, o których nie potrzebował myśleć. Nigdy nie musiał uczyć się pływać, podobnie jak nie musiał uczyć się oddychać. Prawdę mówiąc, uczył się chodzić, natomiast pływanie było dla niego czymś zupełnie naturalnym.

Wicher wył dokoła. Lotne piany, gnane podmuchami wiatru, wciskały się Jerryemu w pysk i nozdrza, biły w oczy, oślepiały i piekły. Walcząc o oddech, Jerry, nie obeznany z morzem, podniósł nos wysoko w powietrze, aby go wydźwignąć ponad dławiącą kipieli. Wynik był taki, że utraciwszy pozycję poziomą, nie mógł utrzymać się na powierzchni przebierając łapami i opadł prostopadle w dół. Wypląnął znowu dławiąc się słoną wodą, która wlewała mu się do tchawicy. Tym razem, nie wyrozumowawszy sobie tego, a tylko idąc po linii najmniejszego oporu, która dlań była linią największej wygody, wyciągnął się w morzu na płask i płynął dalej w tej pozycji.

Kiedy szkwał zaczął przycichać, doleciał z mroku do Jerry'ego łopot na wpół opuszczonego grot-żagla, piskliwe głosy załogi, przekleństwa Borckmana i górujący nad tym wszystkim głos Kapitana, który krzyczał:

— Trzymać żagiel, chłopaki ! Nie puszczać ! Ściągać mocno ! Grotasz kot o dwa bloki ! Dalej go, cholera na was!

Poznawszy głos Kapitana, Jerry, 'który kotłował się w gęstych skłębionych falach, co wystrzeliły w górę, kiedy wiatr zelżał, jał szczebrać zajadle, dając wyraz całej tęsknocie i miłości do nowoznalezionego, ukochanego pana. Ale wszelkie odgłosy wprędce ucichły, kiedy „Arangi” zaczął oddalać się od niego. I wtedy pośród mroku i samotności, unoszony na wzdymającym 'się łonie morza, w którym rozpoznał jeszcze jednego z odwiecznych wrogów, Jerry zaczął skomleć i płakać żałośnie jak zagubione dziecko.

Wiedziony jakimś niejasnym, mrocznym odruchem intuicji, pojął całą swą słabość wobec bezlitosnego, nieczułego morza, które groziło mu tą rzeczą niepojętą, mgliście, ale straszliwie przeczuwaną, a mianowicie śmiercią. Jeżeli idzie o niego samego, to nie potrafił objąć śmierci rozumem. On, który nigdy nie uświadamiał sobie, że był czas, gdy jeszcze nie żył, nie mógł wyobrazić sobie chwili, gdy żyć przestanie.

A jednak była ona już bliska i jej ostrzegawczy krzyk przenikał wskroś każdej komórki jego ciała, wskroś bystrego mózgu i każdego wrażliwego nerwu. Wszystkie owe odczucia wróżyły ostateczną katastrofę, o której nie wiedział nic, lecz mimo to czuł, że jest najwyższą i nieodwołalną klęską. Aczkolwiek jej nie pojmował, przecie lękał się tego nie mniej dojmująco od ludzi, którzy rozumieją i zdolni są do znacznie głębszych i szerszych uogólnień niż zwykle, czworonożne psy.

Podobnie jak człowiek zмага się w szponach koszmaru, tak Jerry zмагаł się z rozeźlonym, dławiącym solą morzem. Skomlał i pisał jak zagubione dziecko — ten zagubiony szcze niak, żyjący zaledwie od pół roku na pięknym świecie, pełnym dojmującej radości i cierpień. Chciał do Kapitana. Kapitan był bogiem.

Na pokładzie „Arangi”, któremu ulżyło opuszczenie grot-żagla, kiedy wiatr utracił ostrość, a tropikalne oberwanie chmury lunęło potokami deszczu, Van Horn i Borckman podeszli do siebie potykając się w ciemnościach.

— Podwójny szkwał — powiedział Van Horn. — Kropnął nas od lewej i prawej burty.

— Musiał rozłamać się na dwoje, zanim w nas uderzył — dodał oficer.

— A cały deszcz został w drugiej połowie... — zaczął Van Horn, lecz przerwał z przekleństwem.

— Hej! Co ty wyrabiasz! — krzyknął do krajowca stojącego przy sterze.

Statek, którego bezan-szkoty właśnie wybrano do końca, wyostrzył, tylny żagiel załopotał, a przednie wypełniły się na drugim halsie. „Arangi” zawracał mniej więcej po tym samym kursie, po którym płynął dotychczas. To oznaczało, że cofa się ku Jerry'emu, który kotłował się w morzu. W ten sposób, dzięki pomyłce czarnego sternika, szale, na których ważyło się życie psiaka, przechyliły się na jego korzyść.

Trzymając „Arangi” na nowym halsie, Van Horn zapędził Borckmana do rozplątywania wikłaniny lin walających się na pokładzie, a sam przykucnął pod strumieniami deszczu i jał splatać te, które poprzecinał. Kiedy ulewa zaczęła rzednąć, a jej stukot o deski pokładu nieco przycichł, uwagę Kapitana przyciągnął jakiś głos dolatujący z wody. Ręce Van Horna znieruchomiały; nadstawił ucha, a kiedy rozpoznał skomlenie Jerry'ego, zerwał się na równe nogi, jak gdyby tknięty iskrą elektryczną.

— Psiak jest za burtą! — krzyknął do Borckmana. — Dawaj pan kliwer na nawietrzną!

Poskoczył ku rufie, roztrącając na lewo i prawo grupkę krajowców.

— Hej, chłopaki załoga! Szalupy! Do szkotu bezan! Bezan precz!

Rzucił okiem na naktuz i śpiesznie zorientował się według kompasu, z jakiego kierunku dolatuje skomlenie Jerry'ego.

— Ster na burzę! — rozkazał sternikowi, po czym przyskoczył do koła i sam je przekręcił krzyżąc głośno: — Nord-est do ostu o ćwierć! Nord-est do ostu o ćwierć!

Zawróciwszy do naktuza, daremnie nasłuchiwał następnego skomlenia Jerry'ego w nadziei, że uda mu się sprawdzić swój pierwszy, pośpieszny zamiar. Nie czekał długo. Pomimo faktu, iż dzięki jego manewrowi „Arangi” zatrzymał się w miejscu, Van Horn wiedział, że napór wiatru i dryf szybko odepchną go od płynącego psiaka. Krzyknął więc do Borckmana, by skoczył na rufę i przyciągnął szalupę, a sam zbiegł na dół po elektryczną latarkę i busolę.

Statek był taki mały, że musiał holować jedyną swoją szalupę na długiej podwójnej linie. Zanim Borckman przyciągnął łódź do rufy, Van Horn już był z powrotem. Nie zważając na druty kolczaste przesadził przez nie kilku członków osady i zepchnął ich do szalupy, za czym sam skoczył do niej i wydał ostatnie rozkazy w chwili, gdy odrzucano cumy.

— Wywieś pan na pokładzie latarnię, Borckman! Trzymaj statek w miejscu! Nie wciągaj grot-żagla! Oczyszć pan pokład i każ wachcie na nowo otaklować bom grot-żagla.

Chwył wiośło sterowe i począł zachęcać wiosłarzy krzykami:

— *Washee-washee*, dobra chłopaki! *Washee-washee!* — co w *bêche-de-mer* oznaczało: wiosłować mocno.

Sterując oświetlał co chwila błyskiem latarki busolę, ażeby trzymać kurs na nord-ost do ostu o ćwierć rumba. Potem przypomniał sobie, że na takim kursie busola szalupowa odchyła się o całe dwa rumby od kompasu „Arangi”, więc odpowiednio zmienił kierunek.

Od czasu do czasu rozkazywał ludziom, by przestali wiosłować, wtedy nasłuchiwał i wołał Jerry'ego. Płynęli zataczając koła tam i z powrotem, ku nawietrznej i zawietrznej, krążąc po tej połaci mrocznego morza, na której według przypuszczeń Kapitana musiał znajdować się szczeniak.

— Teraz wy, chłopcy, nadstawiać ucha — powiedział. — Jak który usłyszeć mały dziecko-pies, to ja temu chłopak dać pięć sążni perkalu i dwa razy po dziesięć kostek tytoniu.

Po pół godzinie ofiarowywał już dwa razy po dziesięć sążni perkalu i dziesięć razy po dziesięć kostek tytoniu temu, „kto pierwszy usłyszy dziecko-pies”.

Z Jerry'm było już bardzo niedobrze. Nienawykły do pływania, dławił się słoną wodą, która chlustała mu do otwartego pyska, i już zaczynał drętwieć, gdy wtem po raz pierwszy dostrzegł błysk latarki Van Horna. Nie kojarzył go sobie z Kapitanem, nie zwrócił więc na to większej uwagi niż na pierwsze gwiazdy, ukazujące się na niebie. Nie przyszło mu nawet do głowy zastanawiać się, czy to gwiazda, czy nie. Nadal skomlał i dławił się słoną wodą. Gdy jednak usłyszał wreszcie głos Kapitana, z miejsca oszalał. Popróbował stanąć i złożyć przednie łapy na dobiegającym z mroku głosie Van Horna, podobnie, jak złożyłby je na jego kolanach, gdyby Kapitan był blisko. Rezultat okazał się katastrofalny. Z pozycji poziomej Jerry opadł pionowo w dół, po czym wypłynął znowu, dusząc się spazmatycznie.

Trwało to krótko, lecz przez ten czas dławienie nie pozwalało mu odpowiedzieć na ciągłe rozlegające się krzyki Kapitana. Gdy wreszcie zdołał dobyć z siebie głos, wybuchnął radosnym szczekaniem. Kapitan przybywał, aby go wyciągnąć z piekącego, żrącego morza, które- oślepiąło oczy i zadawało ból przy oddechu. Kapitan był naprawdę bogiem, jego bogiem, posiadającym boską moc ocalania.

Wkrótce usłyszał rytmiczny stukot wiosła w dulkach, a radosnemu szczekaniu psiaka zawtórowały radosne okrzyki Van Horna, który ciągle dodawał mu otuchy nawołując też od czasu do czasu wiosłarzy.

— No, dobrze, Jerry, mój stary! Dobrze, Jerry, dobrze! *Washee-washee*, chłopaki! Płyniemy, Jerry, płyniemy! Trzymaj się, staruszk. Wiosłować tam jak cholera! No, już jesteś my. Nie dawaj się



! Trzymaj się, Jerry, dostaniemy cię! Spokojnie... spokojnie... *Washee*, a mocno!

I wtem, ku swemu zdumieniu, Jerry ujrzał niespodzianie tuż nad sobą wynurzającą się z mroku szalupę. Oślepił go promień latarki skierowanej prosto w oczy; szczekając radośnie poczuł i poznał rękę Kapitana, która chwyciła go za skórę na karku i unosiła w powietrze.

Zmoczony, ociekający wodą, znalazł się na złanej deszczem piersi Van Horna. Merdał obłądnie ogonkiem, który uderzał

o przytrzymującą go rękę, wił się cały, dotykał szaleńczo językiem brody, ust, policzków i nosa Kapitana. A ten zapomniał, że sam jest przemoczony i że właśnie przeniknął go pierwszy dreszcz nawrotu malarii przyspieszonego przez wilgoć

i podniecenie. Wiedział tylko, że psiak, podarowany mu zaledwie poprzedniego rana, jest znowu bezpieczny w jego objęciach.

Podczas gdy osada szalupy robiła wiosłami, Van Horn kierował łodzią przytrzymując wiosło sterowe pod pachą, ażeby móc drugą ręką obejmować Jerry'ego.

— Ach, ty hultaju — powtarzał pieszczotliwie. — Ty mały hultaju!

Jerry odpowiadał mu pocałunkami języka, skomleniem i piskiem, podobnie jak zagubione dziecko w chwili odnalezienia. Prócz tego dygotał gwałtownie. Ale nie z zimna. Przyczyną były raczej nazbyt napięte, wrażliwe nerwy.

Wróciwszy na pokład Van Horn przedstawił swoje rozumowanie oficerowi.

— Psiak nie wylażł ot tak sobie za burtę. I wcale go nie zmyło. Związałem go powrozem w kocu.

Wszedł między załogę i kilkudziesięciu powracających krajowców, którzy stali na pokładzie, i oświetlił latarką koc leżący na *yamach*.

— Proszę, oto dowód. Powróz przecięty. Jeszcze jest na nim węzeł. No, a teraz który czarnuch to zrobił?

Rozejrzał się po kręgu ciemnych twarzy, kierując na nie pro mień latarki, a w jego wzroku był taki gniew i oskarżenie, że oczy wszystkich opuściły się albo zwróciły w inną stronę.

— Ba, gdyby ten pies umiał mówić! — odezwał się z żalem Kapitan. — Powiedziałyby nam, kto to zrobił.

Pochylił się nagle nad Jerry'm, który stał tuż przy jego nogach tak blisko, że mokre łapy opierały się o bosc stopy Kapitana.

— Ty go znasz, Jerry, ty znasz tego czarnego — powiedział, a słowa jego były szybkie i przejmujące, ręka zaś zatoczyła krąg wskazując Murzynów.

Jerry ożywił się natychmiast i zaczął skakać tu i tam, szczekając urywanie a zapalczywie.

— Jestem przekonany, że mógłby mnie zaprowadzić do winowajcy — zwierzył się Van Horn oficerowi. — Chodź, Jerry, znajdź go, weź go, zabij. No, który to, Jerry? Pokaz! Pokaz!

Jerry wiedział jedynie, że Kapitan czegoś i od niego chce. Winien był znaleźć to coś i pałał chęcią przysłużenia się swemu panu. Przez chwilę uwijał się gorliwie, chociaż bezładnie, a zachęcające okrzyki Kapitana wzmagały jego podniecenie. Potem zaś przyszła mu do głowy pewna myśl, i to myśl zupełnie określona. Krąg czarnych rozłamał się, by go przepuścić, gdy pognał na dziób wzdłuż prawej burty, ku mocno związanemu stosowi skrzynek. Wetknął pysk w otwór, w którym gnieździł się dziki pies, i pociągnął nosem. Tak, dziki pies tam siedział. Jerry nie tylko go zwietrzył, ale usłyszał też groźne warknięcie.

Spojrzał pytająco na Kapitana. Czy o to mu chodziło, żeby tam wlażł i dobrał się do dzikiego psa! Ale Kapitan roześmiał się i dał ręką znak, że ma szukać czegoś innego.

Odkoczył więc wężąc tam, gdzie — jak wiedział z doświadczenia — mogły ukrywać się karaluchy i szczury. Jednakże rychło zaświtało mu w głowie, że Kapitanowi nie o takie rzeczy idzie.

Serce Jerry'ego przepęłniała żądza usłużenia swemu panu, toteż nie zdając sobie jasno sprawy, po co to robi, zaczął obwąchiwać nogi czarnych.

To wywołało tym żywsze przynaglania i słowa zachęty ze strony Kapitana, które przyprawiły Jerry'ego nieomal o szaleństwo. Nareszcie trafił. Zrozumiał, że ma odróżnić po nogach załogę od „powracających”. Przyspieszył wykonanie zadania przebiegając szybko od jednego Murzyna do drugiego, aż w końcu stanął przed Lerumim.

Wtedy zapomniał, że Kapitan coś od niego chciał. Wiedział tylko, że ten Lerumi podnosząc nań rękę złamał tabu chroniące jego uświęconą osobę i że to on wyrzucił go za burtę.

Z krzykiem wściekłości, z błyskiem białych zębów i zjeżoną krótką sierścią na karku rzucił się na czarnego. Lerumi zaczął uciekać po pokładzie, a Jerry pogonił za nim wśród śmiechu wszystkich Murzynów. Obiegając pokład zdołał kilkakrotnie zadrapać zębami umykające łydki. Wreszcie Lerumi wspiał się na olinowanie grot-masztu, Jerry zaś pozostał na dole miotając się w bezsilnej furii.

Czarni ugrupowali się półkolem w bezpiecznej odległości, a Van Horn wystąpił naprzód i stanął przy Jerry'm. Skierował latarkę elektryczną na uczeponego u lin Murzyna i zauważył długie, równoległe pręgi na palcach tej ręki, która wcisnęła się do koca Jerry'ego. Pokazał to znacząco Borckmanowi, który stał na zewnątrz kręgu czarnych uważając, by żaden nie zaszedł go od tyłu.

Kapitan podniósł Jerry'ego i uspokoił go słowami:

— Dobry piesek, Jerry. Naznaczyłeś go i napiętnowałeś. Mądry pies z ciebie, dobry piesi

Obrócił się z powrotem do uczeponego u olinowania Lerumiego i oświetliwszy go powiedział szorstkim, zimnym tonem:

— Jak nazywać ty chłopak?

— Ja Lerumi — odpowiedział tamten piskliwym, drżącym głosem.

— Ty z Pennduffryn?

— Ja z Meringe.

Kapitan Van Horn namyślał się chwilę, tuląc psiaka w objęciach. Ostatecznie to był powracający krajowiec. Za dzień, dwa najwyżej wysadzi go na ląd i więcej nie zobaczy.

— Daję słowo — przemówił — ja gniewać na ciebie. Ja bar dzo za bardzo gniewać na ciebie. Ja gniewać na ciebie ogromnie dużo. Dlaczego ty wrzucić mój dziecko-pies do wody?

Lerumi nie mógł nic wykrztusić w odpowiedzi. Bezradnie przewracał oczami, pogodziwszy się z myślą, że dostanie takie baty, jakie biali panowie zwykli dawać, o czym od dawna wiedział z własnego gorzkiego doświadczenia.

Kapitan Van Horn powtórzył pytanie, a czarny nadal bezradnie przewracał oczami.

— Za dwie kostki tytoniu ja kazać ciebie złoić na miazgę — grzmiał Kapitan. — Ale ja za dużo gadać z tobą. Jeżeli ty raz spojrzeć na mój pies, ja ciebie złoić, a cała załoga patrzeć. Rozumieć?

— Mnie rozumieć — odparł żałośnie Lerumi i na tym zakończył się incydent.

Powracający Murzyni poszli spać do kajuty. Borckman z pomocą załogi wciągnął grot-żagiel na maszt i wprowadził „Arangi” na kurs. Kapitan, okrywszy się przyniesionym z dołu suchym kocem, zasnął wraz z Jerry'm, który wtulił się w zagięcie jego ręki i złożył mu głowę na ramieniu.

O siódmej rano Kapitan wypuścił Jerry'ego spod koca i wstał, a Jerry uświęcił nowy dzień zapędzając dzikiego psa z powrotem do dziury i pobudził do śmiechu zebranych na pokładzie czarnych, kiedy warcząc i błyskając zębami zmusił Lerumiego do odskoczenia o kilka kroków i ustąpienia mu miejsca na pokładzie.

Sniadaniem podzielił się z nim Kapitan, który nic nie jadł tylko popił kubkiem kawy pięćdziesiąt granów chininy zawiniętej w bibułę do papierosów i skarżył się oficerowi, że będzie musiał wleźć pod koc, aby wypocić atakującą go gorączkę. Chociaż palące słońce wydobywało wilgoć z desek pokładu małymi, skręconymi pasemkami pary, Van Horn zaczynał już szczekać zębami i trząść się, nie przestawał jednak pieścić Jerry'ego, nazywając go książątkiem, księciem, królem i synem królów.

Albowiem Van Horn często słuchał opowieści o rodowodzie Jerry'ego, które snuł Tom Haggin przy szkockiej whisky and soda, kiedy piekielny upał nie pozwalał mu położyć się do łóżka. A ów rodowód był najbardziej królewski, jaki mógł posiadać irlandzki terier, którego rasa, biorąca swój początek od dawnego irlandzkiego psa-wilka, została utworzona i ukształtowana przez człowieka w ciągu życia niespełna dwóch ludzkich pokoleń.

A więc figurował w owym rodowodzie Terencjusz Wspaniały, pochodzący, jak zapamiętał Van Hora, od wyhodowanego w Ameryce Miliona Droleen,- który z kolei wywodził się od królowej hrabstwa Antrim, Bredy Muddler. Ta zaś królewska suka — o czym wie każdy, kto zna księgi rodowodów — pochodziła w prostej linii od niemal już mitycznego Spudsa, przy czym jej babki nie wdawały się nigdy w miłosne awanturki z czarno-płowymi psami z Killeney czy walijskimi mieszającami. A czyż Bidy nie wywodziła się od Erin, matki i gwiazdy rodu, poprzez długą linię potomków Bredy Mixer, która sama była prababką Bredy Muddler? Niesposób też pominąć wśród tych karmazynowych przodków bliższej prababki Jerry'ego Meyi Doolen.

Tak więc Jerry zaznał w objęciach ukochanego boga ekstazy wzajemnej miłości, aczkolwiek nie bardzo wiedział, co znaczą takie słowa, jak „syn królewski” albo „syn królów”, poza tym że świadczą o kochaniu, podobnie jak syki Lerumiego świadczyły o nienawiści. O jednej rzeczy Jerry wiedział, nie wiedząc zgoła, że wie — a mianowicie, że w ciągu tych niewielu godzin, jakie spędził z Kapitanem, pokochał go bardziej niż Derby'ego i Boba, którzy poza Mister Hagginem byli jedynymi białymi bogami, jakich w ogóle znał. Nie uświadamiał sobie tego. Po prostu kochał, po prostu działał pod wpływem nakazu serca czy głowy, czy jakiegoś innego organicznego bądź anatomicznego narządu, w którym rodzi się tajemniczy, rozkoszny, nienasycony głód, zwany „miłością”.

Kapitan zszedł pod pokład. Nie oglądał się na Jerry'ego, który dreptał cichutko za nim, póki nie dotarli do schodni. Kapitan nie zwracał nań uwagi, gdyż jego ciałem targała gorączka, która mroziła do szpiku kości, sprawiała, że głowa rzekłbyś obrzmiewała do potwornych rozmiarów, świat roztapiał mu się przed zamglonymi oczami, on sam zaś stąpał niepewnie i chwiejnie niby człowiek pijany lub bardzo stary. A Jerry wyczuwał, że z Kapitanem dzieje się coś niedobrego.

Van Horn, który na przemian to bełkotał w gorączce, to znowu milkł, starał się opanować, aby zejść na dół i wleźć pod koce. Opuścił się po drabinie, a Jerry z utęsknieniem, ale w milczeniu patrzył za nim, miał bowiem nadzieję, że kiedy Van Horn stanie na dole, to podniesie rękę i weźmie go do siebie. Ale Kapitan był zbyt otumaniony, żeby pamiętać, iż Jerry w ogóle istnieje. Zachwiał się rozwierając szeroko ramiona, aby nie upaść, i ruszył do koi umieszczonej w ciasnej kabinie.

Jerry prawdziwie pochodził z królewskiego rodu. Chciał szczeknąć i poprosić, by go zabrano na dół. Ale nie uczynił tego. Opanował się nie wiedząc czemu; był tylko niejasno świadom, że Kapitana

trzeba traktować jak boga i że nie jest to odpowiedni moment, aby mu się naprzykrzać. Sercem jego targała tęsknota, ale nie wydawał żadnego głosu; czekał tylko nad krawędzią schodni i nasłuchiwał przyciszonych kroków Kapitana, zdążającego ku kabynie.

Ale nawet królowie i ich potomstwo mają ograniczoną wytrzymałość, toteż po kwadransie Jerry dojrzał już do tego, by przerwać milczenie. Wraz z zejściem pod pokład Kapitana, z którym najwyraźniej działo się coś niedobrego, dla Jerry'ego rzekłbyś zagasło światło dzienne. Mógł wprawdzie podchodzić dzikiego psa, ale nie znajdował w tym żadnego powabu. Lerumi przeszedł nie zauważony, choć Jerry wiedział, że mógłby go napaść i spędzić z pokładu. Tysiączne wonie łądu docierały do wyczulonych nozdrzy psiaka, ale nie zwracał na nie uwagi. Nawet trzepocący grot-żagiel, który wzdymał się w górze, gdy „Arangi” przetaczał się po spokojnych falach, nie został przez Jerry'ego obdarzony bodaj jednym ironicznym spojrzeniem.

Właśnie gdy nawiedziła Jerry'ego natarczywa, niepowstrzymana chęć, by przysiąc, wznieść pysk ku niebu i wyciem oznajmić o targającej jego sercem żalości, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Niesposób wytłumaczyć, jak to się stało. Tak samo człowiek nie może wyjaśnić, dlaczego dziś przy obiedzie wybiera zielony groszek, a gardzi fasolką, skoro nie dalej jak wczoraj postanowił wybrać fasolkę, a gardzić zielonym groszkiem. Podobnie sędzia, skazujący przestępcę na osiem lat więzienia, nie zaś na pięć czy dziewięć, które jednocześnie przychodziły mu na myśl, nie może wytłumaczyć, dlaczego zdecydował się kategorycznie na lat osiem jako na sprawiedliwą i właściwą karę. Skoro nawet ludzie, będący nieomal półbogami, nie potrafią zgłębić tajemnic genezy myśli tudzież nakazów wyboru, jawiących się w ich świadomości jako postanowienia — nie podobna wymagać od zwyczajnego psa, aby znał źródło myśli popychających go do określonych czynów, które z kolei wiodą do określonych skutków.

Tak było z Jerry'm. Właśnie gdy już-już chciał zawyc, uświadomił sobie, że jakaś myśl, myśl całkowicie nowa i nieodparta, zjawiała się w najgłębszym ośrodku jego bystrego mózgu. Usłuchał jej tak, jak marionetka słucha sznurków, za które ją pociągają, i natychmiast ruszył ku rufie w poszukiwaniu oficera.

Chciał się odwołać do Borckmana. Borckman był także dwunogim białym bogiem. Z łatwością mógł go znieść po karkołomnej drabinie; dla Jerry'ego zdanego na własne siły stanowiła ona tabu, którego pogwałcenie było brzemiennie w klęskę. Ale Borckmanowi brak było owego rdzenia miłości, jakim jest zrozumienie. Ponadto był zajęty. Musiał nie tylko wciąż nadzorować różnych czynności, stawiać żagle, wydawać rozkazy sternikowi płynącego „Arangi”, pilnować załogi przy myciu pokładu i polerowaniu mosiężnych części, ale jeszcze ustawicznie pociągać ze skradzionej Kapitanowi butelki whisky, którą chował pomiędzy dwoma workami yamów, uwiązany za bezanmasztem.

Borckman, zagrożony czarnemu sternikowi, że wybije - z niego siódme poty i dziesięć przykazań za nieudolne sterowanie, właśnie miał łyknąć sobie znowu, gdy stanął przed nim Jerry i zagroził mu drogę. Uczynił to jednak inaczej niż na przykład w stosunku do Lerumiego. Nie pokazywał zębów i sierść nie jeżyła mu się na karku. Przeciwnie, był cały pokorą i błaganiem, miękkością prośby w ciele wprawdzie pozbawionym mowy, lecz jednak potrafiącym dużo powiedzieć, poczynając od machania ogonem i wicia się z radości aż po stulenie uszu i spojrzenie oczu, które nieledwie przemawiały do każdego wrażliwego i rozumnego człowieka.

Ale Borckman dojrzał na swojej drodze tylko czworonożnego zwierzaka, którego w swej aroganckiej brutalności uważał za większego zwierzaka od siebie. Cały śliczny obraz łagodnego pieska, przenikniętego chęcią wypowiedzenia swej prośby i przepełnionego czułym błaganiem, niedostępny był dla jego wzroku. Widział jedynie czworonoga, którego należy odtrącić z drogi, by

dalej pysznie kroczyć na swoich dwóch nogach ku butelce, co mu napełniała mózg pełzającymi larwami i pozwalała roić, że jest księciem, nie chłopem, i panem materii, a nie jej niewolnikiem.

Jakoż Jerry został odtrącony twardą, bosą stopą, równie szorstką i nieczułą jak bezduszna fala rozbryzgująca się na niewrażliwej skale. Przypadł na śliskim pokładzie, odzyskał równowagę i stanąwszy bez ruchu, popatrzał na białego boga, który potraktował go tak bezceremonialnie. Ta podłość i niesprawiedliwość nie wywołały u Jerry'ego odwetu w postaci groźnego warknięcia, jakim obdarzyłby Lerumiego lub każdego innego Murzyna. Odwet nie przeszedł mu nawet przez myśl. To nie był Lerumi. To był wyższy bóg, dwunogi, białoskóry, taki sam jak Kapitan, jak Mister Haggin i kilku innych, znanych Jerry'emu wyższych bogów. Uczuł jedynie ból, podobnie jak dziecko uderzone przez bezmyślną albo nie kochającą matkę.

Do bólu dołączyła się uraza. Był w pełni świadom, że istnieją dwa rodzaje szorstkości. Mogła być dobrotliwa, czuła szorstkość, taka jak wówczas, kiedy Kapitan chwycił go za pysk, potrząsał, aż psu zęby szczękały, i odrzucał od siebie z niewątpliwą zachętą do powrotu i ponownej zabawy. Taka szorstkość była dla Jerry'ego rajem. Kryła w sobie bliskość i poufałość z umiłowanym bogiem, który w ten sposób życzył sobie wyrażać wzajemne uczucie.

Natomiast szorstkość Borckmana różniła się od niej zupełnie. Była tym drugim rodzajem szorstkości, w której nie ma ani ciepłego uczucia, ani serdeczności. Jerry nie bardzo rozumiał, ale wyczuwał różnicę i choć nie dawał temu czynnego wyrazu, czuł się dotknięty taką niewłaściwością i niesprawiedliwością. Odzyskawszy więc równowagę przystanął i na próżno próbując zrozumieć, patrzył spokojnie na oficera, który przytknąwszy do warg butelkę, uniósł jej denko ku niebu i wydawał gardłem zdławione, bulgoczące odgłosy. Patrzył nadal spokojnie, gdy oficer odszedł na rufę i zagroził, że „wybije Pieśń nad Pieśniami” oraz resztę Starego Testamentu z czarnego sternika, który szczyrzył zęby w uśmiechu równie pokornym i łagodnym jak uśmiech Jerry'ego, kiedy zanosił swoje błagania.

Pozostawiwszy tego boga, którego nie lubił i nie rozumiał, Jerry smutnie podreptał z powrotem do schodni i tęsknie wytknął głowę przez krawędź, spoglądając za Kapitanem. Bolesną podniętą w jego świadomości była chęć przebywania z Kapitanem, który nie czuł się dobrze i któremu coś dolegało. Jerry chciał do Kapitana. Chciał być przy nim, po pierwsze zupełnie wyraźnie dlatego że go kochał, a po wtóre, już bardziej niejasno, dlatego że mógł mu się na coś przydać. A ponieważ chciał być przy Kapitanie, więc w swojej bezradności i młodocianym niedoświadczeniu życiowym skomlał i wypłakiwał się nad krawędzią schodni, był zaś zbyt czysty i bezpośredni w tym żalu, ażeby móc o nim zapomnieć w wybuchu złości na siedzących w kajucie i na pokładzie Murzynów, którzy zeń szydzili i chichotali.

Od szczytu schodni do podłogi było siedem stóp. Zaledwie kilka godzin przedtem Jerry wdrapał się na stromą drabinę, ale wiedział, że zejście po niej jest niepodobieństwem. Jednakże w końcu odważył się na to. Impuls serca, nakazujący mu dostać się za wszelką cenę do Kapitana, był nieodparty, ale Jerry rozumiał jasno, że nie może schodzić głową naprzód, nie mając oparcia dla łap i mięśni, tak jak przy wchodzeniu na górę. Toteż w ogóle tego nie próbował. Rzucił się prosto w dół jednym wspaniałym, heroicznym, podyktowanym przez miłość susem. Wiedział, że gwałci w ten sposób tabu życia, podobnie jak pogwałciłby inne tabu, gdyby wskoczył do laguny Meringe, w której pływały straszliwe krokodyle. Wielka miłość jest zawsze zdolna do uzewnętrznienia się w ofierze i samounicestwieniu. I tylko z miłości, nie z żadnej pomniejszej przyczyny mógł Jerry zdobyć się na ten skok.

Upadł na bok i głowę. Pierwsze uderzenie zaparło mu dech, drugie go ogłuszyło. Ale nawet leżąc tak na boku, nieprzytomny i drżący, przebierał konwulsyjnie łapami, jak gdyby bieg do Kapitana.

Krajowcy przypatrywali mu się ze śmiechem, kiedy zaś przestał drgać i poruszać łapami, śmieli się dalej. Ponieważ urodzili się i od początku żyli w dzikości, nie znając nic innego, więc też i ich poczucie humoru musiało być odpowiednio pierwotne. Widok ogłuszonego, a kto wie czy nie martwego psiaka, był dla nich czymś przezabawnym.

Dopiero po upływie czterech minut wracająca przytomność pozwoliła Jerry'emu pozbierać się z ziemi. Stanąwszy z przymglonymi oczami na szeroko rozkraczonych łapach, usiłował dostosować się do kołysania „Arangi”. Ale wraz z pierwszym przeblyskiem świadomości powróciła myśl, że musi dotrzeć do Kapitana. Czarni? Nie liczyli się przy całym jego niepokojem, trosce i miłości. Nie zwracał najmniejszej uwagi na rozchichotanych, szczerzących zęby, drwiących z niego czarnych chłopaków, którzy gdyby nie to, że znajdował się pod straszliwą opieką wielkiego białego pana, z rozkoszą ubiliby i zjedli szczeniaka, okazującego się, w miarę jak go wychowywano, zawołanym prześladowcą Murzynów. Nie obróciwszy nawet głowy ani nie łysnąwszy okiem, z arystokratyczną wyższością dając im jawnie do zrozumienia, że są dla niego niczym, podreptał do kabiny, w której Kapitan majaczył nieprzytomnie na koi.

Jerry, który nigdy nie miał malarii, nie rozumiał, co się dzieje. Ale w jego sercu obudził się wielki niepokój, ponieważ Kapitanowi coś groziło. Van Horn nie poznał Jerry'ego nawet wówczas, kiedy ten wskoczył do koi na jego dyszącą pierś i począł mu zlizywać z twarzy gryzący, gorączkowy pot. Dziko rozlatane ręce Kapitana odtrąciły psa i rzuciły go gwałtownie na ściankę koi.

To nie była szorstkość serdeczna ani też szorstkość Borckmana, który odpędzał go nogą. To był przejaw choroby Kapitana. Jerry nie wyrozumował sobie tego wniosku. Ale zachował się prawidłowo, tak jakby go wyrozumował. Prawdę mówiąc, zważywszy nieściskość jednego z najściślejszych języków świata, powiedzieć można jedynie, że Jerry wyczuł różnicę w owej szorstkości.

Siadł tuż poza zasięgiem niespokojnej, młócej ręki, pragnąc podsunąć się bliżej i znowu polizać twarz boga, który go nie poznawał, choć przecie kochał tak bardzo — i z drżeniem serca dzielił i przeżywał wraz z Kapitanem jego cierpienia.

— Ty, Clancey — bełkotał Van Horn. — Fajna dzisiaj robota... nie może być lepszej ekipy dla oczyszczenia tego, co narobili motorniczy... Lewar numer trzy, Clancey... Wleź pod przód... — A w miarę jak przeobrażały się zwidy jego koszmaru: — Tss, malutka... tak mówisz do tatusia... każesz mu czesać swoje śliczne złote włoski... Jak gdybym nie umiał... a przecież czesałem je przez te siedem lat... lepiej niż mamusia, kochanie, lepiej niż mamusia. Ja jeden mam złoty medal za czesanie ślicznych włosków mojej ślicznej córeczki... Wyrzywa się! Dać tam ster na burtę! Liny od kliwra i topsla! Pełnym wiatrem! Pełnym... Ach, idzie jak zaczarowany statek, bo taki jest na morzu... Tylko trochę uniosę... nie więcej. Blackey, jeżeli tyle zapłacisz za obejrzenie moich kart, co ja za to, by zajrzeć w twoje, to coś niecoś zobaczysz, możesz mi wierzyć !

I tak ta wikłanina nie powiązanych wspomnień płynęła z ust Kapitana, który rzucał się i machał rękami, podczas gdy Jerry, przyciśnięty do ścianki koi, trapił się, że nie może przyjść mu z pomocą. Wszystko, co się działo, było dla niego niepojęte. Nie więcej wiedział o grze w pokera niż o kierowaniu statkiem, usuwaniu rozbitych wozów tramwajowych w Nowym Jorku czy o czesaniu długich, złocistych włosów umiłowanej córeczki w małym mieszkanku w Harlema.

— Obie nie żyją — powiedział Kapitan, gdy przyszła nowa faza majaczenia. Wyrzekł to spokojnie, jak gdyby mówił, która godzina, po czym zajęczał: — Och, te śliczne, cudne, złote jej warkocze !

Przez chwilę leżał bez ruchu i szlochał, jakby mu serce miało pęknąć. Teraz nadarzyła się Jerry'emu upragniona sposobność. Wpełznął pod rozlataną rękę, przytulił się do Kapitana, położył mu

głowę na ramieniu ledwie dotykając policzka zimnym nosem i wtedy uczył, że ręka przyciąga go i przyciska mocniej. Zgięła się w kiści i poczęła gładzić go pieszczotliwie, a ciepłe dotknięcie aksamitnej sierści widać odmieniło bieg chorobliwych majaczeń Kapitana, bo mruknął zimno, zaciekle i złowrogo:

— Jeżeli któryś czarnuch bodaj łypnie okiem na tego psiaka...

# VIII

W pół godziny później na ciało Van Horna wystąpiły niezwykle obfite poty, zwiastujące przesilenie ataku malarii. Van Horn doznał olbrzymiej fizycznej ulgi, a ostatnie opary delirium pierzchły z jego mózgu. Był jednak bezwładny i osłabiony; odrzuciwszy koce poznał Jerry'ego, lecz zaraz zapadł w ożywczy, zdrowy sen.

Obudził się dopiero w dwie godziny później i ruszył na pokład. W połowie schodni zatrzymał się, postawił Jerry'ego na górze i wrócił do kabiny po zapomniany flakon z chininą. Ale nie zaraz przyszedł do Jerry'ego. Uwagę jego przyciągnęła długa szuflada pod koją Borckmana. Zamykająca ją drewniana gałka była urwana, a wysunięta daleko szuflada zwisała pod takim kątem, że zadawszy się nie wypadła na podłogę. Sprawa była poważna. Kapitan nie miał większych wątpliwości, że gdyby ubiegłej nocy, podczas szkwału, szuflada wypadła, nie pozostałoby ani śladu z „Arangi” i z osiemdziesięciu dusz znajdujących się na jego pokładzie. Była ona bowiem wypełniona całym mnóstwem lasek dynamitu, pudełek ze spłonkami, zwojów lontu, ołowianych ciężarków, narzędzi żelaznych oraz licznych pudełek amunicji karabinowej, rewolwerowej i pistoletowej. Kapitan uporządkował i posortował jej zawartość, a potem za pomocą śrubokrętu i dłuższej śruby przymocował na powrót gałkę.

Tymczasem Jerry'ego spotkała nowa przygoda, nie należąca do najprzyjemniejszych. Czekając na powrót Kapitana, spostrzegł przypadkiem dzikiego psa, który bezczelnie wylegiwał się na pokładzie, o kilkanaście stóp od swej kryjówki pod skrzynkami. Jerry natychmiast zaczął go podchodzić na sztywnych łapach. Powodzenie zdawało się być zapewnione, gdyż dziki pies leżał z przymkniętymi oczami i najwyraźniej drzemał.

W tejże chwili oficer, który kroczył od dziobu w kierunku ukrytej między workami *yamów* butelki, zawołał: „Jerry!” niezwykle chrapliwym głosem. Jerry stulił uszy i pomerdał życzliwie ogonem, ale dał do zrozumienia, że ma zamiar dalej podkradać się do swego wroga. Dzikie pies zaś na dźwięk głosu oficera szybko otworzył oczy, łypnął w kierunku Jerry'ego i myknął do swej dziury, gdzie natychmiast obrócił się, wytknął łeb, wyszczerzył zęby i warknął z tryumfalnym wyzwaniem.

Pozbawiony zdobyczy przez nieoględność oficera, Jerry zawrócił do schodni, aby tam czekać na Kapitana. Ale Borckman, który po wielu haustach miał mózg przyćmiony, upierał się przy swoim, jak to zwykle pijacy. Po dwakroć przywołał rozkazująco Jerry'ego i po dwakroć Jerry stuliwszy łagodnie uszy i pomerdawszy ogonkiem wyraził przyjaźnie swą niechęć. Potem wytknął głowę nad krawędź schodni szukając w kajucie Kapitana.

Borckman przypomniał sobie pierwotny swój pomysł i wyciągnął butelkę, którą przechylił z rozmachem ku niebu. Ale druga myśl, choć błaha, trwała w nim nadal; toteż przez chwilę stał chwiejąc się i mamrocząc coś pod nosem, potem udał, że bada rzeźwą bryzę, która wydymała żagle „Arangi” i przechylała jego pokład, a wreszcie, po nedorzecznej próbie pokazania sternikowi, że jego zamglone trunkiem oczy patrzą z istic orlą czujnością, ruszył zataczając się na śródokręcie, ku Jerry'emu.

Dla Jerry'ego pierwszą oznaką, że Borckman jest przy nim, było tak okrutne, bolesne ściśnięcie żeber i pachwiny, że aż pisnął i okręcił się w miejscu. Następnie oficer, który widział, jak Kapitan bawił się ze szczeniakiem, chwycił Jerry'ego za pysk i potrząsnął, aż psu zadzwoniły zęby. Było to czymś zupełnie odmiennym od szorstkiego, lecz serdecznego tarmoszenia przez Kapitana. Jerry uczył wstrząs w głowie i całym ciele, zęby uderzyły o siebie boleśnie, a potem z największą brutalnością cisnięty został daleko na śliski, pochyły pokład.



Ale Jerry był dżentelmenem. Miał najwyższą kurtuazję dla równych sobie i wyższych istot. Bądź co bądź nawet w stosunku do istot pośledniejszych, takich jak dziki pies, nigdy świadomie nie posuwał się za daleko, kiedy był górą. W jego podchodzeniu i atakowaniu dzikiego psa było więcej hałaśliwej furii niż dzikiej brutalności. A w obcowaniu z istotą wyższą, z dwunogim białym bogiem, takim jak Borckman, tym bardziej nakazywał sobie opanowanie, powściągliwość i hamowanie pierwotnych odruchów. Nie chciał wdawać się z oficerem w tę samą grę, w którą z takim zachwytem bawił się z Kapitanem, gdyż nie żywił do Borckmana podobnego uczucia, chociaż oficer był także dwunogim białym bogiem.

Wciąż jeszcze wszystek był łagodnością. Zawrócił naśladowując nieudolnie ów zapalczywy skok, jakim nauczył się przypadać do Kapitana. Prawdę mówiąc grał rolę, starał się czynić coś, do czego nie miał serca. Udawał, że się bawi, i wyrzucał z siebie nieszczere warknięcia, którym brakowało wszelkich pozorów prawdy.

Pomachał ogonem życzliwie, przychylnie; warknął drapieżnie, ale przyjaźniej mimo to pijacka bystrość oficera dostrzegła różnicę i obudziła w nim niejasne wycucie aktorstwa, oszustwa. Jerry go oszukiwał — ale ze szczerego szacunku. Borckman w swym zamroczeniu rozpoznał oszustwo, nie dostrzegając wszakże życzliwości. Natychmiast poczuł wrogość. Zapominając, iż sam jest zwierzakiem, doszedł do wniosku, że oto wzorem Kapitana próbuje bawić się w przyjacielski, koleżeński sposób z pospolitym bydłem.

Zaciekła wojna była już nieunikniona — zrazu nie ze strony Jerry'ego, ale Borckmana. Borckmana ogarnęła bezmierna żądza bestii pragnącej udowodnić, że panuje nad bestią czworonożną. Jerry poczuł, że jego pysk i szczęki zostają zamknięte w jeszcze brutalniejszym i okrutniejszym uścisku, po czym ze wzmożoną brutalnością i okrucieństwem ciśnięty został daleko na pokład, który przechylony teraz przez coraz mocniejsze podmuchy wiatru, zmienił się w strome, śliskie zbocze.

Jerry zawrócił czepiając się rozpaczliwie pochyłości, na której nie mógł znaleźć oparcia; zawrócił już nie z kiepsko udaną zajadłością, ale z pierwszym przebłyskiem zajadłości prawdziwej. Nie wiedział o tym wcale. Jeżeli w ogóle myślał, doznawał wrażenia, że bawi się tak samo jak z Kapitanem. Krótko mówiąc, zaczynał interesować się grą, lecz w sposób krańcowo odmienny niż wówczas, gdy bawił się z Kapitanem.

Tym razem szybciej i z większą zaciekłością błysnął zębami ku ściskającej mu pysk ręce. Nie zdołał jej jednam, pochwycić; znowu został porwany i odrzucony jeszcze mocniej i dalej na gładką pochyłość. Kiedy się wspinał z powrotem, zaczęła ogarniać go złość, choć nie był tego świadom. Ale oficer, będąc człowiekiem, jakkolwiek człowiekiem pijanym, wyczuł zmianę w ataku Jerry'ego, kiedy psu jeszcze się nawet o tym nie śniło. Owa zmiana, wyczuta przez Borckmana, stała się na dobitkę ostrogą, która popchnęła oficera do pierwotnego bestialstwa i nakazała mu walczyć o zwycięstwo nad tym szczeniakiem tak, jak człowiek pierwotny mógł walczyć ze szczeniętami z pierwszego miotu, jaki skradziono z wilczej jamy wśród skał.

Co prawda rodowód Jerry'ego mógł sięgać aż tak daleko. Jego pradawnymi przodkami były irlandzkie psy-wilki, te zaś w odległych czasach wywodziły się od wilków prawdziwych. Zmienił się odcień jego warczenia. Nie zapomniana i nie zatarta przeszłość targnęła strunami jego krtani. Zęby błysnęły mu zajadle, żadne pogrążenia się w rękę człowieka jak najgłębiej, z pasją. Bo teraz cały przemienił się w pasję. Równie szybko jak Borckman, Jerry cofnął się jednym skokiem w okrutne, dzikie mroki pierwotnego świata. Tym razem jego zęby trafiły i rozorały miękką, wrażliwą skórę i ciało po wewnętrznej stronie prawej dłoni Borckmana. Były niby kolące igły, toteż Borckman, chwyciwszy Jerry'ego za pysk, odrzucił go daleko od siebie, tak że pies doleciał prawie do niskiego relingu „Arangi”, nim zdołał zatrzymać się drapiąc deski pazurami.

Tymczasem Van Horn, ukończywszy porządkowanie i naprawę znajdującej się pod koją oficera szuflady z materiałami wybuchowymi, wszedł na schodnię, zauważył walkę, przystanął i począł spokojnie ją obserwować.

Jednakże spoglądał poprzez otchłań miliona lat na dwie oszalałe istoty, co zerwały się z łańcucha pokoleń i wróciły do mrocznych początków życia, któremu nie wpoił jeszcze łagodnej wyrozumiałości świtający rozum. To samo dziedzictwo, które ocknęło się w zakamarkach mózgu Borckmana, ocknęło się również w zakamarkach mózgu Jerry'ego. Czas cofnął się dla nich obu. Wszystkie wysiłki i osiągnięcia dziesięciu tysięcy pokoleń przestały istnieć i walka między oficerem a Jerry była walką pomiędzy psem-wilkiem a dzikim człowiekiem. Ani jeden, ani drugi nie widział Van Horna, który stał w zejściu kajutowym i patrzył sponad jego krawędzi.

Dla Jerry'ego Borckman nie był w tej chwili bogiem, podobnie jak on sam nie był zwyczajnym, gładkowłosym terie rem irlandzkim. Obaj zapomnieli o tym milionie lat, który wycisnął na ich dziedzictwie piętno znacznie słabsze, dające się łatwiej wymazać niż to wszystko, co zostało na nim wyciśnięte przed owym lat milionem. Jerry nie znał pijaństwa, ale znał niesprawiedliwość i wyczuł ją ze wściekłym oburzeniem.

Borckman próbował odeprzeć jego następny atak, to mu się jednak nie powiodło i zanim odrzucił psiaka, ten rozharatał mu obie ręce.

I znowu zawrócił. Niczym jakieś stworzenie z dżungli, szaleńczym wrzaskiem dawał wyraz swojej wściekłości. Ale nie zaskomlał ani razu, nie uchylał się też i nie uciekał od ciosów. Rzucił się wprost przed siebie i bynajmniej nie unikając razów, starał się odeprzeć je zębami. W końcu został ciśnięty tak silnie, że grzmotnął boleśnie bokiem o reling, a Van Horn wykrzyknął:

— Dość tego, Borckman! Zostaw pan psa w spokoju! Oficer drgnął i obrócił się, zaskoczony tym, że go obserwują. Ostre, rozkazujące słowa Van Horna były wezwaniem rzuconym poprzez milion lat. Borckman nieudolnie próbował przywołać na wykrzywioną złością twarz potulny, przepraszający uśmiezek i właśnie wymamrotał: „Tak się tylko bawimy”, gdy Jerry zawrócił, skoczył i zatopił zęby -we wrogiej ręce.

Borckman, ogarnięty furją, natychmiast cofnął się znowu o milion lat. Noga usiłująca kopnąć skaleczona została w kostce. Wybełkotał coś z bólu i w sićiekłości i pochyliwszy się, zadał Jerry'emu straszliwy cios w głowę i kark. Ponieważ psiak akurat odbił się od pokładu, więc otrzymawszy uderzenie w powietrzu, wywinął bokiem kozła, nim rąbnął grzbietem o deski. Zerwał się najszybciej, jak mógł, i zawrócił do ataku, lecz powstrzymały go słowa Kapitana:

— Jerry! Stój! Chodź tul

Usłuchał jedynie dzięki najwyższemu wysiłkowi, a mijając oficera najeżył się i pokazał zęby spod uniesionych warg. Po raz pierwszy dobył mu się z krtani skowyt, ale nie był to skowyt strachu ani bólu, lecz oburzenia i chęci powrotu do walki, od której starał się powstrzymać na rozkaz Kapitana.

Wyszedłszy na pokład Kapitan podniósł go, jął gładzić i uspokajać, jednocześnie mówiąc oficerowi, co o tym myśli:

— Wstydz się pan, Borckman. Za to, coś pan zrobił, należałoby panu strzelić w łeb albo go uciąć. Szczeniak, mały szczeniak, ledwie odstawiony od cycka! Ja bym panu pokazał! Co za pomysł. Z takim malutkim psiakiem! Cieszę się, że panu poharatał ręce. Zasłużył pan sobie na to. Mam nadzieję, że się panu dostanie do krwi jakieś paskudztwo. A poza tym jesteś pan pijany. Proszę zejść na dół, położyć się i nie pokazywać na pokładzie, póki pan nie wytrzeźwieje. Zrozumiano?

A Jerry — wędrowiec poprzez życie i dzieje wszelkiego życia kształtującego świat — z wysiłkiem opanowujący w sobie nie zgruntowany osad prehistorii mocą owej miłości, która zrodziła

się i stała jego istotą w znacznie późniejszym okresie — czujący, że pradawny gniew jeszcze odzywa się w jego krtani na kształt pomruku odchodzącej burzy — pojął serdecznym uczuciem całe dostojęstwo i sprawiedliwość swojego Kapitana. Kapitan był naprawdę bogiem, bogiem sprawiedliwym, który czynił dobro, chronił go i władczo rozkazywał owemu drugiemu, pośledniemu bogu, co pierzchał przed jego gniewem.

Jerry i Kapitan spędzili razem popołudniową wachtę, przy czym Van Horn ustawicznie chichotał i wykrzykiwał: „*Gott-fer-dang*, Jerry, wierz mi, że jesteś rzetelnie bojowym psem!” albo: „Prawdziwy lew z ciebie, psiaku! Idę o zakład, że jeszcze nie narodził się taki lew, który odebrałby ci kozła”.

A Jerry, nie rozumiejąc owych słów z wyjątkiem własnego imienia, czuł przecie, że w odgłosach wydawanych przez Kapitana jest pełno pochwał i ciepłego uczucia. Kiedy zaś Kapitan pochylał się i drapał go za uchem albo przyjmował różany pocałunek języka, składany na wyciągniętych palcach, bądź wreszcie brał Jerry'ego w ramiona, serce psiaka omal nie pękało z radości. Czyż bowiem jakiegokolwiek stworzenie może doświadczyć większej ekstazy od świadomości, że jest kochane przez boga? A tego właśnie doświadczał Jerry. Oto był bóg, prawdziwy, dotykalny, trójwymiarowy bóg, który rządził jego światem przechadzając się na dwóch bosych nogach, odziany jedynie w opaskę biodrową, który kochał go wydając z gardła i ust pieszczotliwe dźwięki i szeroko rozwarłszy ramiona, zamykał go w uścisku.

O czwartej godzinie Van Horn rzucił okiem na popołudniowe słońce, ocenił szybkość płynącego „Arangi” wedle bliskości Su'u, po czym zszedł pod pokład i szorstko potrząsnął oficera, aby go zbudzić. Do ich powrotu Jerry samotnie czekał na pokładzie. Gdyby nie to, że obaj biali bogowie byli na dole i mieli lada chwila wrócić, Jerry nie utrzymałby się tam długo. Albowiem każda przebyta mila, zmniejszająca odległość między powracającymi krajowcami a wyspą Malaita, wzmagala ich pewność siebie. Na przykład taki Lerumi, podobnie jak wielu innych, czując, że dawna swoboda jest coraz bliższa, doznawał silnych podnieć smakowych i łykając ślinę, obrzucał Jerry'ego spojrzeniem mieszczącym się jednocześnie w kategoriach jedzenia i zemsty, które się całkowicie pokrywały.

„Arangi”, silnie pochylony pod ostrą bryzą, zbliżał się szybko do lądu. Jerry zerkał przez druty kolczaste, wciągając nosem powietrze, obok zaś stał Kapitan i wydawał rozkazy oficerowi oraz sternikowi. Rozwiązano już stos skrzynek i krajowcy poczęli otwierać je i zamykać. Szczególnym zachwytem napawał ich dźwięk dzwonka, w który zaopatrzoną była każda skrzynka i który brzęczał, ilekroć podnoszono wieko. Ta zabawka dostarczała im isticie dziecinnej radości, toteż każdy wciąż od nowa otwierał swoją skrzynkę, aby usłyszeć dźwięk dzwonka.

Na Su'u miano wysadzić piętnastu krajowców. Gestykulując i pokrzykując dziko, zaczęli rozpoznawać i pokazywać sobie najdrobniejsze szczegóły tego jedyne go wybrzeża, jakie znali na ziemi przed trzema laty, kiedy to sprzedani zostali w niewolę przez ojców, stryjów i wodzów.

Wąski przesmyk, zaledwie na sto stóp szeroki, prowadził do długiej zatoczki. Brzegi porośnięte były licznymi mangrowcami i gąszczem podzwrotnikowej roślinności. Nie było nigdzie śladu domostw czy siedlisk ludzkich, chociaż Van Horn, spoglądając na bliską już, gęstą dżunglę, wiedział z pewnością, że dziesiątki, a może i setki par oczu śledzą go teraz z ukrycia.

— Zwąchaj ich, Jerry, zwąchaj! — zachęcał.

Sierść Jerry'ego jeżyła się, kiedy szczekał na ścianę mangrowców, bo istotnie ostry wąż mówił mu, że kryją się tam dzicy.

— Gdybym miał taki wiatr jak on — powiedział Kapitan do oficera — nie byłoby obawy, żebym utracił głowę.

Ale Borckman nic nie odrzekł i ponuro wykonywał swoje obowiązki. W zatoce wiatr był słaby; „Arangi” wpłynął do niej powoli i rzucił kotwicę na trzydziestu sążniach głębokości. Brzeg opadał

tutaj tak stromo, że nawet na tej dość znacznej głębi rufa „Arangi” przesunęła się ledwie sto stóp od mangrowców.

Van Horn wciąż rzucał niespokojne spojrzenia na zadrzewiony brzeg. Su'u bowiem miało złą sławę. Zaden statek z wyjątkiem „Arangi” nie zapuszczał się tutaj, odkąd przed piętnastu laty dzicy opanowali szkuner „Fair Hathaway” werbujący siły robocze do plantacji w Queenslandzie i wymordowali całą załogę. Toteż wielu białych potępiało lekkomyślność Van Horna, który narażał się na takie ryzyko.

Hen, w górach, piętrzących się na wiele tysięcy stóp pośród gnanych pasatem obłoków, wzbiły się liczne dymy, obwieszczając przybycie statku. Wszędzie, bliżej i dalej, wiedziano już, że statek przyplłynął, a jednak z pobliskiej dżungli dolatywały tylko krzyki papug i paplanina kakadu.

Podciągnięto do statku szalupę, w której zasiadło do wiosł szesćciu ludzi z załogi, po czym załadowano do niej piętnastu krajowców z Su'u oraz ich skrzynki. Pod płótnem ułożono wzdłuż ławek pięć karabinków, tak aby wiosłarze mieli je pod ręką. Inny członek załogi, z karabinem w garści, pilnował pozostałej na statku broni. Borckman zabrał z sobą karabin i trzymał go w pogotowiu. Broń Van Horna leżała na rufie, gdzie on sam stanął obok Tambiego, który trzymał długie wiosło sterowe. Jerry zaskomlał cichutko, wyglądając tęsknie przez reling na Kapitana. Widząc to Van Horn uległ i wziął go do szalupy.

Najniebezpieczniej było teraz w łodzi, istniało bowiem małe prawdopodobieństwo, żeby w tym właśnie momencie zbuntowali się na „Arangi” powracający Murzyni. Ponieważ pochodzili z Somo, No-ola, Langa-Langa i dalekiej Malu, zdejmował ich zbawienny strach, ażeby w chwili, gdy będą pozbawieni opieki białych panów, nie pożarli ich ludzie z Su'u. Tak samo krajowcy z Su'u lękaliby się pożarcia przez ludzi z Somo, Langa-Langa czy No-ola.

Niebezpieczeństwo grożące tym, co siedzieli w szalupie, wzmagał jeszcze brak drugiej łodzi, która by ich osłaniała. Większe statki werbujące miały zwyczaj wysyłania na ląd dwóch łodzi. Podczas gdy jedna lądowała na plaży, druga zatrzymywała się w niewielkiej odległości, ażeby w razie zaczepki osłonić odwrót tych, co wysiedli z pierwszej. „Arangi”, zbyt mały, by zmieścić choćby jedną szalupę na pokładzie, nie mógł holować za rufą dwóch, toteż Van Horn, który był najzuchwalszym z werbowników, nie miał tego podstawowego zabezpieczenia.

Tambi, w myśl rozkazów wydawanych mu przyciszonym głosem przez Van Horna, sterował równoległe do brzegu. W miejscu, gdzie kończyły się mangrowce, a zaczynało wzniesienie, z którego schodziła do wody udeptana ścieżka, Van Horn dał znak osadzie szalupy, by zahamowała wiosłami. Wyniosłe palmy i rozłożyste drzewa wystrzelały tu ponad dżunglę, a ścieżka przypominała wejście do tunelu przebitego w zwartej ścianie tropikalnej roślinności.

Van Horn, szukając wzrokiem jakiegoś śladu życia na brzegu, zapalił cygaro i podniósł rękę do przepaski biodrowej, by się upewnić, że ma tam zatkniętą laskę dynamitu. Zapalił cygaro, ażeby w razie konieczności przytknąć je do lontu. Lont, w którego rozszczepiony koniec wsunięto łypek zapałki, był tak krótki, że od chwili przytknięcia rozjarzonego cygara do momentu eksplozji mogły upłynąć zaledwie trzy sekundy. To wymagało od Van Horna szybkości i opanowania. W ciągu trzech sekund musiałby zapalić lont i cisnąć w cel tłącą się laskę dynamitu. Jednakże nie spodziewał się, żeby musiał jej użyć, toteż przygotował ją sobie jedynie na wszelki wypadek.

Minęło pięć minut, a na brzegu wciąż panowała głęboka cisza. Jerry obwąchał bosą nogę Kapitana, jakby chcąc go upewnić, że jest przy nim bez względu na to, czym może zagrażać wroga cisza na lądzie. Następnie wspiał się na tylne łapy, przednie oparł na burcie łodzi i dalej wietrzył głośno i z zapałem, jeżąc się na karku i wydając przyciszone warknięcia.

— Są tam, są, a jakże — zwierzał mu się Kapitan, a Jerry posłał mu bokiem uśmiechnięte

spojrzenie, pomerdał ogonem i szybko, miłośnie stulił uszy, po czym znowu zwrócił nos w kierunku brzegu i zaczął odczytywać opowieść dżungli, którą niosły ku niemu lekkie podmuchy dusznego i prawie nieruchomego powietrza.

— Hej! — krzyknął nagle Van Horn. — Hej, ty chłopak, pokazać tam głowę.

Niczym w pantominie, cała pozornie wymarła dżungla ożyła. Natychmiast ukazała się setka nagich krajowców. Wyskakiwali wszędzie z gęstwiny. Wszyscy byli uzbrojeni — jedni mieli strzelby i starodawne pistolety, drudzy łuki i strzały, inni włócznie, maczugi bojowe i tomahawki o długich trzonkach. Jeden z dzikich wypadł błyskawicznie na światło słoneczne w otwartym miejscu, gdzie ścieżka schodziła do wody. Poza ozdobami był nagi jak Adam w raju. Pojedyncze białe pióro sterczało z jego kędzierzawych, lśniących, czarnych włosów. Polerowana, zastrzona na końcach igła z białej skamieniałej muszli, przewleczone przez otwór w noz drzach, sterczała na pięć cali z obu stron nosa. Szyją ozdobił biały jak kość słoniowa naszyjnik z kłów dziczych, nanizanych na postronek skręcony z włókna kokosowego. Jedną nogę opasywała tuż pod kolanem podwiązka z białych muszelek. Płomiennie szkarłatny kwiat zatknięty był kokieteryjnie za jedno ucho, a w drugim tkwił świński ogonek, ucięty tak niedawno, że jeszcze krwawił.

Ów melanezyjski elegant wyskoczył na światło słoneczne, poderwał strzelbę do biodra i skierował szeroki otwór lufy prosto w Van Horna. Ale ten był nie mniej szybki. Błyskawicznie podniósł karabinek i także złożył się z biodra. Stali tak twarz w twarz, oddaleni od siebie o czterdzieści stóp, ze śmiercią u czubków palców. Otchłań miliona lat, dzielących barbarzyństwo od cywilizacji, ziała pomiędzy nimi w tym wąskim, czterdziestostopowym przesmyku.

Najtrudniejszą rzeczą dla nowoczesnego ucywilizowanego człowieka jest zapomnieć o swoich pradawnych nawykach. Najłatwiej mu jest zapomnieć o swej nowoczesności i stoczyć się poprzez czas w epokę dziczy. Kłamstwo rzucone w oczy, uderzenie w twarz, ukłucie zazdrości w sercu mogą w ułamku sekundy przemienić dwudziestowiecznego filozofa w małpoluda łomocącego się po piersiach, zgrzytającego zębami i zamroczonego wściekłością.

Tak było z Van Hornem. Ale z pewną różnicą. Siedział on okrakiem na czasie. W jednej i tej samej chwili był całkowicie nowoczesny, a zarazem pierwotny, był zdolny do wściekłej walki na kły i pazury, a jednocześnie pragnął pozostać nowoczesny, póki się da, i z napięciem patrzył na hebanową czerń skóry oraz olśniewającą białość ozdób, które miał przed sobą.

Dziesięć długich sekund trwała cisza. Nawet Jerry, nie wiedząc dlaczego, stłumił warczenie dobywające mu się z krtani. Setka ludożerczych łowców głów, którzy stali na skraju dżungli, piętnastu powracających czarnych z Su'u, siedzących w szalupie, siedmiu Murzynów z jej osady i samotny biały człowiek z cygarem w zębach, karabinkiem u biodra i irlandz kim terierem jeżącym się przy jego nagiej łydce uszanowali ten uroczysty pakt, zawarty na dziesięć sekund, a żaden nie wiedział ani nie odgadywał, co się dalej stanie.

Jeden z powracających chłopców stojąc na dziobie szalupy uczynił znak pokoju wyciągniętą, bezbronną dłońią i począł coś świergotać w nieznanym dialekcie Su'u. Van Horn wciąż trzymał broń w pogotowiu i czekał. Elegant opuścił strzelbę i wszyscy odetchnęli z ulgą.

— Ja być dobry chłopak — zapiszczał elegant na poły ptasim, na poły elfim głosem.

— Ty duży chłopak za dużo wyprawiać — odparował szorstko Van Horn. Rzucił karabinek na rufę i dał znak wiosłarzom oraz sternikowi, by obrócili łódź, zarazem tak niedbale pykając z cygara, jakby przed chwilą nie szło tu o śmierć albo życie.

— Słowo daję — ciągnął Kapitan wybornie udając rozdrażnienie. — Dlaczego ty mierzyć strzelba we mnie? Ja ciebie nie *kai-kai*. Jakby ja ciebie *kai-kai*, mnie brzuch pęknąć. Jakby ty *kai-kai* mnie, tobie brzuch pęknąć. Ty chyba nie chcesz *kai-kai* twoi chłopcy z Su'u? Chłopcy z Su'u twoi

bracia. Długi czas przedtem, trzy monsuny przedtem, ja mówić i mówić prawdę. Ja mówić za trzy monsuny chłopcy wrócić. Trzy monsuny przejść i chłopcy wrócić.

Tymczasem obracano szalupę dziobem w miejsce rufy, przy czym Van Horn okręcał się tak, aby ciągle stać twarzą do uzbrojonego w strzelbę eleganta. Na znak Kapitana wiosłarze zagarnęli wiosłami i wepchnęli łódź rufą na ubitą ziemię ścieżki. Każdy z nich, trzymając wiosło w pogotowiu na wypadek napaści, pomacał cichaczem pod płótnem, by się upewnić, gdzie leży ukryty karabinek.

— Ty chcesz twoi chłopcy zejść na ląd? — zapytał Van Horn eleganta, który dał znak potwierdzenia na modłę mieszkańców Wysp Salomona, to znaczy przymykając oczy i podrywając głowę do góry osobliwym, zuchwałym ruchem.

— Ty nie *kai-kai* chłopców Su'u, jak oni przyjść do ciebie?

— Nie bać — odparł elegant. — Chłopcy Su'u zejść — bardzo dobrze. Chłopcy Su'u nie zejść — bardzo źle. Iszikola — wielki czarny wódz, mówić mi, żeby ja mówić tobie. On mówić, dużo złych czarnych ludzi w buszu. On mówić wielki biały pan nie schodzić na ląd. On mówić dobry biały pan zostać na okręt.

Van Horn kiwnął niedbale głową, jak gdyby ta informacja nie przedstawiała dlań większej wartości, aczkolwiek wiedział już, że tym razem Su'u nie dostarczy mu świeżych ludzi. Wyprawił na brzeg powracających krajowców rozkazując im przechodzić po jednym na rufę, pozostałym zaś nie ruszać się z miejsca. Taką taktykę przyjęto na Wyspach Salomona. Ścisk był rzeczą niebezpieczną. Nie należało ryzykować tłoczenia się większej ilości czarnych. Van Horn, z pańska, nonszalancko palił cygaro i nie spuszczał pozornie obojętnego oka z każdego Murzyna, który niosąc swą skrzynkę na ramieniu przechodził na rufę i zeskakiwał na brzeg. Po jednym znikali w tunelu ścieżki, gdy zaś ostatni znalazł się na lądzie, Kapitan rozkazał zawracać do statku.

— Tym razem nie ma tu nic do roboty — oświadczył oficerowi. — Rano zabierzemy się stąd i odpłyniemy.

Szybki, podzwrotnikowy zmierzch wprędce stopił dzień z nocą. W górze rozblęły wszystkie gwiazdy. Najłżejsze tchnienie wiatru nie poruszało powietrza nad wodą, a wilgotny upał perlił obfitym potem twarze i ciała obu mężczyzn. Nieśpiesznie zjedli rozłożoną na pokładzie kolację, od czasu do czasu ocierając rękami gryzący pot, który zalewał im oczy.

— Po kiego licha człowiek wlecze się na te cholerne wyspy? — gderał oficer.

— Albo na nich zostaje — dodał Kapitan.

— Znadto mnie przeżarła febra — narzekał oficer. — Zdechłbym, gdybym stąd wyjechał. Pamiętaj pan, że już próbowałem dwa lata temu. W chłodnym powietrzu febra zaraz wyłazi. Do Sydney przywieźli mnie chorego. Musieli zabrać karetką do szpitala. Było ze mną coraz gorzej i gorzej. Doktorzy powiedzieli, że jedyne wyjście, to wracać tam, gdzie tę febrę złapałem. W ten sposób mogę dłużej żyć. Gdybym siedział w Sydney, wykończyłbym się raz dwa. Zataskali mnie na statek drugą karetką. I tyle powąchałem Australii podczas urlopu. Nie chcę siedzieć na Wyspach Salomona. Tu jest czyste piekło. Ale muszę, bo inaczej wykituję.

Zawinał, licząc z grubsza, około trzydziestu granów chininy w bibułkę papierosową, przez chwilę kwaśno patrzył na swoje dzieło, a potem połknął je jednym łykiem. Widząc to Van Horn przypomniał sobie, że i on też winien zażyć lekarstwo, sięgnął więc po flakon i łyknął podobną dozę.

— Lepiej założyć zasłonę — powiedział.

Borckman kazał kilku krajowcom z załogi rozwiesić na kształt kotary cienki brezent wzdłuż odbrzeżnej burty „Arangi”. Był to środek ostrożności przeciwko jakiejś podstępnej kuli, która mogła dolecieć spomiędzy odległych zaledwie o sto stóp mangrowców.

Van Horn posłał Tambiego na dół po mały gramofon i zaczął nastawiać kolejno pół tuzina

zdartych, skrzypiących płyt, które już z tysiąc razy były pod igłą. Między jedną a drugą przypomniał sobie o dziewczynce i kazał ją wyciągnąć z ciemnej nory w ładowni, aby posłuchała muzyki. Zastosowała się do rozkazu ze strachem, pewna, że oto wybiła jej godzina. Oczami rozszerzonymi z przerażenia wpatrywała się tępo w wielkiego białego pana i nie przestała dygotać jeszcze długo po tym, jak kazał jej się położyć. Gramofon wcale jej nie bawił. Znała jedynie lęk — lęk przed tym straszliwym białym człowiekiem, który niechybnie miał ją pożreć.

Jerry na chwilę rozstał się z gładzącą go dłonią Kapitana, ażeby podejść i obwąchać dziewczynkę. Był to akt obowiązku. Rozpoznawał ją raz jeszcze. Teraz, bez względu na to, co by się stało, ile miesięcy czy lat by minęło, poznałby ją już zawsze. Wrócił do ręki Kapitana, która znowu poczęła go gładzić. Druga trzymała zapalone cygaro.

Wilgotny, parny upał stawał się coraz nieznośniejszy. Powietrze przenikał mdlący, mokry zaduch, który dobywał się z bagien porośniętych mangrowcami. Skrzekliwa muzyka obudziła w Borckmanie wspomnienia portów i miast starego świata; leżał twarzą w dół na rozgrzanych deskach, bosymi palcami wybijał o nie takt i mamrotał gardłowy, nie kończący się monolog przekleństw. Natomiast Van Horn, trzymając pod ręką dyszącego Jerry'ego, spokojnie i filozoficznie palił jedno cygaro po drugim.

Nagle drgnął na przyciszony plusk wiosła, który usłyszał pierwszy. Prawdę mówiąc zwróciło jego uwagę ciche warczenie Jerry'ego, któremu sierść zjeżyła się na karku. Kapitan wyciągnął zza przepaski łaskę dynamitu i rzuciwszy okiem na cygaro, by się upewnić, że jest zapalone, wstał bez widocznego pośpiechu i podszedł do relingu.

— Kto tam płynąć? — rzucił śmiało w ciemność.

— Ja Iszikola — doleciała odpowiedź wyrzeczona drżącym, starczym dyszkantem.

Zanim Van Horn przemówił znowu, wyciągnął do połowy pistolet z kabury, którą przesunął z biodra na pachwinę, gdzie mógł do niej łatwo sięgnąć ręką.

— Ile ludzi z tobą? — zapytał.

— Tylko dziesięć ludzi — rozległ się starczy głos.

— To podpływaj. — Nie obracając głowy, machinalnie opuściwszy rękę do kolby pistoletu, Van Horn rozkazał: — Ty, chłopiec Tambi, przynieś latarnia. Nie w to miejsce Zanieś na rufa, zawieś na bezan-maszt i patrz bystro.

Tambi usłuchał i wywiesił latarnię o dwadzieścia stóp od miejsca, gdzie stał Kapitan. To dawało Van Hornowi przewagę nad podpływającymi dzikimi, gdyż latarnia, wysunięta przez druty kolczaste na reling i opuszczona nisko, oświetlała dobrze załogę czółna, gdy tymczasem on sam pozostawał w półmroku i cieniu.

— *Washee-washee!* — zawołał rozkazująco, ale ludzie siedzący w niewidocznej łodzi wciąż jeszcze się wahali.

Następnie rozległ się plusk wiosła, a potem w kręgu światła latarni zamajaczył sterczący wysoko, czarny dziób bojowej pirogi, zagięty na kształt gondoli, okładany lśniącą srebrzyście macicą perłową, a dalej długi, smukły kadłub bez bocznego pływaka, błyszczące i czarne, połyskliwe ciała nagich krajowców, którzy wiosłowali klęcząc na dnie czółna. Iszikola, stary wódz, siedział w kucki pośrodku, nie wiosłując, i trzymał w bezzębnych dziąsłach nie zapaloną, pustą, krótką fajeczkę glinianą, odwróconą denkiem do góry. Na rufie zaś sterował elegant, cały lśniący czernią nagości i bielą ozdób, z wyjątkiem świńskiego ogonka w jednym uchu i szkarłatnego hibiscusa, który wciąż jeszcze gorzał nad drugim.

Wiadomo było, że mniej niż dziesięciu czarnych potrafiło napaść na statek dowodzony tylko przez dwóch białych ludzi, toteż prawa dłoń Van Horna zacisnęła się na kolbie rewolweru, aczkolwiek nie



wyciągnął go z kabury; lewą natomiast podniósł do ust cygareto i rozpałił je kilka pociągnięciami.

— Jak się masz, Iszikola, stary łobuzie! — pozdrowił sędziwego wodza, podczas gdy elegant, przycisnąwszy wiosło sterowe do burty i wsunąwszy je nieco pod dno czołna, przyparł łódź bokiem do „Arangi”, tak że zetknęły się kadłubami.

Iszikola uśmiechnął się podnosząc głowę ku latarni. Uśmiechnął się prawym okiem, jedynym, jakie posiadał, 'gdyż lewe wybiła mu niegdyś strzała podczas jakiejś młodzieńczej utarczki w dżungli.

— Słowo daję! — zawołał w odpowiedzi. — Dawno moje oczy ciebie nie widzieć.

Van Horn począł żartować w zrozumiały dla starego sposób na temat najnowszych żon, jakie ten dołączył do swego haremu, oraz pytając, ile świń zapłacił za ten nowy nabytek.

— Słowo daję — zakonkludował. — Ty bogaty chłop dużo za bardzo.

— Ja chcieć przyjść na statek pogadać z tobą — zaproponował nieśmiało Iszikola.

— Już noc — zaoponował Kapitan, po czym dodał w charakterze ustępstwa od przyjętej zasady, że po zapadnięciu nocy nie wpuszcza się na statek odwiedzających: — Ty wejść na pokład, ludzie zostać w łódź.

Uprzejmie dopomógł staremu wdrapać się na reling, przeleźć przez druty kolczaste i zeskoczyć na pokład. Iszikola był niechlujnym starym dzikusiem. Jedno z jego tambo (co w *bêche-de-mer* i narzeczu melanezyjskim oznaczało tabu) polegało na tym, że woda nie mogła nigdy tknąć jego skóry. On, człowiek żyjący nad brzegiem słonego morza, w krainie tropikalnych ulew, skrupulatnie unikał zetknięcia z wodą. Nigdy nie pływał ani nie brodził i zawsze zmykał przed deszczem. Nie stosowało się to bynajmniej do reszty jego plemienia. Takie tambo nałó siłyli czarownicy specjalnie na niego. Innym członkom plemienia zakazywali jadać mięso rekina, brać w rękę żółwia, zbliżać się do krokodyli lub ich skamienielinowych szczątków, a także brukać się dotknięciem kobiety bądź też jej cieniem padającym w poprzek ich drogi.

Toteż Iszikola, dla którego woda była tambo, obrósł cały wieloletnim brudem. Okryty łuską niczym trędowaty, o twarzy zawiędłej i pomarszczonej ze starości, kulał okropnie wskutek otrzymanego niegdyś pchnięcia włócznią w udo i chodził cały pokrzywiony. Ale jego jedyne oko błyszczało chytrze, a Van Horn wiedział, że obserwuje ono nie mniej baczenie niż jego oba.

Uściskał staremu rękę — którym to zaszczytem obdarzał jedynie wodzów — i gestem zaprosił go, by przykucnął na pokładzie obok przerażonej dziewczyny. Ta znowu zaczęła drzeć przypomniawszy sobie, że kiedyś Iszikola ofiarowywał za jej mięso pięć razy po dwadzieścia młodych orzechów kokosowych.

Jerry z obowiązku obwąchał szpetnego, kulawego starucha, który miał tylko jedno oko i był zupełnie nagi, chciał bowiem móc go w przyszłości rozpoznać. Kiedy zaś zwietrzył i zapamiętał sobie jego zapach, warknął groźnie, co mu zjednało pełne uznania spojrzenie Kapitana.

— Daję słowo, dobry pies *kai-kai* — powiedział Iszikola. — Ja dać pół sążeń muszelkowych pieniędzy za ten pies.

Taka oferta za zwykłego szczeniaka była nader hojna, albowiem pół sążnia zastępujących pieniądze muszelek, nanizanych na sznurek ze skręconych włókien kokosowych, stanowiło równowartość pół suwerena w walucie angielskiej, dwóch i pół dolara w amerykańskiej oraz połowy sporego, utuczonego wieprza w przeliczeniu na żywiec świński.

— Jeden sążeń muszelek za ten pies — odparował Van Horn, wiedząc w głębi serca, że nie sprzedałby Jerry'ego żadnemu czarnemu i za sto sążni ani za najbardziej bajeczną cenę. Zaproponował jednak sumę nieznacznie wyższą od oferty, ażeby nie wzbudzać wśród Murzynów domysłów, jak wysoko ceni w rzeczywistości pozłocistego syna Bidy i Terencjusza.

Następnie Iszikola stwierdził, że dziewczynka ogromnie schudła i że jako znawca mięsa nie uważałby tym razem za uzasadnione proponować za nią więcej niż trzy razy po dwadzieścia kokosów.

Po tych uprzejmościach biały i czarny poczęli rozmawiać o wielu rzeczach, przy czym pierwszy blefował wykorzystując wyższość umysłu i wiedzy białego człowieka, drugi zaś — pierwotny mąż stanu — starał się wymiarkować i odgadnąć, jakie to ludzkie i polityczne siły przybyły na jego terytorium, obejmujące dziesięć mil kwadratowych powierzchni, obwiedzione morzem i granicami lądowymi, na których trwała wojna międzyplemienna dawniejsza od najdawniejszych legend Su'u. Od wieków to jedno, to drugie chwilowo zwycięskie plemię odcinało głowy i pożerało ciała przeciwników. Granice natomiast pozostawały niezmienione. Iszikola usiłował wywiedzieć się w prymitywnym *bêche-de-mer*, jaka jest ogólna sytuacja na Wyspach Salomona w odniesieniu do Su'u, a Van Horn nie gardził podstępną grą dyplomatyczną, równie podstępną, jak gra uprawiana we wszystkich dyplomatycznych kancelariach mocarstw świata.

— Daję słowo — zakonkludował Van Horn. — Wy bardzo źli ludzie w to miejsce. Za dużo ucinąć głów, za dużo *kai-kai* długa świnia. („Długa świnia” oznaczała pieczone mięso ludzkie).

— Jak to? Czarni ludzie Su'u od dawna ucinąć głowy i *kai-kai* długa świnia? — odparował Iszikola.

— Za dużo w to miejsce — powtórzył Van Horn. — Wielki okręt wojenny już przyplłynąć blisko Su'u i porozbijać Su'u na miazga.

— Jaki okręt wojenny przyplłynąć na Salomon? — zapytał Iszikola.

— Ten okręt nazywać się wielki „Cambrian” — skłamał Van Horn, aż nadto dobrze wiedząc, że od dwóch lat żaden krążownik brytyjski nie zawitał na Wyspy Salomona.

Rozmowa przemieniała się w dość komiczną dysertację o stosunkach, jakie winny istnieć między państwami niezależnie od ich wielkości, gdy wtem przerwał ją krzyk Tambiego, który wywiesiwszy za burtę drugą latarnię, dokonał pewnego odkrycia.

— Kapitan, oni mieć strzelba w czółno I — wołał Tambi. Van Horn jednym susem znalazł się przy relingu i wyjrzał

nad drutem kolczastym. Iszikola, pomimo swego kalectwa, stanął przy nim w sekundę później.

— Dlaczego ta strzelba na dnie łódź? — zapytał z oburzeniem Van Horn.

Siedzący na rufie elegant, rzuciwszy w górę niedbałe spojrzenie, usiłował nasunąć stopą zielone liście na sterczące spod nich kolby kilku strzelb, ale tylko pogorszył tym sprawę, bo je odsłonił jeszcze bardziej. Pochylił się, by nagarnąć liście rękami, lecz zaraz wyprostował się, kiedy Van Horn ryknął na niego:

— Stój! Trzymać ręce przy sobie!

Obrócił się do Iszikoli udając złość, której zgoła nie czuł na widok tego starego jak świat i stale ponawianego fortelu.

— Jakim prawem ty przyplłynąć ze strzelba w twoje czółno? — zapytał.

Stary nadmorski wódz potoczył swym jedynym okiem i zamrugał udając osłupienie i niewinność.

— Daję słowo, ja ogromnie gniewać na ciebie — ciągnął Van Horn. — Iszikola, ty bardzo zły człowiek. Wynosić się stąd!

Starzec pokuśtykał przez pokład zwinniej, niż kiedy wchodził na statek, bez niczyjej pomocy przelazł przez druty i spuścił się do czółna, umiejętnie przenosząc cały ciężar ciała na zdrową nogę. Podniósłszy głowę zamrugał okiem, jakby prosząc o przebaczenie i zapewniając o swojej niewinności. Van Horn odwrócił twarz, by ukryć wesołość, ale zaraz roześmiał się, gdy stary hultaj pokazując pustą fajkę powiedział przymilnie:

— A może ty mi dać pięć kostka tytoniu?

Kiedy Borckman zszedł pod pokład, żeby przynieść tytoń, Van Horn wypalił Iszikoli kazanie na temat świętości uroczystych rękojmi i przyrzeczeń. Potem przechylił się przez drut kolczasty i wręczył mu pięć kostek tytoniu.

— Ty słuchać, Iszikola — zagroził. — Któregoś dnia ja z tobą skończyć. Ty niedobry przyjaciel znad słona woda. Ty wielki głupiec z dżungla.

Kiedy zaś Iszikola usiłował zaprotestować, uciszył go słowami: — Ty mi za dużo gadać !

Piroga jednak dalej nie odpływała. Stopa eleganta po kryjomu podsunęła się ku kolbom strzelb schowanych pod zielonymi liśćmi; Iszikola wciąż zwlekał.

— *Washee-washee!* — wykrzyknął nagle rozkazująco Van Horn.

Wioślarze mimowolnie usłuchali bez polecenia wodza czy eleganta i zagarnawszy silnie, głęboko wiosłami, pchnęli czółno w otaczający mrok. Z nie mniejszą szybkością Van Horn odbiegł o kilka jardów w bok, ażeby nie sięgnęła go jakaś wystrzelona na chybił-trafił kula. Przykucnął i słuchał milknącego w oddali plusku wiosel.

— Dobrze, ty chłopiec Tambi! — powiedział spokojnie. — Teraz puszczać muzyka.

I podczas gdy zaskrzeczała uliczna piosenka „Czerwone skrzydło”, oparł się łokciem o pokład pykając z cygara i pieszczotliwie przygarnął do siebie Jerry'ego.

Pałac obserwował gwiazdy nagle zaćmione przez deszczowy szkwał, który dał ku zawietrznej czy raczej tam, gdzie można jej się było domyślać. Obliczając sobie w myśli, za ile minut trzeba będzie odesłać na dół Tambiego z gramofonem i płytami, zauważył, że dziewczyna spogląda na niego w niemym przerażeniu. Na pół przymknawszy oczy kiwnął przyzwalająco głową i potwierdził to przyzwolenie wskazując ręką zejście kajutowe. Usłuchała tak, jakby usłuchał zbity, zgnębiony pies; podniosła się z pokładu, zadrżała i rzuciła za siebie spojrzenie pełne nigdy nie odstępującego jej strachu przed wielkim białym panem, który miał ją pewnego dnia pożreć. Umknęła chyłkiem do schodni i spełzła na dół niby jakiś ogromny, wielkogłowy robak, a Van Horn poczuł ukłucie w sercu na myśl, że nie potrafi przekazać jej swojej życzliwości ponad dzielącą ich przepaść stuleci.

Posławszy za dziewczynką Tambiego z cennym gramofonem, Van Horn dalej palił cygaro, podczas gdy ostre, kłujące jak igły kropelki deszczu siekły rozkosznie jego spieczone ciało.

Deszcz padał jednak zaledwie pięć minut. Potem zaś, kiedy na niebie pokazały się znowu gwiazdy, z pokładu i z porośniętych mangrowcami moczarów zaczęły dobywać się parne wyziewy, a wszystko dokoła spowił duszny upał.

Van Horn wiedział, czym to grozi, ale nigdy nie przejmował się chorobą z wyjątkiem febry, nie pomyślał więc o tym, by okryć się kocem.

— Pan ma pierwszą wachtę — powiedział Borckmanowi. — Nad ranem ruszymy, zanim pana obudzę.

Złożył głowę na bicepsie prawej ręki, lewą przytulił Jerry'ego do piersi i zasnął.

Tak to biali awanturnicy i czarni krajowcy przeżywali dzień po dniu na Wyspach Salomona, swarząc się i handlując; biali starali się zachować głowy na ramionach, a czarni, nie mniej usilnie, zdając im je z karków, zarazem, utrzymując własną anatomie w nietkniętym stanie.

A Jerry, który znał dotąd jedynie świat laguny Meringe, przekonywał się, że te dwa nowe światy: statku „Arangi” i wyspy Malaita — są w zasadzie takie same, i z niejakim zrozumieniem obserwował nieustanną grę między białymi a czarnymi.

Świt zastał „Arangi” pod wszystkimi żaglami, które ciężko zwisały w martwym powietrzu, podczas gdy załoga szalupy mozoliła się przy wiosłach holując statek przez wąski przesmyk. Raz, kiedy kecz, zepchnięty jakimś przypadkowym prądem, znalazł się nie opodal przybrzeżnej kipieli, na pokładzie przerażeni czarni zbili się w gromadkę niby wystraszone owce w zagrodzie, gdy słyszą w pobliżu wycie dzikiego leśnego włóczęgi.

Van Horn nie potrzebował nawoływać wiosłarzy: „*Washee-washee*, a ostro!”, albowiem podnieśli się z ław, napierając na wiosła całym ciężarem ciała. Wiedzieli, jaki straszny los niechybnie im grozi, jeżeli „Arangi” zawadzi kilem o obmywane falami rafy koralowe. Ogarnął ich taki sam lęk jak przerażoną dziewczynkę z ładowni. W przeszłości bowiem niejeden chłopak z Langa-Langa czy Somo zjedzony został podczas biesiady na Su’u, podobnie jak chłopcy z Su’u niekiedy bywali pożerani na Langa-Langa czy Somo.

— Daję słowo — zwrócił się do Van Horna stojący przy kole sterowym Tambi, kiedy minął moment napięcia, „Arangi” zaś odsunął się od raf. — Brat mój ojciec dawno przedtem pływał tu w załoga statku. Brat mój ojciec przyplłynął tu na bardzo wielki szkuner. I tu być koniec. Ludzie Su’u całkiem *kai-kai* brat mój ojciec.

Van Horn przypomniał sobie, jak to przed piętnastu laty statek „Fair Hathaway” został splądrowany i spalony przez plemię Su’u po wymordowaniu całej załogi. Istotnie na początku wieku dwudziestego Wyspy Salomona wciąż jeszcze były dzikie, a z nich wszystkich najdziksza była wyspa Malaita.

W zamyśleniu przesunął wzrokiem po stokach wzgórz ku punktowi orientacyjnemu żeglarzy, górze Kolorat, porośniętej zielonym lasem aż po ukryty w chmurach szczyt, piętrzący się na cztery tysiące stóp wysoko. Kiedy zaś patrzył, na zboczach i pomniejszych wierzchołkach wykwitły cienkie smugi dymu, po których zaczęły pokazywać się dalsze.

— Daję słowo — wyszczerzył zęby Tambi. — W busz dużo ludzi patrzeć na pana okiem.

Van Horn uśmiechnął się ze zrozumieniem. Wiedział, że oto starożytnym telegrafem sygnałów dymnych przekazują tam właśnie z wioski do wioski i z plemienia do plemienia wieść, że u wybrzeży pokazał się statek werbujący siły robocze.

Przez całe rano „Arangi”, popychany rzeźwym bocznym wiatrem, który zerwał się po wschodzie słońca, płynął na północ, ustawicznie oznajmiany wzmagającą się rozmową dymów, które gadały z zielonych wzgórz. W południe, kiedy Van Horn kierował statkiem stojąc na dziobie wraz z nieodłącznym Jerry’em, „Arangi” wszedł w wiatr, ażeby przesunąć się między dwiema wysepkami, które były pokryte pióropuszcami palm. Nie trzeba było podawać rozkazów sternikowi. Koralowe skały sterczały wszędzie z turkusowej głębiny, mieniając się całą skalą zieleni od najciemniejszego nefrytu do najbledszego turmalinu, a ponad nimi morze grało zmiennymi odcieniami, kłębiło się leniwie lub wystrzelało białymi fontannami połyskujących w słońcu pian.

Kolumny dymu na wyniosłościach rozgadały się na dobre i zanim „Arangi” przepłynął między wyspami, całe wybrzeże — od siedzib plemion nadmorskich aż do najodleglejszych wiosek w buszu — wiedziało już, że werbujący statek płynie do Langa-Langa. Kiedy przed „Arangi” rozwarła się laguna utworzona przez łańcuch przybrzeżnych wysepek, Jerry zwie trzył nadmorskie wioski. Po gładkiej tafli laguny sunęły liczna pirogi, popychane krótkimi wiosłami lub żeglujące z coraz silniejszym południowo-wschodnim pasatem, który wydymał rozpostarte nad nimi liście palm

kokosowych. Jerry zaszczekał groźnie na tych, co podpłynęli najbliżej, i zjeżył się udając straszliwego obrońcę białego boga, który stał przy nim. Po każdym takim ostrzeżeniu łagodnie dotykał chłodnym, wilgotnym nosem rozgrzanej od słońca nogi Kapitana.

Znalazszy się na lagunie, „Arangi” popłynął z bocznym wiatrem. Przemierzył szybko pół mili, zrobił zwrot stawiając przednie żagle do wiatru i pośród donośnego łopotu grot i bezan-żagli rzucił kotwicę w głęboką na pięćdziesiąt stóp wodę, tak przezroczystą, że na koralowym dnie widać było każdą ogromną, pręgowaną muszlę.

Nie potrzebowano szalupy, aby wysadzić na ląd powracających krajowców Langa-Langa. Setki czółen stały dwudziestoma szeregami po obu stronach „Arangi”, a każdego z dzikich oczekujących ze skrzynką zaopatrzoną w dzwoneczek nawoływały dziesiątki krewnych i przyjaciół.

Widząc, że wszystkich ogarnęło najwyższe podniecenie, Van Horn nie wpuścił nikogo na pokład. W przeciwieństwie do bydła Melanezyjczycy są równie skłonni rzucać się do ataku jak do ucieczki. Dwaj ludzie stanęli przy świetliku, na którym złożone były karabinki. Borckman z połową załogi pełnił swe zwykłe funkcje. Van Horn, mając przy nodze Jerry'ego, baczył, by nikt nie zaszedł go z tyłu, i nadzorował wyładowania krajowców z Langa-Langa, a zarazem obserwował pozostałą część załogi, która strzegła drutów kolczastych na relingu. Każdy krajowiec z plemienia Somo siedział na swojej skrzynce i pilnował, by któryś Langa-Langa nie wrzucił jej do oczekujących czółen.

W pół godziny później cała ciżba odplynęła do brzegu. Pozostało zaledwie kilka czółen, a z jednego z nich Van Horn wywołał na pokład Nau-hau, najpotężniejszego wodza twierdzy Langa-Langa. W przeciwieństwie do większości znamienitych wodzów Nau-hau był młody, w przeciwieństwie zaś do większości Melanezyjczyków był przystojny, a nawet piękny.

— Jak się masz, babiloński królu! — brzmiało powitanie Van Horna, który tak go nazywał z uwagi na pewne rysy semickie, stopione z wyrazem brutalnej siły, cechującym jego twarz i obejście.

Od urodzenia przywykły do nagości Nau-hau wstąpił śmiało i bez wstydu na pokład. Jedyńm jego strojem był opasujący biodra rzemień od kufra. Między rzemieniem a nagim ciałem tkwiło zatknięte ostrze dziesięciocalowego noża. Jedyńą zaś ozdobę wodza stanowił biały porcelanowy talerz do zupy z przewierconym otworem, zawieszony na szyi na włóknie kokosowym tak, że leżał płasko na piersi i częściowo przesłaniał wspaniałe jej umięśnienie. Był to skarb nad skarby. Nikt na wyspie Malaita nie posiadał całego talerza do zupy.

Ale Nau-hau nie był bynajmniej z tego powodu śmieszny, tak jak nie wyglądał komicznie w swojej nagości. Był bowiem prawdziwie królewski. Jego ojciec także niegdyś panował, ale Nau-hau okazał się większym królem od niego. W jego rękach i mózgu spoczywała władza nad życiem i śmiercią poddanych. Toteż często jej używał rozkazując w języku Langa-Langa: „Bijcie tych” lub „Bijcie tamtych”, „Zginiesz lub „Będziesz żył”. Ponieważ jego rodzic, który abdykował przed rokiem, był na tyle nierozsądny, aby wtrącać się do rządów syna, Nau-hau zaweźwał dwóch ludzi i rozkazał okręcić mu szyję powrozem z włókna kokosowego, wskutek czego ojciec nigdy więcej nie zdołał już odetchnąć. Kiedy ulubiona małżonka Nau-hau, matka pierwородnego syna, wiedziona niemądrami czułością ośmieliła się pogwałcić jedno z jego królewskich tabu, kazał ją zabić, po czym samolubnie i skrupulatnie zjadł ją całutką aż do szpiku połamanych kości, nie dzieląc się ani kąskiem nawet z najserdeczniejszymi przyjaciółmi.

Królewski był z natury, z wychowania, z obejścia. Nosił się z pełną świadomością swojej królewkości. Wygląd miał także królewski — podobnie jak królewski może być wspaniały ogier czy lew na płowej pustyni. Był równie przepyszny zwierzęciem — okazem świetnego zdobywcy i władcy, takiego, jaki na wyższym szczeblu rozwoju jawił się nieraz w innym miejscu i czasie. Królewski był każdy ruch jego ciała, głowy, torsu i ramion. Po królewsku patrzyły spod ciężkich

powiek leniwe, zuchwałe oczy.

Z istic królewską odwagą wkroczył w tej chwili na pokład „Arangi”, aczkolwiek wiedział, że stąpa po dynamicie. Z dawna już dostał gorzką nauzkę, iż każdy biały człowiek jest w równej mierze dynamitem, jak tajemniczy, śmiercionośny pocisk, którego niekiedy używa. Jeszcze jako mały chłopiec należał do załogi jednego z czółen, które napadły na kuter przewożący drzewo sandałowe, bodajże mniejszy od „Arangi”. Nau-hau nie zapomniał nigdy owej tajemnicy. W jego oczach zabito na statku dwóch białych ludzi i ucięto im głowy. Trzeci broniąc się uciekł na minutę przedtem pod pokład. I wtedy kuter z całym bogactwem obręczy żelaznych, tytoniu, noży i perkalu wyleciał w powietrze i opadł w morze rozniesioną na szczątki nicością. Był to dynamit — TAJEMNICA! Nau-hau, który ciśnięty został w górę, cudem nie ponosząc szwanku, odgadł, że biali ludzie są naprawdę dynamitem, że są stworzeni z tej samej tajemniczej substancji, jaką ostrzeliwali śmigłe stada ryb-tępogłówów, a w krytycznej chwili wysadzali się w powietrze razem ze statkiem, na którym przyplływali z dalekich stron. Mimo to stąpał twardo i śmiało po tej niepewnej, śmiercią grożącej substancji, z której jak wiedział, uczyniony był także Van Horn, i ryzykując eksplozję deptał ją zuchwale.

— Daję słowo — zaczął. — Dlaczego ty trzymać za długo u siebie moi chłopcy?

Był to słuszny i uzasadniony wyrzut, krajowcy bowiem, których Van Horn właśnie przywiózł z powrotem, przebywali na plantacji trzy i pół roku zamiast trzech lat.

— Jak ty tak mówić, ja na ciebie zły za bardzo — odciął się Van Horn, po czym dodał dyplomatycznie, sięgając ręką do skrzynki i dobywając garść kostek tytoniu: — Ty lepiej popalić i mówić dobra mowa. Ale Nau-hau wyniośle odtrącił dar, którego pożądał.

— U mnie dużo tytoń — skłamał. — Dlaczego jeden chłopiec odjechać i nie wrócić?

Van Horn wyciągnął zza przepaski biodrowej długą, wąską książeczkę rachunkową. Kiedy przewracał jej kartki, wodzowi zaimponował dynamit wyższej mądrości białego człowieka, dzięki której mógł on przypomnieć sobie coś dokładnie z pogryzmołonych kartek książki miast z głowy.

— Sati — odczytał Van Horn i zaznaczył sobie palcem miejsce, patrząc czujnie na przemian to na notatki, to na stojącego przed nim czarnego wodza, podczas gdy ten rozważał i zastanawiał się, czy nie można by zająć go od tyłu i jednym wypróbowanym ciosem noża przeciąć mu kręgosłup tuż u nasady karku. — Sati — czytał Van Horn — na początku zeszłego monsunu chorować za bardzo na brzuch. I Sati nie żyć — przetłumaczył na *bêche-de-mer* zapisaną notatkę: „Zmarł na dyzenterię 4 lipca 1901 roku”.

— Sati długi czas dużo roboty — przeszedł Nau-hau do rzeczy. — Co z jego pieniądze?

Van Horn na podstawie zestawienia dokonał w myśli rachunku.

— Razem on zarobić sześć razy po dziesięć i dwa funt w złocie — brzmiała w jego tłumaczeniu suma sześćdziesięciu dwóch funtów zarobku. — Ja zapłacić z góry jego ojciec dziesięć i pięć funt. Jemu należeć cztery razy po dziesięć i siedem funt.

— Dlaczego ty nie dać cztery razy po dziesięć i siedem funt? — zapytał Nau-hau obejmując tę olbrzymią sumę nie tyle mózgiem, co mową.

Van Horn podniósł rękę.

— Ty Nau-hau za duży pośpiech. On Sati kupić na plantacji skrzynia za dwa razy po dziesięć i jeden funt. Jemu należeć już tylko dwa razy po dziesięć i sześć funt.

— Dlaczego ty nie dać dwa razy po dziesięć i sześć funt? — ciągnął nieugięty Nau-hau.

— Zostać u mnie — odparł krótko Kapitan.

— Ty mi dać dwa razy po dziesięć i sześć funt.

— Figę ci dać — oświadczył Van Horn, a dziki wódz dostrzegł w jego niebieskich oczach ów

dynamit, z którego byli snadź uczynieni biali ludzie. W jego mózgu ożył obraz krwawego dnia, kiedy to po raz pierwszy ujrzał eksplozję dynamitu i został wyrzucony w powietrze.

— Dlaczego ten stary być w to czółno? — zapytał Van Horn wskazując jakiegoś starca siedzącego w jednej z łódek. — Czy on być ojciec Sati?

— On być ojciec Sati — potwierdził Nau-hau.

Van Horn dał staremu znak, by wszedł na statek, po czym skinął na Borckmana i zostawiwszy pokład oraz Nau-hau pod jego pieczęcią, zszedł na dół, aby przynieść pieniądze z kasetki. Wróciwszy, zignorował bezceremonialnie wodza i zagadnął starca:

— Jak ty nazywać?

— Ja Nino — brzmiała odpowiedź udzielona drżącym głosem. — Chłopiec Sati mój chłopiec.

Van Horn poszukał wzrokiem potwierdzenia u Nau-hau, który przytaknął w przyjęty na Wyspach Salomona odwrotny sposób. Wtedy Van Horn odliczył ojcu Satiego dwadzieścia sześć złotych suwerenów na rękę.

Nau-hau zaraz wyciągnął dłoń po pieniądze. Dwadzieścia sztuk złota zatrzymał dla siebie, pozostałe sześć zwrócił starcowi. To już nie była sprawa Van Horna. Wypełnił swój obowiązek i zapłacił uczciwie. Nie mógł się wtrącać w tyranizowanie poddanego przez wodza.

Obaj władcy, czarny i biały, byli z siebie zadowoleni. Van Horn wpłacił pieniądze, komu należało; Nau-hau zaś, jako król, w oczach Van Horna obrał ojca Satiego z owoców pracy syna. Ale Nau-hau nie był wolny od pychy. Odmówił przyjęcia ofiarowanego mu tytoniu, zakupił skrzynkę od Van Horna płacąc za nią pięć funtów i poprosił, by ją otworzono, ażeby mógł nabić sobie fajkę.

— Dużo dobry chłopiec na Langa-Langa? — zapytał uprzejmie nieporuszony Van Horn, chcąc podtrzymać rozmowę i jednocześnie okazać pewną nonszalancję.

Król babiloński wyszczerzył zęby, ale nie raczył odpowiedzieć.

— Może ja zejść na ląd i pochodzić trochę? — zaryzykował z naciskiem Van Horn.

— Z tobą móc być bardzo źle — odparł zaczepnie Nau-hau. — Dużo zły człowiek ciebie *kai-kai*.

Aczkolwiek Van Horn nie zdawał sobie z tego sprawy, jednak usłyszawszy owe wyzywające słowa poczuł, że pod włosami przebiegają mu takie same ciarki jak te, które czuł Jerry, kiedy sierść jeżyła mu się na karku.

— Hej, Borckman! — zawołał. — Osada do szalupy!

Gdy przyciągnięto łódź, pierwszy wyniośle zszedł do niej, po czym zaprosił Nau-hau, aby mu towarzyszył.

— Daję słowo, królu babiloński — szepnął wodzowi do ucha, kiedy osada szalupy pochyliła się nad wiosłami — jeżeli jeden twój człowiek zacząć awantura, ja pierwsza rzecz zastrzelić ciebie. A potem wystrzelać wszystkich Langa-Langa. Przez cały czas jak ja chodzić, ty chodzić przy mnie. Jak ty nie chcesz iść przy mnie, ja z tobą skończyć.

Znalazłszy się na brzegu jako jeden jedyny biały, Van Horn — któremu towarzyszył irlandzki terier o sercu przepełnionym miłością i czarny król, który czuł niechętny respekt przed dynamitem białego człowieka — jął kroczyć zadzierzyscie na bosaka po twierdzy obsadzonej przez trzy tysiące ludzi. Tymczasem biały oficer, nałogowy pijak, pilnował stateczku zakotwiczonego z daleka od lądu, a czarni tworzący osadę szalupy siedzieli z wiosłami w garści i trzymali ją w pogotowiu rufą do plaży, oczekując ucieczki człowieka, któremu służyli bez przywiązania i którego głowę chętnie by każdej chwili zdjęli z karku, gdyby nie strach przed nim.

Van Horn nie miał zamiaru schodzić na ląd, a fakt, że to uczynił na wyzwanie czarnego wodza, był jedynie sprawą interesu. Przez godzinę przechadzał się tak, nie odrywając ani na chwilę ręki od kolby pistoletu zawieszzonego przy pachwinie i nie spuszczać oka z Nau-hau, który niechętnie szedł

przy nim. Albowiem Nau-hau, zdjęty ponurą, iście wulkaniczną wściekłością, gotów był wybuchnąć przy lada sposobności. Van Hornowi zaś podczas owej przechadzki dane było ujrzeć to, co widziało tylko niewielu białych, gdyż Langa-Langa, podobnie jak jej siostrzane wysepki, piękne paciorki rozsypane wzdłuż wybrzeży Malaity, była równie tajemnicza, jak nie zbadana.

Pierwotnie wysepki te były to zwykłe ławice piaskowe bądź rafy koralowe, które sterczały z morza lub spoczywały płytko pod jego powierzchnią. Tylko prześladowane, nieszczęsne istoty, zdolne do wytrzymywania niewiarygodnych trudów, mogły sklecić sobie na nich nędzny byt. Ale takie to właśnie prześladowane, nieszczęsne istoty, ocalałe z masakry wiosek, zbiegłe przed gniewem wodzów i pożarciem, przybyły tu i przetrwały. Ci, którzy znali jedynie busz, zaznajomili się ze słoną wodą i wydali na świat nadmorskie pokolenia. Poznali obyczaje ryb i ślimaków, wymyślili haczyki i linki, sieci i pułapki na ryby, i wszelkie przebiegłe sposoby, którymi można wyłowić pływające mięso ze zmiennego, nieobliczalnego morza.

Owi zbiegowie kradli z lądu kobiety, rozmnażali się i rośli w liczbę. Iście herkulesowym trudem pokonali morze pod palącymi promieniami słońca. Granice swoich raf i ławic umocnili skałami koralowymi ukradzionymi ciemną nocą z lądu. Ażeby przeciwstawić się atakom oceanu, wzniesli bez zaprawy ni. kielni wały wspaniałej murarskiej roboty. I podobnie też, wzorem myszy, co okradają mieszkania śpiących ludzi, kradli z lądu pełne czółna, miliony czółen tłustej, żyznej ziemi.

Minęły wieki i pokolenia i oto w miejscu nagich ławic piaskowych, na wpół pograżonych w wodzie, stanęły cyta dele o murach poprzerrywanych torami spustowymi dla długich czółen, chronione od strony lądu przez laguny, które były dla nich niby wąskie morza. Palmy kokosowe i bananowe, śmigłe drzewa chlebowe dawały ludziom pożywienie i ochronę przed słońcem. Ich ogrody rozkwitały. Długie, wąskie pirogi bojowe pustoszyły wybrzeża i niosły zemstę za praojców potomkom tych, co ich prześladowali i pożerali.

Podobnie jak owi zbiegowie i renegaci, którzy zemknąwszy na słone nadadriatyckie bagna wzniesli pałace potężnej Wenecji na wbitych głęboko palach — tak i ci nieszczęśni, prześladowani czarni budowali swoją potęgę, aż stali się władcami głównego lądu, opanowali handel i szlaki kupieckie, zmusili mieszkańców buszu, by już na zawsze w nim pozostali i nigdy nie ważyli się zbliżyć do słonej wody.

I oto tu właśnie, wśród zuchwałego, pewnego siebie nadmorskiego ludu, kroczył Van Horn stawiając los swój na kartę, nie mogąc uwierzyć, że grozi mu szybka śmierć, świadom, iż pracuje dla sprawy werbowania sił roboczych do plantacji innych białych śmiałków z dalekich wysp, którzy nie potrafili zdobyć się na taką jak on odwagę.

Kiedy po upływie godziny Van'Horn wsadził Jerry'ego na rufę szalupy i sam wsiadł za nim, na plaży pozostał osłupiały i zdumiony czarny król, który bardziej niż kiedykolwiek czuł respekt przed dynamitowymi białymi ludźmi, co przywozili mu tytoń, perkal, noże i toporki i w sposób bezwzględny ciągnęli zyski z owego handlu.



Wróciwszy na pokład, Van Horn natychmiast kazał wybrać łańcuch kotwiczny, postawić żagle i podnieść kotwicę, po czym ruszył w dziesięćmiłowy rejs po lagunie biorąc kurs na nawietrzną w stronę Somo. Po drodze zatrzymał się przy Binu, aby powitać wodza Johnny i wysadzić na ląd kilku powracających tam krajowców. Potem zaś ruszył ku Somo — ku wieczystemu kresowi wędrówki „Arangi” i wielu tych, co byli na pokładzie.

Przyjęcie zgotowane Van Hornowi w Somo było zupełnym przeciwieństwem tego, które spotkało go na Langa-Langa. Gdy tylko wysadzono na ląd powracających chłopców, z czym uporano się do godziny trzeciej trzydzieści po południu, Van Horn zaprosił na statek wodza Basztego. A wódz Baszti przybył, nader rzeński i energiczny mimo podeszłego wieku i usposobiony bardzo życzliwie — tak życzliwie, że uparł się, by przywieźć na pokład trzy swoje leciwe małżonki. Była to rzecz bez precedensu. Nigdy dotychczas nie pozwolił żadnej z żon stanąć przed obliczem białego człowieka, toteż Van Horn czuł się tak zaszczycony, że obdarował każdą z nich barwną glinianą fajką i tuzinem kostek tytoniu.

Pomimo późnej popołudniowej godziny handel szedł żwawo, a Baszti, który zagarnął lwią część zapłaty należnej ojcom dwóch zmarłych krajowców, czynił na „Arangi” obfite zakupy. Kiedy przyobiecał, że dostarczy wielu świeżych ludzi do pracy, Van Horn, nawykły do zmienności dzikich, począł nalegać, by z miejsca podpisać kontrakty. Baszti zwlekał, proponował następny dzień. Van Horn obstawał, że najlepiej załatwić to zaraz, i perswadował tak skutecznie, iż stary wódz posłał na ląd czółno po ludzi, których wybrano do pracy na plantacjach.

— No i co pan o tym myśli? — zapytał Van Horn Borckmana, który miał oczy dziwnie mętne. — Jeszcze nigdy nie widziałem tego starego łajdaka w tak przyjaznym usposobieniu. Czyżby coś chował w zanadrzu?

Oficer popatrzał na liczne pirogi stojące przy statku, zauważył, że siedzi w nich wiele kobiet, i potrząsnął głową.

— Jak coś szykują, zawsze odsyłają baby w busz — powiedział.

— Z tymi czarnuchami nigdy nic nie wiadomo — mruknął Kapitan. — Może im brak wyobraźni, ale od czasu do czasu potrafią wymyślić coś nowego. Ten Baszti to najsprytniejszy stary dzikus, jakiego w życiu widziałem. Dlaczego by nie miał tym razem zagrać akurat na odwrót? To, że nigdy nie brali z sobą kobiet, gdy zanosilo się na awanturę, jeszcze nie świadczy, że zawsze będą się trzymali tej praktyki.

— Nawet Baszti nie ma tyle rozumu, żeby zrobić podobny kawał — sprzeciwił się Borckman. — Ot, po prostu jest w dobrotliwym i przychylnym nastroju. Ba, przecież już kupił od pana towaru za czterdzieści funtów. Dlatego chce podpisać umowę na nową serię chłopaków, a założyłbym się, iż ma nadzieję, że połowa z nich wymrze, bo wtedy zagarnie dla siebie ich płace.

Wszystko to było jak najrozsądniejsze. Niemniej Van Horn potrząsnął głową.

— A jednak miej pan oko na to, co się dzieje — przestrzegł. — Proszę też pamiętać, że nie możemy być obaj jednocześnie pod pokładem. I ani kropli więcej sznapsa, dopóki nie odpłyniemy od tej całej hałastry.

Baszti był niewiarygodnie chudy i ogromnie stary. Sam już nie wiedział, ile ma lat, wiedział natomiast, że nikt z obecnych członków plemienia nie chodził jeszcze po świecie, kiedy on sam był małym chłopcem. Pamiętał czasy, gdy urodzili się niektórzy dziś jeszcze żyjący starcy, którzy w przeciwieństwie do niego byli teraz zgrzybiali, niedołężni, ślepawi, bezzębni, głusi albo

sparaliżowani. Natomiast jego władze umysłowe pozostały nienadwerżone. Chełpił się nawet posiadaniem kilkunastu startych, nie wystających nad dżiąsła pieńków, którymi mógł jeszcze żuć. Jakkolwiek brakowało mu już fizycznej wytrzymałości młodzieńca, umysł miał bystry i klarowny jak zawsze. Dzięki temu jego plemię było teraz silniejsze, niż kiedy objął nad nim rządy. Był melanezyjskim Napoleonem na małą skalę. Żywość jego umysłu pozwoliła mu jako wojownikowi poszerzyć granice Somo i wyprzeć mieszkańców buszu. Blizny na jego zawiędrym ciele świadczyły, że bił się w pierwszych szeregach. Jako prawodawca potrafił rozwijać siłę i sprawność w pleminiu. Jako mąż stanu zawsze wyprzedzał myślą sąsiadu jących wodzów, gdy przyszło zawrzeć traktat albo poczynić rozsądne ustępstwa.

I właśnie w tymże umyśle, wciąż jeszcze żywym i byстрыm, zrodził się niedawno pewien plan, dzięki któremu Baszti miał wywieść w pole Van Horna i wziąć górę nad potężnym Imperium Brytyjskim, o którym słyszał niewiele, a wiedział jeszcze mniej.

Albowiem Somo miało swoją historię. Było mianowicie tą osobliwą anomalią — nadbrzeżnym plemieniem, które zamieszkiwało w głębi łądu, nad laguną, gdzie winni byli żyć tylko tubylcy z buszu. Tradycje Somo pełgały nikłym światelkiem w dalekich mrokach przeszłości. Pewnego dnia, tak odległego, że jego daty nie podobna ustalić, Somo, syn Lotiego, dowódcy wyspiarskiej twierdzy Umbo, powadził się z ojcem i zbiegł przed jego gniewem zabierając z sobą tuzin czółen - zapełnionych młodymi mężczyznami. Dwa monsuny trwała ich odyseja. Legenda mówi, że po dwakroć opłynęli Malaitę i zapuścili się aż do Ugi i San Cristobal leżących za szerokimi morzami.

Po zwycięskich walkach uprowadzali, rzecz jasna, kobiety i w końcu byli tak obciążeni żonami i potomstwem, że Somo przybił do łądu, przepędził tubylców i założył nadmorską fortecę Somo. Od strony morza zbudowana była jak każda wyspiarska twierdza, miała wał ze skał koralowych dla obrony przeciwko morzu i zabłąkanym morskim grasantom, a w wale tym urządzone były torowiska do spuszczenia na wodę długich czółen. Od tyłu, gdzie graniczyła z dżunglą, wyglądała jak wszystkie rozproszone puszczańskie wioski. Ale Somo, dalekowzroczny założyciel plemienia, wytyczył granice daleko w buszu na grzbietach pomniejszych wzgórz, a na każdym z nich zbudował wioskę. Tylko co śmielszym, którzy zbiegli do niego, pozwolił przyłączyć się do nowego plemienia. Słabowitych i tchórzów szybko zjedzono, a niewiarygodne opowieści o liczbie głów zdobiących szopy na czółna stanowiły nieodłączną część legendy.

I to właśnie plemię, terytorium i twierdzę odziedziczył ostatnio Baszti i dziedzictwo swoje ulepszył. Nie przestał też pracować nad jego ulepszeniem. Od dawna już dokładnie i starannie obmyślał dojrzewający w nim plan, który kołatał mu się po głowie oczekując wprowadzenia w życie.

Przed trzema laty plemię Ano Ano, zamieszkałe wiele mil dalej na wybrzeżu, opanowało statek werbujący krajowców do plantacji, zniszczyło go wraz z całą załogą i zdobyło bajeczny zapas tytoniu, perkalu, paciorków i wszelkich towarów, a prócz tego strzelby i amunicję. Za to wszystko przyszło zapłacić niezbyt wysoką cenę. W pół roku po zwniej okręt wojenny wetknął swój nos do laguny, zbombardował Ano Ano i wypłoszył w busz jego mieszkańców. Oddział, który potem wylądował, daremnie ściagał ich po ścieżkach wydeptanych w dżungli. W końcu zadowolił się wyrżnięciem czterdziestu tłustych świń i zrąbaniem setki palm kokosowych. Zaledwie okręt odplynął na pełne-morze, ludność Ano Ano wróciła z buszu do wioski. Ogień działowy nie wyrządza poważniejszych szkód lichym chatkom trzciniowym. Po kilku godzinach pracy kobiety naprawiły tę drobnostkę. Co zaś się tyczy czterdziestu ubitych świń, to całe plemię rzuciło się na nie, upiekło między gorącymi kamieniami, przysypanymi ziemią, i wyprawiło sobie ucztę. Zjedzono również delikatne pędy zrąbanych palm, a tysiące orzechów kokosowych obłupano ze skorup, rozbito, wysuszono na słońcu i uwędzono w dymie na koprę, którą potem sprzedano następnemu

przepływającemu statkowi.

Tak więc wymierzona kara okazała się w skutkach piknikiem i biesiadą, to zaś było ogromnie zachęcające dla zapobiegliwego, wyrachowanego umysłu Basztiego. Co zaś udało się Ano Ano, musiało jego zdaniem udać się i Somo. Ponieważ takie były obyczaje pływających pod flagą brytyjską białych ludzi, że dla zmazania krwawych długów i pomszczenia odciętych głów zabijali świnie i zrąbawali palmy kokosowe, Baszti nie widział żadnego powodu, by z tego nie skorzystać tak samo jak Ano Ano. Cena, którą trzeba by zapłacić w jakiejś domniemanej przyszłości, była śmiesznie nieproporcjonalna do bogactw, jakie można było zdobyć natychmiast. Prócz tego minęły już z górą dwa lata, odkąd ostatni brytyjski okręt wojenny pojawił się u Wysp Salomona.

Tak więc Baszti, mając wyborny, nowy pomysł, skłonił swą głowę wodza na znak zgody, by jego ludzie weszli na pokład i rozpoczęli handel. Tylko nieliczni z nich znali jego pomysł czy też w ogóle wiedzieli, że go powziął.

Handel szedł coraz żwawiej, w miarę jak podpływały nowe czółna, a czarni mężczyźni- i kobiety cisnęli się na statek. Potem zjawili się nowozwerbowani, świeżo pochwytnane, młode, dzikie istoty, strachliwe jak sarny, a jednak ulegające surowemu prawu rodzicielskiemu i plemiennemu. Schodzili po jednym do kabiny „Arangi”, a ich ojcowie, matki i krewni towarzyszyli im rodzinnymi grupkami. Stawali przed obliczem wielkiego białego pana, ten zaś wpisywał ich imiona do tajemniczej księgi i kazał potwierdzać zawarcie trzyletniej umowy o pracę przez dotknięcie prawą ręką pióra, którym pisał, po czym wypłacał w towarach głowom ich rodzin zaliczkę za pierwszy rok pracy.

Stary Baszti siedział obok i pobierał zwyczajową, sutą dziesięcinę od każdej zaliczki, a u jego stóp przykucnęły pokornie trzy stare małżonki, których sama obecność napępiała zaufaniem Van Horna, rozradowanego pomyslnym przebiegiem interesów. Rozumował sobie, że w takim tempie jego rejs po Malaicie będzie krótki, a potem odpłyną z pełnym statkiem.

Po pokładzie, gdzie czuwał Borckman, grasował Jerry obwąchując nogi licznych Murzynów, których nigdy dotychczas nie widział. Dzikiego psa zabrali na brzeg powracający krajowcy, z których tylko jeden zjawił się znowu na statku. Był to Lerumi; Jerry jeżąc się obchodził go ustawicznie dokoła na sztywnych nogach, ale tamten niczym nie zdradzał, że go zna. Nie zwracał na Jerry'ego najmniejszej uwagi i raz tylko zszedł pod pokład, gdzie nabył ręczne lusterko, po czym spojrzeniem upewnił starego Basztiego, że wszystko jest gotowe do wybuchu w pierwszym sprzyjającym momencie.

Na pokładzie dał po temu okazję Borckman. Nie doszłoby do tego, gdyby nie dopuścił się nieostrożności i nieposłuszeństwa wobec rozkazów swego kapitana. Nie pozostawił jednak butelki w spokoju. Nie wyczuwał wcale, co się dokoła niego gotuje. Na rufie, gdzie właśnie stał, pokład był niemal całkowicie opustoszały. Natomiast na śródokręciu i dziobie tłoczyli się krajowcy obojga płci rozprawiając z członkami załogi. Borckman podszedł do uwiązanych przy bezan-maszcie worków z *yamami* i wyciągnął butelkę. Wiedziony ostatnim odruchem ostrożności obejrzał się, zanim ją przytknął do ust. Nie opodal stała szpetna, tłusta, przysadzista, niekształtna kobieta w średnim wieku, wyglądająca zupełnie nieszkodliwie, i karmiła dwuletnie dziecko uczezione okraciem na jej biodrze. Z całą pewnością nic nie mogło zagrażać z tej strony. Co więcej, była wyraźnie nie uzbrojona, gdyż nie miała na sobie ani strzępka odzieży, pod którym mogłaby ukryć broń. O dziesięć stóp od niej stał oparty o reling Lerumi i mizdrzył się w kupionym przed chwilą lusterku.

W tym to lusterku Lerumi dostrzegł, jak Borckman pochyla się nad workiem, potem wyprostowuje i odrzuca w tył głowę przyciskając do ust szyjkę butelki, a denko jej unosząc do góry. Lerumi dał prawą ręką znak jednej z kobiet, siedzącej w czółnie tuż przy kadłubie statku. Schyliła się szybko po coś, co w następnej chwili rzuciła Lerumiemu. Był to długi tomahawk z głowicą od

zwykłego toporka ciesielskiego; miał trzonek sporządzony przez tybulców z czarnego polerowanego kawałka twardego drzewa, wykładany perłową macicą w prymitywne wzory i opleciony w miejscu uchwytu włóknem kokosowym. Ostrze toporka zeszlifowano tak, że było ostre jak brzytwa.

Tomahawk bezgłośnie przeleciał przez powietrze prosto w ręce Lerumiego, który w następnej chwili równie bezgłośnie rzucił go z kolei do rąk stojącej za oficerem, tłustej kobiety z dzieckiem. Ścisnęła trzonek w obu dłoniach, a dzieciak uwieszony okrakiem na biodrze trzymał jej się małymi rączkami. Zwlekała jednak z uderzeniem, zważywszy bowiem, że Borckman stał z głową odchyłoną do tyłu, chwila nie była odpowiednia do przerażania mu stosu pacierzowego na karku. Liczne oczy śledziły gotującą się tragedię. Jerry też widział, co się święci, lecz nie rozumiał tego. Pomimo całej swojej wrogości wobec czarnych, nie odgadł, że nastąpi ów atak z powietrza. Tambi, który przypadkiem stał obok iluminatora, zauważył przygotowania i sięgnął po karabinek. Lerumi spostrzegł jego ruch i syknął do kobiety, by się pośpieszyła.

W tej ostatniej sekundzie swego życia Borckman, równie niczego nieświadom jak w pierwszej chwili po przyjściu na świat, opuścił butelkę i wyprostował się. Ostry brusiec ugrzązł w jego karku. Co myślał albo czuł w tym błyskawicznym momencie, kiedy jego mózg został odrąbany od reszty ciała — jeżeli w ogóle cokolwiek czuł czy myślał — to pozostanie dla żywych ludzi niedocieczoną tajemnicą. Żaden człowiek, któremu w taki sposób przecięto stos pacierzowy, nie zaświadczył dotychczas ani jednym słowem czy choćby szeptem o swoich doznaniach i przeżyciach.

Nie mniej szybka od ciosu toporka była bezwładna miękkość, z jaką ciało Borckmana osiadło, na pokładzie. Nie zatoczył się ani nie runął. Po prostu osiadł niby nagle opróżniony worek albo przekłuty pęcherz. Butelka wypadła z martwej ręki na worki nie tłukąc się, a reszta jej zawartości z cichym bulgotem wypłynęła na pokład.

Wszystko to nastąpiło tak szybko, że pierwszy strzał z karabinka Tambiego chybił kobietę, nim jeszcze Borckman osunął się na pokład. Na drugi nie było już czasu, gdyż kobieta cisnęła precz tomahawk i trzymając w objęciach dziecko rzuciła się do relingu, wyskoczyła za burtę i siłą upadku wywróciła czołno, które akurat znalazło się pod nią.

Dziesiątki rzeczy poczęły dziać się na raz. Z czołen po obu stronach statku wzbił się migotliwy, błyszczący deszcz wy sadzanych macicą perłową tomahawków, które spadły w ręce oczekujących na pokładzie mężczyzn z plemienia Somo, podczas gdy kobiety przycupnąwszy jęły wycofywać się ze starcia. W chwili gdy ta, która zabiła Borckmana, wyskakiwała za burtę, Lerumi schylił się po rzucony przez nią tomahawk, a Jerry widząc, że to wojna na śmierć i życie, przyskoczył i rozorał zębami sięgającą po toporek rękę. Lerumi wyprostował się gwałtownie i donośnym wyciem wyrzucił z siebie całą wściekłość i nienawiść do psiaka, jaka nagromadziła się w nim od miesięcy. W chwili gdy wyprostowywał się, a Jerry dopadał jego nóg, Lerumi kopnął go z całej siły trafiając psa prosto w brzuch i wyrzucając w górę.

W następnej sekundzie czy też ułamku sekundy, gdy Jerry przelatywał nad obwiedzioną drutem kolczastym burtą, a z czołen podawano na statek strzelby, Tambi wystrzelił śpiesznie po raz drugi. Lerumi nie zdążywszy jeszcze postawić na pokładzie nogi, którą kopnął Jerry'ego, schylał się właśnie po tomahawk, kiedy otrzymał kulę prosto w serce i runął, by wraz z Borckmanem pograć się w mgławicy śmierci.

Nim Jerry spadł do wody, chwała owego nad podziw udanego strzału przemieniła już dla Tambiego, albowiem w chwili gdy naciskał cyngiel, tomahawk rąbnął go w nasadę czaszki i na zawsze przesłonił mrokiem widok promiennego, obmywanego morzem i polśniewającego słońcem świata zwrotników. Z równą szybkością, nieledwie jednocześnie, zginęła reszta załogi i pokład statku przemienił się w jatkę.

Gdy Jerry wytknął głowę z wody, usłyszał huk strzałów i odgłosy śmiertelnej walki. Czyjaś ręka sięgnęła przez burtę jednego z czółen i uchwyciwszy go za skórę na karku wciągnęła do środka, a chociaż warczał i wyrywał się usiłując ugryźć swego wybawcę, miotała nim nie tyle wściekłość, co szalony niepokój o Kapitana. Nie myśląc o tym, wiedział, że na „Arangi” spadła owa mgliście wyczuwana, najwyższa klęska życiowa, której wszystko, co żyje, obawia się podświadomie, a którą tylko człowiek zna i nazywa „śmiercią”.

Widział, jak został powalony Borckman. Słyszał, jak został powalony Lerumi. A teraz do jego uszu dolatywał huk strzałów, ryki i wrzaski tryumfu i strachu.

Bezradny, zawieszony w powietrzu za skórę na karku, ujadał i warczał, dławił się i kaszłał, aż wreszcie zniechęcony dzikus cisnął go brutalnie na dno pirogi. Jerry zerwał się i dał dwa susy: jeden na burtę, a drugi, beznadziejny, rozpaczliwy, niepomny na nic — ku relingowi „Arangi”.

Skok był o jard za krótki i Jerry, nie dosięgnąwszy relingu przednimi łapami, spadł w morze. Wynurzył się płynąc jak opętany; dławił się słoną wodą, gdyż nadal ujadał, wył i szczekał chcąc znaleźć się na pokładzie u boku Kapitana.

Jednakże pewien dwunastoletni chłopiec, który z innego czółna obserwował przygodę pierwszego krajowca z Jerrym, potraktował teraz psa bezceremonialnie uderzając go po głowie najpierw na płask piórem wiosła, potem zaś jego kantem. Mroki nieświadomości spowiły mały, bystry, cierpiący z miłości mózg, toteż gdy chłopiec wciągnął Jerry'ego do pirogi, psiak był już wiotki i bezwładny.

Tymczasem w kajucie pod pokładem „Arangi”, nim jeszcze Jerry wpadł do wody kopnięty przez Lerumiego, właśnie w chwili gdy wylatywał za burtę, Van Horn w ostatnim przeblysku ułamka sekundy poznał swą własną śmierć. Nie darmo stary Baszti żył najdłużej ze wszystkich mężów plemienia i był najmądrzejszym z długiego szeregu władców rządzących od czasów wodza Somo. Gdyby mu było dane świetniejsze miejsce w ziemskiej przestrzeni i czasie, okazałby się może Aleksandrem, Napoleonem czy ciemnoskórym Kahehameha. Ale i tak poczynął sobie dobrze, a nawet znakomicie w swoim niewielkim, ograniczonym królestwie na osłoniętym od wiatrów wybrzeżu kanibalskiej wyspy Malaita.

Cóż to była za gra! Z chłodną dobrocią, pomny swojego dostojęstwa wodza, uśmiechał się do Van Horna, udzielał królewskiego przyzwolenia młodzieńcom, by zapisali się na trzy lata do niewolniczej pracy na plantacjach, i odbierał swą część przypadającego każdemu z nich rocznego zadatku. Aora, którego można by nazwać jego premierem i podskarbinem, skrzętnie przyjmował wpłacane dziesięciny i składał je do pojemnych, pięknie plecionych biesagów z włókna kokosowego. Za plecami Basztiego szczupła, trzynastoletnia dziewczyna o gładkiej skórze, przysiadłszy w kucki na deskach pryczy, odpędzała królewską packą muchy od królewskiej głowy. U stóp Basztiego przycupnęły trzy jego sędziwe małżonki, a najstarsza z nich, bezzębna i nieco sparaliżowana, podsuwała mu na każde skinienie koszyk grubo pleciony z liści drzewa pandanowego.

A Baszti, nadstawiając starego, wrażliwego ucha w oczekiwaniu pierwszych niezwykłych odgłosów z pokładu, wciąż kiwał głową i zanurzał rękę w podsuwany kosz — to po orzeszek betelu i' nieodzowny zielony liść, w który go owijano, to po tytoń do krótkiej, glinianej lulki, to znowu po zapalki do owej fajeczki, która najwyraźniej nie ciągnęła dobrze i często gasła.

Pod koniec Baszti miał stale koszyk pod ręką i wreszcie sięgnął doń po raz ostatni. Stało się to w momencie, gdy na pokładzie toporek kobiety powalił Borckmana, a Tambi po raz pierwszy wystrzelił do niej z karabinka. Zawiedła, sędziwa dłoń Basztiego, pokryta z wierzchu siatką grubych, obrzmiałych żył, na których wyszło ciało, wydobyla olbrzymi pistolet tak starodawnego pochodzenia, że mógł być własnością któregoś z „okrągłych głów” Cromwella albo też podróżować z

Quirosem czy La Perouse'em. Był to pistolet skałkowy, długi jak ręka do łokcia, a naładowany tegoż popołudnia ni mniej, ni więcej tylko przez samego Baszkiego.

Choć Baszki był szybki, Van Horn nieomal dorównał mu szybkością, lecz jednak spóźnił się odrobinę. W chwili gdy jego ręka sięgnęła błyskawicznie po nowoczesny rewolwer, który spoczywał luźno w kaburze na kolanach, przedwieczna broń wypaliła. Nabita dwoma siekańcami i okrągłą kulą dawała efekt podobny do strzelby śrutowej o obciętych lufach. Van Horn poznał oślepiający błysk i mrok śmierci, kiedy nie wymówione *Gott-fer-dang!* zamarło mu na ustach, a palce wypuściły na wpół podniesiony rewolwer, który upadł na podłogę..

Strzał z naładowanej zbyt szczodrze dymnym prochem, starodawnej broni miał jeszcze inny skutek. Pistolet rozerwał się w rękę Baszkiego. Podczas gdy Aora nożem wydobytym nie wiedzieć skąd odcinał głowę białego człowieka, Baszki popatrzał z ironicznym zaciekawieniem na wskazujący palec swej prawej ręki, który zwisał na pasemku skóry. Chwycił go lewą dłonią, skręcił i szarpnął szybko, po czym wyszczerzywszy zęby w uśmiechu wrzucił go dla kawału do pandanowego koszyka, który wciąż przed nim trzymała jedną ręką małżonka, podczas gdy drugą przyciskała krwawiącą ranę na czole zadaną odłamkiem pistoletu.

Jednocześnie trzech nowozwerców młodzińcy, zbiegłszy pod pokład z ojcami i stryjami, dobijali jedyne go znajdującego się tam członka załogi. Baszki, który, żył już tak długo, że stał się filozofem przywiązującym niewielką wagę do bólu, a jeszcze mniejszą do utraty palca, chichotał i swą świergotliwą mową dawał wyraz zadowoleniu i dumie z wyniku walki, a trzy stare połowice, których całe życie było jedynie oczekiwaniem na jego skinienie, czołgały się przed nim po podłodze zdjęte nikczemną, służalczą radością i uwielbieniem. Przeżyły wiele lat, a zawdzięczały to tylko jego monarszemu kaprysowi. Miotwały się, bełkotały, stroiły grymasy u stóp pana ich życia i śmierci, który tak często, i również w tej chwili, okazywał swą nieskończoną mądrość.

A chuda, porażona lękiem dziewczynka, niby wystraszony królik wyglądający z nory na czworakach, zerknęła z progu ładowni wiedząc, że oto wreszcie czeka ją kocioł i kres istnienia.

Jerry nie miał pojęcia, co się stało na pokładzie „Arangi”. Wiedział tylko, że zapadł się dlań świat, bo patrzył na jego zniszczenie. Chłopiec, który uderzył go wiosłem po głowie, związał mu mocno nogi i wyrzucił na brzeg, po czym zapomniał o psie w podnieceniu, jakie towarzyszyło rabunkowi „Arangi”.

Pośród rozgłośnych krzyków i śpiewów długie pirogi przyholowały do brzegu piękny szkuner z drzewa tekowego i osadziły go na piasku w pobliżu miejsca, gdzie leżał Jerry, tuż za umocnieniami ze skał koralowych. Na plaży rozgorzały ogniska, na pokładzie zapłonęły latarnie i pośród ogromnego wesela wypatroszono i splądrowano statek. Wszystko, co dało się wyjąć, przeniesiono na ład — od żelastwa stanowiącego balast aż do takelunku i żagli.

Tej nocy nikt w Somo nie zmrużył oka. Nawet najdrobniejsze dzieci dreptały pośród biesiadnych ognisk lub pokładały się z przejedzenia na piasku. O drugiej nad ranem, na rozkaz Basztego, podpalono statek. Jerry, nękany pragnieniem, wyczerpany skomleniem i wyciem, leżał na boku, spętany, bezradny, i patrzył, jak idzie z dymem ów nawodny świat, który znał tak krótko.

Przy blasku jego pożogi stary Baszti rozdzielał łupy. Nie było tak nędznego członka plemienia, który by czegoś nie dostał. Nawet nieszczęśni tubylczy niewolnicy, którzy przez cały czas przebywania w niewoli drżeli ze strachu przed pożarciem, otrzymali po glinianej fajce i po kilka kostek tytoniu. Lwią część towarów, nie przeznaczoną do podziału, Baszti zaniósł do swej obszernej trzcinowej chaty. Cały bogaty osprzęt statku złożono w kilku szopach na czółna. Tymczasem czarownicy w swych chatach zabrali się do suszenia nad wolnym ogniem licznych głów, oprócz bowiem załogi statku był tam okrągły tuzin powracających ludzi z plemienia No-ola oraz paru z Malu, których Van Horn nie zdążył odstawić na miejsce.

Jednakże nie wyrznięto ich do nogi. Baszti wydał surowy zakaz powszechnej rzezi. Nie uczynił tego z dobrego serca, lecz raczej z przebiegłości. I tak wszyscy mieli w końcu iść pod nóż. Ale Baszti nigdy nie widział lodu, nie słyszał nawet o jego istnieniu i nie był obeznany z systemem chłodzenia.

Jedynym wiadomym mu sposobem przechowywania mięsa było utrzymanie go przy życiu. Toteż więźniów zapakowano do największej szopy na łodzie, stanowiącej rodzaj klubu dla młodych mężczyzn, do którego nie miała wstępu żadna z kobiet pod groźą śmierci na torturach. Powiązani i spętani niczym drób czy wieprze, rzuceni zostali na ubite klepisko, pod którym spoczywały płytko pogrzebane zwłoki dawnych wodzów. W górze zaś, owinięte matami z trawy, kołysały się doczesne szczątki kilku poprzedników Basztego; ostatnim spośród nich był jego rodzic, który kołysał się tak już od dwóch pokoleń. Ponieważ zaś chuderlawą dziewczynkę z ładowni przeznaczono na pożarcie, a tabu nie obejmowało tych, co mieli iść do kotła, związano ją więc i wrzucono między licznych dzikich, którzy niedawno jeszcze podrwiwali z niej i kpili, że Van Horn tuczy ją sobie na obiad.

Do tejże szopy przyniesiono także Jerry'ego i ciśnięto go razem z innymi na ziemię. Agno, główny czarownik, natknął się na niego na plaży i mimo protestów chłopca, który domagał się psa jako swej osobistej zdobyczy, rozkazał zabrać Jerry'ego do szopy. Gdy go niesiono obok biesiadnych ognisk, wrażliwe nozdrza powiedziały psu, z czego składa się uczta. I chociaż było to nowe przeżycie, zjeżył się, począł warczeć i targać swoje więzy. Podobnie zjeżył się zrazu i warczał na współwięźniów, gdy go wrzucono do szopy. Nie zdawał sobie sprawy z ich okropnego położenia, a ponieważ zawsze go uczono traktować czarnych jako odwiecznych wrogów, uważał ich więc za winnych nieszczęścia, które spotkało „Arangi” i Kapitana.

Jerry był bowiem jeszcze małym psiakiem mającym, jak wszystkie psy, ograniczone rozeznanie i od niedawna żyjącym na świecie. Mimo to niezbyt długo dawał upust swej złości na tych ludzi. Mglisto zaświtało mu w głowie, że ich także spotkało nieszczęście. Niektórzy byli straszliwie poranieni i ciągle jęczeli i stękali. Jerry niejasno zdał sobie sprawę, że znajdują się w równie ciężkim, jak on, położeniu.

A jego położenie było istotnie ciężkie. Leżał na boku, sznury, którymi związane mu łapy, wrzynały się w miękkie ciało i tamowały krążenie krwi. Prócz tego konał z pragnienia i w nieruchomym upale dyszał ciężko, wywiesiwszy suchy język z wyschniętego pyska.

Istnym przybytkiem boleści była ta szopa na czółna, pełna jęków i westchnień. Pod klepiskiem spoczywały zwłoki, a z wierzchu zaścielały je żywe istoty, które niebawem miały się w zwłoki przemienić; zwłoki kołysały się wysoko w swym napowietrznym grobowcu, a długie, czarne czółna, których zadarte dzioby upodabniały je do jakichś drapieżnych potworów, majaczyły niewyraźnie w świetle ogniska, przy którym siedział starzec z plemienia Somo, zajęty nie kończącym się wędzeniem głowy jakiegoś tubylca. Był zawiędły, ślepy i zgrzybiały, mamrotał coś i wykrzywił się niby olbrzymia małpa wciąż okręcając i okręcając zawieszoną w gryzącym dymie głowę i dorzucał do ognia garść za garścią przegniłej hubki.

Mdły blask ogniska wydobywał co chwila z mroku sterczącą na wiele stóp w górze kalenicę, pokrytą włóknem kokosowym, plecionym w barbarzyńskie, czarno-białe wzory, okopconą wieloletnim dymem na jednolity, brudnobrunatny kolor. U wyniosłych belek wisiały na długich pasmach włókna głowy nieprzyjaciół zdobyte ongiś podczas wypraw w dżunglę i morskich utarczek. Wszystko tu tchnęło rozkładem i śmiercią, a otępiały, trzęsący się starzec, który suszył w dymie symbol śmierci, sam niejako osuwał się już w otchłań grobu.

Przed świtem, wśród głośnych okrzyków, wrzawy i zamieszania, dziesiątki mężczyzn z plemienia Somo przyciągnęły jeszcze jedną wielką pirogę wojenną. Torowali sobie drogę pięściami i nogami, kopiąc, popychając i roztrącając spętanych jeńców, by zrobić miejsce dla czółna. Nie obchodzili się bynajmniej łagodnie z mięsem, którym obdarzyły ich dobre losy i mądrość Basztiego.

Przez pewien czas siedzieli pykając z glinianych fajeczek i ze śmiechem paplali dziwnymi, cienkimi falsetami o wydarzeniach tej nocy i ubiegłego popołudnia.

To jeden, to drugi wyciągał się i zasypiał bez żadnego okrycia, tak bowiem, bezpośrednio pod niebieskim sklepieniem, sypiali nago, odkąd przyszli na świat.

Kiedy o brzasku poszarzał mrok, czuwali jeszcze tylko ciężko ranni lub nazbyt mocno skrępowani oraz sędziwy starzec, który wiekiem nie dorównywał jednak Basztiemu. Nie słyszał nic, kiedy do szopy zakradł się ów chłopiec, który ogłuszył wiosłem Jerry'ego i domagał się go jako swojego łupu. Nie dojrzał go też, ponieważ był ślepy. Mamrocząc coś i chichocząc bezrozumnie, dalej obracał odciętą głowę tubylca oraz podsyczał ogień hubką. Nie była to nocna praca odpowiednia dla mężczyzny, nawet dla takiego, który nie umiał już robić nic poza tym. Ale podniecenie towarzyszące plądrowaniu „Arangi” udzieliło się i jego zmaconemu mózgowi, toteż wśród mglistych przeblysków wspomnień o potędze zwycięskiego życia brał z zapałem udział w tryumfie Somo wędząc ową głowę, co sama była namacalnym symbolem tryumfu.

Natomiast dwunastoletni chłopak, który zakradł się do szopy, z duszą na ramieniu stąpał wśród śpiących i przemykał się między jeńcami. Zdawał sobie sprawę, jakie tabu gwałci w tej chwili. Za mały, aby porzucić trzecinową strzechę ojca i sypiać w szopie razem z młodzieżą, wiedział, iż wkraczając do uświęconego przybytku dojrzałych, doświadczonych, dorosłych mężczyzn plemienia Somo, stawia na kartę swe życie wraz z jego niejasno przeczuwanymi tajemnicami i bujnymi przygodami.



Jednakże chciał mieć Jerry'ego i dostał go. Tylko owa chuda, drobna dziewczynka, związana i przeznaczona na pożarcie, patrzyła szeroko rozwartymi oczyma, jak chłopiec chwytą psa za spętane nogi i wynosi go spośród zdobycznego mięsiwa, którego sama była częścią. Bohaterskie, odważne serce Jerry'ego kazałoby mu zapewne warknąć z gniewu na podobne traktowanie, gdyby nie to, że był już zbyt wyczerpany, a w gardle zaschło mu tak, iż nie mógł wydać żadnego dźwięku. Toteż bezradny i umęczony, niepodobny do siebie, pogrążony w koszmarnym półśnie, uczył tylko, jak człowiek budzący się ze straszliwych majaczeń, że ktoś wynosi go głową na dół z cuchnącej śmiercią szopy i poprzez nie mniej smrodliwą wieś biegnie z nim ścieżką pod wyniosłymi, rozłożystymi drzewami, które właśnie zaczynały poruszać się sennie w pierwszym podmuchu porannego wiatru.

Imię chłopca, jak Jerry miał się wkrótce dowiedzieć, brzmiało Lamai i tenże Lamai niósł go właśnie do swojej chaty. Nie był to dom zbyt okazały, nawet jak na trzciniowe chaty ludożerców. Na ziemnym klepisku, na którym udeptany był wieloletni brud, żyli ojciec i matka Lamaiego wraz z trzódką czworga jego młodszych braci i sióstr. Przeciekająca przy każdej rześkiej ulewie strzecha uczepiona była u krzywej kalenicy; Ściany jeszcze obficie przepuszczały zacinający deszcz. Prawdę mówiąc chata Lamaiego, ojca Lamaiego, była najędzniejsza w całym Somo.

Lumai, pan tego domu i głowa rodziny, był otyły w przeciwieństwie do większości Malaitańczyków. I rzekłbyś, że właśnie z tej otyłości wynikała jego dobrotliwość wraz z towarzyszącym jej lenistwem. Natomiast osą w syropie jego jowialnej beztroski była małżonka, imieniem Lenerengo, najgorsza sekutnica w Somo, równie szczupła w pasie i całej postaci, jak mąż był krągły, równie ostra w słowach, jak on był łagodny, obdarzona energią równie niezmienną, jak jego gnuśność, uważająca od urodzenia świat za równie gorzki, jak jemu wydawał się słodki.

Chłopiec przechodząc na tyły chaty zerknął do wnętrza i ujrzał oboje rodziców śpiących bez okrycia w dwóch przeciwległych kątach. Pośrodku leżeli nago jego bracia i siostry zbici w gromadką niczym szczenięta. Dokoła domu, po prawdzie niewiele lepszego od zwierzęcego legowiska, wszystko było istnym rajem na ziemi. Powietrze przesycił ostry, ciężki, słodki zapach dzikich, aromatycznych ziół oraz przepysznych kwiatów podzwrotnikowych. W górze spletały dostojne konary trzy drzewa chlebowe. Palmy bananowe i pizangi obciążone były wielkimi kiściami dojrzewającego owocu. Olbrzymie, złociste kule melonów papai, gotowe do zerwania, zwisały ze smukłych drzewek o średnicy dziesięciokrotnie mniejszej od wydawanych przez nie owoców. Ale najrozkoszniejszy wydał się Jerry'emu szmer i plusk strumyka, który przepływał po omszałych kamieniach, niewidoczny pod kobiercem delikatnych, soczystych paproci. Żadna królewska cieplarnia nie mogła się równać z tym dzikim rozpasaniem nasyconej słońcem roślinności.

Doprowadzony do szału szmerem wody, Jerry musiał z początku znosić uściski i pieszczoty chłopca, który przycupnąwszy kołysał go w objęciach i nucił dziwną, cichą piosenkę. A Jerry, nie obdarzony artykułowaną mową, nie mógł żadną miarą wytłumaczyć, że kona z pragnienia.

Następnie Lamai uwiązał mu mocno na szyi włókienne powrósto, po czym rozplatał sznury wrzynające mu się w łapy. Jerry tak zdrętwiał wskutek zatamowania obiegu krwi i zesłabł z braku wody w ciągu prawie całego tropikalnego dnia i całej tropikalnej nocy, że stanąwszy na nogi, zachwiał się i upadł, po czym jeszcze kilkakrotnie usiłował podnieść się, lecz padał znowu.

Lamai zrozumiał czy też domyślił się przyczyny. Chwycił przytwierdzoną do długiego bambusa tykwę z łupiny orzecha kokosowego, wetknął kij między zieleń paproci i podsunął Jerry'emu tykwę, w której chlupotała drogocenna woda.

Zrazu Jerry pił leżąc na boku, lecz potem, gdy wraz z wilgocią zaczęło wlewać się życie w jego spieczone ciało, podniósł się, jeszcze słaby, rozdygotany, i stanął na czterech szeroko rozstawionych łapach, wciąż chłepcząc chciwie. Chłopiec roześmiał się na ten widok, zaczął coś paplać radośnie, a Jerry doznał takiej ulgi i pokrzepienia, że mógł już zagadać we właściwy psom, serdeczny, wymowny sposób. Wyciągnął nos z tykwy i różową wstążką języka polizał dłoń Lamaiego. A Lamai, uszczęśliwiony tym znalezieniem wspólnej mowy, podsunął mu tykwę pod nos, co widząc Jerry wziął się znowu do picia.

Pił ciągle. Pił tak długo, że jego boki, zapadnięte od słonecznej spiekoty, wydeły się niczym balon, choć przerwy w picciu stawały się coraz dłuższe. Wtedy, dotykając językiem ciemnej skóry na

dłoni Lamaiego, wyrażał mu swoją wdzięczność. Wszystko szło dobrze i byłoby nadal szło jak najlepiej, gdyby nie to, że Lenerengo, matka Lamaiego, zbudziła się właśnie i przelazłszy nad czarną trzódką swego potomstwa jęła wrzaskliwie protestować przeciwko sprowadzaniu przez pierwородnego syna jeszcze jednej gęby i jeszcze jednego kłopotu do domu.

Wynikła gwałtowna sprzeczka w ludzkiej mowie, z której Jerry wprawdzie nie zrozumiał ani słowa, lecz wyczuł, o co chodzi. Lamai był z nim i po jego stronie. Matka Lamaiego była przeciwko niemu. Przenikliwym wrzaskiem dawała wyraz swemu niezłomnemu przeświadczeniu, że syn jest głupcem, a nawet jeszcze gorzej, ponieważ nie ma bodaj tych względów ani troskliwości, jakie winien mieć głupiec w stosunku do ciężko pracującej matki. Odwoływała się do śpiącego męża, który usłyszawszy to ocknął, się ociężała i gnuśnie, i jął mamrotać jakieś słowa w narzeczu Somo, twierdząc, że świat jest urządzony jak najlepiej, że posiadanie psów tudzież pierwородnych synów jest czymś rozkosznym, że jeszcze nigdy nie przymierał głodem oraz że spokój i sen są najcudowniejszymi rzeczami, jakie przypaść mogą w udziale człowiekowi. Na dowód tego pogrążył się na powrót w spokojnym śnie i wetknął nos w zgięte przedramię niczym w poduszkę, chrapnął smacznie.

A Lamai z posępnym uporem w oczach, tupiąc buntowniczo nogą w pełnej świadomości, że ma za sobą wolną drogę ucieczki na wypadek, gdyby matka rzuciła się na niego, nadal obstawał przy zatrzymaniu swego psiaka. Wreszcie Lenerengo, wygłosiwszy przemówienie na temat niedołęstwa ojca Lamaiego, położyła się znowu spać.

Myśl zapładnia inne myśli. Lamai pojął, jak niebywale spragniony był Jerry. To zrodziło w nim przypuszczenie, że może być równie głodny. Toteż przyłożył suche gałązki chrustu do żarzących się węgli, które wygrzebał z popiołu, i rozniecił duże ognisko. Kiedy się rozpałiło, wsunął w nie kilka kamieni z ułożonego nie opodal stosiku. Były poczerniałe od ognia, co świadczyło, że po wielekroć używano ich do tego celu. Następnie wyciągnął ze strumyka ukrytego tam w siatkowym worku tłustego gołębia, którego poprzedniego dnia złapał w sidła. Owinął go w zielone liście i obłożywszy wydobytymi z ognia, gorącymi kamieniami, przysypał ziemią.

Kiedy po pewnym czasie wyjął gołębia i poodrywał przypieczone liście, w powietrzu rozszedł się zapach tak smakowity, że Jerry nastawił uszy, a nozdrza mu zadrgały. Gdy chłopiec rozerwał i ostudził dymiące mięso, Jerry rozpoczął ucztę, której nie zakończył póty, póki nie oddał od kości i nie wyssał ostatniego włókienka mięsa. Kostki rozgryzł na kawałeczki, schrupał i połknął. A przez cały czas trwania owej uczy Lamai pieścił Jerry'ego, nucił wciąż swoją cichą piosenkę, gładził go i poklepywał.

Ze swojej strony Jerry, pokrzepiony wodą i mięsem, nie odwzajemniał równie serdecznie owych czułości. Zachowywał się uprzejmie, przyjmował pieśczozy z łagodnie błyszczącymi oczyma, merdaniem ogona i zwykłym w tych razach przeginaniem ciała, ale był niespokojny, ustawicznie nadstawiał ucha na dalekie odgłosy i marzył o tym, by odejść. Nie uszło to uwagi chłopca, który przed udaniem się na spoczynek przywiązał mocno Jerry'ego do drzewa powrozem, który pies miał na szyi.

Po dłuższych próbach zerwania powroza Jerry dał za wygraną i zasnął. Jednakże nie na długo. Nazbyt usilnie rozmyślał o Kapitanie. Wiedział, nie wiedząc zarazem, że Kapitana spotkała ostateczna, nieodwracalna katastrofa. Toteż po dłuższym przyciszonym skomleniu i skowytaniu chwycił włókien ne powróło w swe ostre siekacze i tar mosił póty, póki go nie przegryzł.

Swobodny niczym odlatujący gołąb, puścił się na oślep prosto ku plaży oraz słonemu morzu, po którym niegdyś pływał „Arangi” z Kapitanem sprawującym dowództwo na jego pokładzie. Somo było w większości opustoszałe, a wszyscy mieszkańcy spoczywali pogrążeni we śnie. Toteż nikt go

nie zaczepiał, gdy biegł krętymi ścieżkami pośród rozlicznych chat i mijał rozpuszne symbole totemicznej heraldyki, na których ludzkie postacie, wyrzeźbane w pojedynczych pniach drzewnych, tkwiły w rozwartych paszczekach rzeźbionych rekinów. Albowiem Somo od czasów swego założyciela, wodza Somo, czciło rekinowego boga i bóstwa wód słonych, jak również dżungli, moczarów i gór.

Skręciwszy w prawo Jerry minął nadmorski wał i zbiegł na brzeg. Na spokojnej powierzchni laguny nie było ani śladu „Arangi”. Wszędzie dokoła walały się resztki uczyty i Jerry zwietrzył woń dogasających ognisk oraz przypalonego mięsa. Wielu biesiadników nie zadało sobie trudu, aby powrócić do chat; mężczyźni, kobiety i dzieci, a nawet całe rodziny leżały na piasku w porannym słońcu, tam, gdzie powalił je sen.

Jerry przysiadł na samym skraju morza, przednimi łapami w wodzie. Serce pękało mu z tęsknoty do Kapitana; podniósłszy nos ku niebu i słońcu, zawył boleśnie, jak zawsze wyły wszystkie psy, odkąd przywędrowały z -dzikich puszczy do ognisk ludzkich.

I tutaj właśnie odnalazł Jerry'ego Lamai, uśmierzył jego żal tuląc psiaka do piersi i poniósł go z powrotem do trzciny chaty nad brzegiem strumienia. Zaofiarował mu wodę, ale Jerry nie mógł pić więcej. Zaofiarował mu miłość, ale Jerry nie mógł zapomnieć dręczącej tęsknoty do Kapitana. W końcu, zniechęcony do tak niemądrego szczeniaka, Lamai w swojej chłopięcej dzikości zapomniał o dobroci, trzepnął Jerry'ego po łbie z prawej i lewej strony i uwiązał go tak, jak rzadko bywają wiązane psy białych ludzi. Albowiem Lamai był na swój sposób utalentowany. Nie widział nigdy czegoś podobnego, a przecież od razu wpadł na pomysł uwiązania Jerry'ego za pomocą kija. Kij był bambusowy i miał cztery stopy długości. Jeden jego koniec Lamai przytwierdził na krótkim powrozie do szyi Jerry'ego, drugi zaś uwiązał równie krótko do drzewa. Jerry mógł dosięgnąć zębami jedynie kija, a wysuszony, stwardniały bambus nie obawia się zębów żadnego psa.

Przez wiele dni Jerry, uwiązany u kija, pozostał więźniem Lamaiego. Nie był to okres szczęśliwy, gdyż w domu Lumaiego stale panowały kłótnie i swary. Lamai staczał regularne bitwy z braćmi i siostrami za to, że drażnili Jerry'ego, a bitwy te niezmiennie kończyły się interwencją Lenerengo, która bezstronnie wymierzała karę całemu swemu potomstwu.

Potem, rzecz jasna, dla samej zasady brała się do małżonka, który swoim łagodnym głosem zawsze występował w obronie ciszy i spokoju, a po każdym takim potoku wymysłów przenosił się na kilka dni do szopy na czółna. Na to Lenerengo nie miała już rady. Żadnej kobiecie nie było wolno przestąpić progu męskiej szopy. Lenerengo dobrze pamiętała, jaki los spotkał ostatnią kobietę, która złamała tabu. Zdarzyło się to przed wielu laty, gdy jeszcze była dziewczyną; dotychczas trwało w niej żywe wspomnienie tamtej nieszczęśniczki, która przez cały dzień wisiała w promieniach słońca, przytroczona za jedno ramię, nazajutrz zaś za drugie. Po tym zjedli ją mężczyźni z szopy na czółna i odtąd przez długi czas wszystkie kobiety mówiły w obecności mężów przyciszonym głosem.

Jerry polubił Lamaiego, ale nie było to uczucie silne ani namiętne. Zrodziło się raczej z wdzięczności, bo tylko jeden Lamai dbał o to, by Jerry miał pożywienie i wodę. Ale ten chłopiec nie był Kapitanem ani Mister Hagginem. Nie był nawet Derby'm czy Bobem. Był niższą istotą ludzką — Murzynem, a Jerry'emu przez całe jego niedługie dotychczasowe życie wpajano zasadę, że biali ludzie są dwunożnymi bogami wyższego rzędu.

Mimo to nie mógł nie dostrzec inteligencji i mocy krajowców. Nie wyrozumiował sobie tego, lecz tylko przyjął do wiadomości. Posiadali moc rządzenia innymi przedmiotami, umieli cisnąć kijem albo kamieniem, potrafili nawet uwięzić psa u drążka, który odbierał mu swobodę ruchów. Chociaż zapewne pośledniejsi od białych bogów, byli przecie jakimiś tam bogami.

Jerry po raz pierwszy w życiu był uwiązany i wcale mu to nie przypadło do gustu. Na próżno aż do bólu gryzł bambus zębami, z których kilka ruszało się, gdyż podwazywały je nowe, wyrastające od spodu. Kij był mocniejszy od niego. Jakkolwiek Jerry nie zapomniał o Kapitanie, to jednak dotkliwość tej straty zatarła się nieco w miarę upływu czasu, aż wreszcie wzięło w nim górę pragnienie wolności.

Jednakże gdy przyszedł dzień oswobodzenia, Jerry nie wykorzystał tego i nie czmychnął na plażę. Tak się złożyło, że uwolniła go Lenerengo. Zrobiła to umyślnie, chcąc go się pozbyć. Kiedy go jednak odwiązała, Jerry nie uciekł, lecz począł jej dziękować merdając ogonem i uśmiechając się do niej piwnymi oczami. Tupnęła, ażeby go odpędzić, i wydała chrapliwy, groźny okrzyk. Tego Jerry nie zrozumiał, a że nie przywykł do lęku, nie podobna było go nastraszyć i zmusić do ucieczki. Przestał natomiast merdać ogonem i chociaż wciąż na nią patrzył, oczy już mu się nie śmiały. Poznał, że zachowanie i głos Lenerengo są nieprzyjazne, miał się więc na baczności i czujnie czekał na jej dalsze wrogie poczynania.

Lenerengo ponownie krzyknęła i tupnęła nogą. Jedynym skutkiem było to, że Jerry skupił teraz baczną uwagę na jej stopie. Powolność, z jaką zabierał się do odejścia po odzyskaniu swobody, wyprowadziła Lenerengo z równowagi. Wymierzyła mu kopniaka, a Jerry uchylwszy się ugryzł ją w kostkę.

Natychmiast wybuchła wojna i najprawdopodobniej Lenerengo zabiłaby w pasji Jerry'ego, gdyby nie pojawił się na widowni Lamai. Odwiązany kij objawił chłopcu przewrotność matki; oburzony Lamai skoczył między nich i powstrzymał cios kamiennym tłuczkiem do *poi*, który mógłby roztrzaskać czaszkę Jerry'emu,

Teraz Lamai znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie; matka właśnie zwała go uderzeniem w głowę, kiedy nieszczęsny rodzic, wyrwany krzykami ze snu, wyrzwał z chaty, pragnąc przywrócić spokój. Lenerengo, jak zwykle, zapomniała o wszystkim pod wpływem dojmującej rozkoszy, którą dawało jej łajanie małżonka.

Zakończenie sprawy wypadło dość nieszkodliwie. Dzieci przestały płakać, Lamai na powrót uwiązał Jerry'ego do kija, Lenerengo wygadała się aż do utraty tchu, a urażony Lumai wyniósł się do szopy na czółna, gdzie mężczyźni mogli spać w spokoju, nie nękani przez kobiety.

Tego wieczoru Lumai opowiedział w gronie kompanów o swoich strapieniach i ich przyczynie — szczeniaku, który przypląnął na „Arangi”. Tak się złożyło, że owa opowieść dotarła do Agno, głównego czarownika albo arcykapłana, który przypomniał sobie wtedy, że odesłał Jerry'ego do szopy wraz z resztą jeńców. W pół godziny później zawezwął do siebie Lamaiego. Bez żadnej wątpliwości chłopiec złamał tabu; Agno wyjaśnił mu to w cztery oczy, Lamai zaś począł drzeć, płakać i wić się w pokorze u jego stóp, groziła mu bowiem kara śmierci.

Była to zbyt dobra sposobność owładnięcia chłopcem, by Agno mógł ją zaprzepaścić. Martwy Lamai nie przedstawiał dla niego żadnej wartości, natomiast chłopak, którego życie miał w ręku, mógł mu się dobrze przysłużyć. Ponieważ nikt poza tym nie wiedział o złamaniu tabu, Agno mógł sobie pozwolić na przemilczenie tego faktu. Rozkazał więc Lamaiemu niezwłocznie przenieść się do szopy młodzieńców i tam rozpocząć nowicjat od długiego pasma obowiązków, prób oraz ceremonii, które miały zaprowadzić chłopca do szopy kawalerów i przysposobić do uznania go za prawdziwego mężczyznę.

Nazajutrz Lenerengo, wykonując rozkazy czarownika, spętała łapy Jerry'emu, co nie obeszło się bez walki, podczas której pies oberwał po głowie, jej zaś podrapał ręce. Następnie poniosła go przez wieś do chaty Agno. Po drodze, na pustej przestrzeni w środku wioski, gdzie stały totemy, rzuciła Jerry'ego na ziemię wystawiając go na pośmiewisko gawiedzi.

Stary Baszti był nie tylko surowym, ale i jedynym w swoim rodzaju prawodawcą. Postanowił, że tego dnia zarówno wymierzy karę dwóm swarliwym niewiastom, jak i udzieli nauczki wszystkim pozostałym, a jednocześnie sprawi, iż jego poddani raz jeszcze uradują się, że mają go za władcę. Owe dwie kobiety, Tiha i Wiwau, były przysadziste, pulchne, młode i już od dawna siały zgorszenie swymi nieustannymi kłótniami. Baszti rozkazał im stanąć do wyścigu. Ale też był to wyścig nie lada! Boki zrywać! Przypatrujący mu się mężczyźni, kobiety i dzieci wyli z uciechy. Nawet podstarzałe matrony i siwi starcy, stojący jedną nogą w grobie, popiskiwali i wrzeszczeli z radości, gdy oglądali to widowisko.

Półmilowa trasa wyścigu przebiegała przez sam środek wsi, od plaży, na której spalono „Arangi”, do brzegu przy drugim końcu nadmorskiego wału. Tiha i Wiwau miały ją przebyć po razie w jednym kierunku, przy czym kolejno każda z nich winna była przynaglać drugą, ta zaś wysilać się na szybkość, której nie mogła osiągnąć.

Tylko Baszti mógł wpaść na podobny pomysł. Naprzód Tiha otrzymała dwie krągłe skałki koralowe, z których każda ważyła pełne czterdzieści funtów. Musiała przytrzymywać je mocno pod pachami, aby jej nie wypadły na ziemię. Za nią Baszti ustawił Wiwau zbrojną w pęk najeżonych drzazg bambusowych, przytwierdzonych do długiego pręta. Drzazgi były ostre jak igły, bo też używano ich jako igieł do tatuażu; umocowane na końcu pręta, miały kłuć w plecy Tihę na podobieństwo owych szpikulców, którymi ludzie poganiają woły. Nie można było w ten sposób zadać poważniejszych obrażeń, lecz za to wiele bólu, o co właśnie chodziło Basztiemu.

Wiwau bodła owym szpikulcem, a Tiha potykała się i zataczała czyniąc rozpaczliwe wysiłki, by biec jak najszybciej. Ponieważ po dotarciu do drugiego brzegu sytuacja miała ulec odwróceniu — i

ponieważ Wiwau wiedziała, że Tiha odpłaci jej wtedy z nawiązką, usiłowała przeto dać jej się dobrze we znaki, dopóki miała po temu sposobność. Pot spływał im po twarzach. Obydwie miały w tłumie swych zwolenników, którzy zachęcali jedną, a natrzęsali się z drugiej za każdym-ukłuciem.

Choć pomysł ten był wręcz niedorzeczny, jednakże stało za nim żelazne prawo dzikich. Oba kamienie należało przenieść przez całą długość trasy. Popędzająca musiała czynić swoją powinność gruntownie i z przekonaniem. Popędzanej nie wolno było stracić panowania nad sobą i rzucić się na dręczycielkę. Baszti przestrzegł je należycie, że karą za złamanie ustanowionych przezeń prawideł będzie umieszczenie winowajczynie podczas odpływu na rafach, gdzie pożarłyby ją rekiny.

Kiedy współzawodniczki dobiegły na wysokość miejsca, gdzie stał Baszti ze swym premierem Aora, podwoiły jeszcze wysiłki. Wiwau z zapałem bodła Tihe, a ta dawała za każdym ukłuciem ogromne susy, nieustannie grożące jej upuszczeniem kamieni. Za nimi gnała ciżba dzieci z wioski oraz wszystkie psy, które skowytały i ujadały z podniecenia.

— Ty, Tlihia, długo nie usiąść w czółno ! — wykrzyknął Aora do nieszczęśliwej ofiary, co słysząc Baszti zachichotał.

Tiha po szczególnie dotkliwym ciosie upuściła kamień i oczywiście została srodze pokłuta, kiedy upadłszy na kolana zagarniała go pod pachę. Natychmiast zerwała się na równe nogi i popędziła dalej.

W pewnej chwili, buntując się przeciw tak okropnemu bólowi, przystanąła rozmyślnie i obróciła się ku swej dręczycielce.

— Ja ogromnie bardzo zła na ciebie — oświadczyła. — Jak ty...

Ale nie dokończyła groźby. Potężne ukłucie przewyciężyło jej stoicyzm i nakazało puścić się dalej pędem.

Wrzask tłumu przycichał, w miarę jak osobliwy wyścig oddalał się w stronę plaży. Jednakże w kilka minut później usłyszano powracającą wrzawę. Tym razem Wiwau sapała pod brzemieniem skałek koralowych, a Tiha, rozjątrzona doznany mi cierpieniami, starała się wyrównać rachunek.

Przed Basztem Wiwau zgubiła kamień, a usiłując go odzyskać, wypuściła drugi, który potoczył się o kilkanaście stóp dalej. Tiha przemieniła się w huragan mściwej furii. Całe Somo ogarnął szal. Baszti trzymał się ze śmiechu za chude boki, a łzy najczystszej radości spływały po jego niesamowicie pomarszczonych policzkach.

Oto co Baszti oświadczył swemu ludowi, kiedy już wszystko się zakończyło: „Tak będą walczyły wszystkie niewiasty, które mają za wielką ochotę do bitki”.

Jednakże nie powiedział tego w ten sposób. Nie wyrzekł tego również w języku Somo. Przemówił w *bêche-de-mer* następującymi słowy:

— Każda kobieta, co chceć bić, każda kobieta Somo bić tak.

Przez dłuższą chwilę po zakończeniu wyścigu Baszti rozmawiał z najwybitniejszymi mężami, wśród których znajdował się Agno. Lenerengo także uradzała z kilkoma leciwymi kumoszkami. Zapomniany przez nią Jerry leżał na boku, kiedy zjawił się i począł go obwąchiwać ów dziki pies, którego poturbował na „Arangi”.

Zrazu wietrzył z daleka, gotów do natychmiastowej ucieczki. Jerry obserwował wroga gorejącymi oczyma. W chwili gdy dotknął go nos dzikiego psa, Jerry warknął ostrzegawczo. Tamten odskoczył i uciekając na łeb na szyję, przebiegł kilkanaście jardów, zanim połapał się, że nie jest ścigany.

Zawrócił więc ostrożnie, pełznąc tuż przy ziemi, której nieledwie dotykał brzuchem, bo tak mu nakazywał instynkt przy podchodzeniu zwierzyny. Unosił i opuszczał łapy gibko i miękko jak kot, a od czasu do czasu zerkał w lewo i prawo, jak gdyby w obawie jakiegoś ataku z flanki. Donośny wybuch chłopięcego śmiechu gdzieś w oddali sprawił, że nagle przypadł do ziemi i wpał się w nią pazurami, a mięśnie jego napięły się jak sprężyny, gotowe do skoku w niewiadomym jeszcze kierunku i ucieczki przed nieznanym niebezpieczeństwem. Potem rozpoznał ów odgłos, pojął, że nic mu nie grozi, i znowu zaczął się skradać ku irlandzkiemu terierowi.

Trudno powiedzieć, co by się zdarzyło, gdyż w tym momencie oczy Basztego spoczęły na złocistym psiaku po raz pierwszy od zdobycia „Arangi”. W nawale wydarzeń Baszti zapomniał o Jerry'm.

— Skąd ten pies? — wykrzyknął ostro, co słysząc napastnik znów przywarował, a Lenerengo obróciła się w tę stronę.

Przypadła do ziemi ze strachu przed straszliwym starym wodzem i wybełkotała drżącym głosem relację o tym, co zaszło. Jej nicpoń-syn, Lamai, wyciągnął tego psa z wody. Pies stał się przyczyną wielkich kłopotów w jej domu. Ale teraz Lamai zamieszkał wraz z młodzieńcami, a ona niesie psa do domu Agno na jego wyraźny rozkaz.

— Dlaczego pies do ciebie? — zwrócił się Baszti wprost do Agno.

— Ja go *kai-kai* — brzmiała odpowiedź. — On tłusty pies. On dobry pies *kai-kai*.

Przez bystry, stary mózg Basztego przemknęła myśl, która od dawna w nim dojrzewała.

— On pies dużo za bardzo dobry — oświadczył. — Ty lepiej zjeść tamten pies — doradził wskazując dzikiego psa.

Agno potrząsnął głową.

— Dzikie pies niedobry *kai-kai*.

— Dzikie pies niedobry za bardzo — zawyrokował Baszti. — Dzikie pies za dużo strach. Wszystkie dzikie pies za dużo strach. Pies białego pana nie mieć strach. Dzikie pies nie walczyć. Pies białego pana walczyć jak diabeł. Dzikie pies uciekać jak diabeł. Ty popatrzeć, ty widzieć.

Baszti podszedł do Jerry'ego i przeciął krępujące go powrozy. A Jerry, który zerwał się na równe nogi, za bardzo się śpieszył tym razem, by tracić czas na podziękowania. Puścił się za dzikim psem, dopadł go i przeturlał kilka razy w tumanie kurzu. Tamten parokrotnie usiłował się wymknąć, ale Jerry zawsze go dopadał, przewracał i gryzł, podczas gdy Baszti klaskał w dłonie i nawoływał swych towarzyszy, aby patrzeli.

Tymczasem Jerry przemienił się w małego, wściekłego demona. Rozjuszony wszystkimi doznanymi krzywdami, poczynając od tamtego krwawego dnia na „Arangi” i utraty Kapitana aż po niedawne spętanie nóg, mścił się na dzikim psie za wszystko. Właściciel dzikiego psa, jeden z



powracających krajowców, nieopatrznie spróbował odpędzić Jerry'ego kopniakiem. Ten błyskawicznie rzucił się nań, rozorał mu łydki zębami, a zaplątawszy się między nogi dzikiego, impetem swego ataku obalił go na ziemię.

— Jak śmiesz? — wrzasnął z wściekłością Baszti na winowajcę, który leżał przerażony tam, gdzie runął, i dygotał w oczekiwaniu na dalsze słowa, jakie miały paść z warg wodza.

Ale Baszti już skręcał się ze śmiechu na widok dzikiego psa, który gnał jak szalony, podczas gdy sto stóp za nim pędził Jerry wzbijając tumany kurzu.

Kiedy obydwie psy zniknęły, Baszti wyjawiał swój pomysł. . A mianowicie, jeżeli ludzie sadzą palmy bananowe, to zbierać będą banany. Jeżeli sadzą yamy, zbiorą yamy, nie pataty ani pizangi, a tylko i wyłącznie yamy. To samo jest z psami. Ponieważ wszystkie psy czarnych ludzi są tchórzami, więc mogą rodzić jedynie tchórzów. Psy białych ludzi są odważne w walce. Kiedy się je hoduje, wydają na świat dzielnych zapaśników. No i stąd wniosek: jeżeli ma się w swym posiadaniu psa białego człowieka, byłoby szczytem głupoty zjeść go i zniszczyć na zawsze ową odwagę, która obrała w nim sobie siedlisko. Mądrze natomiast będzie uważać go za rozplodowca i zachować przy życiu, aby w przyszłych pokoleniach psów Somo odżywała wciąż jego odwaga i rozpleniała się dopóty, aż wszystkie psy Somo nie staną się dzielne i silne.

Następnie Baszti rozkazał swemu głównemu czarownikowi, by zaopiekował się Jerry'm i strzegł go pilnie. Poza tym kazał oznajmić całemu plemieniu, że Jerry jest tabu. Żadnemu mężczyźnie, kobiecie czy dziecku nie wolno cisnąć weń włócznią czy kamieniem, uderzyć go pałką lub tomahawkim bądź też pokrzywdzić w jakikolwiek sposób.

Odtąd do chwili, kiedy Jerry sam pogwałcił jedno z największych tabu, żyło mu się szczęśliwie w ponurej trzcinowej chacie Agno. Albowiem Baszti, w przeciwieństwie do większości wodzów, żelazną ręką rządził swymi czarownikami. Inni wodzowie, nawet Nau-hau z Langa-Langa, rządzeni byli przez czarowników. Prawdę mówiąc, ludność Somo mniemała, że tak samo jest z Basztim. Ale ludzie z Somo nie mieli pojęcia, co dzieje się za kulisami, kiedy Baszti, zatwardziały niedowiaręk, rozmawia sam na sam to z jednym, to z drugim czarownikiem.

W toku owych poufnych rozmów wykazywał, że zna ich sztuczki nie gorzej niż oni sami i nie jest niewolnikiem ciemnych zabobonów i grubych oszustw, -za pomocą których utrzymują ludzi w uległości. Prócz tego głosił teorię równie prastarą jak władcy i kapłani, a mianowicie, że władcy i kapłani działać muszą ręką w rękę, jeżeli chcą sprawnie rządzić ludem. Nie miał nic przeciwko temu, aby lud wierzył, że bogowie oraz ich rzecznicy, kapłani, mają ostatnie słowo, ale chciał, aby kapłani wiedzieli, że w gruncie rzeczy ostatnie słowo należy do niego. Mówił im, że jeśli sami nie bardzo wierzą we własne sztuczki, to on wierzy w nie jeszcze mniej.

Znane mu było tabu i prawda, która się za nim kryła. Potrafił wyjaśnić wszystkie swe osobiste tabu oraz ich po chodzenie. Mówił na przykład do Agno, że mu nie wolno jeść ślimaków. Wybrał sobie ten zakaz, ponieważ ich nie lubił. Owo tabu ustanowione zostało przez starego Nino, arcykapłana i poprzednika Agno, który miał uszy otwarte na głos rekinowego boga. Ale to on sam, Baszti, potajemnie polecił Ninowi nałożyć nań tabu na ślimaki, albowiem ślimaków nie lubi i nigdy nie lubił.

Co więcej, ponieważ żył dłużej od najstarszego z kapłanów, mianował każdego z nich po kolei. Znał ich, uczynił ich tym, czym byli, i wszyscy istnieli jedynie dzięki jego łasce. I nadal winni przyjmować odeń wskazówki, tak jak to się zawsze działo, inaczej bowiem zginą nagłą a niespodziewaną śmiercią. Wystarczyło przypomnieć zgon czarownika Koriego, który mniemał, że jest potężniejszy od wodza, i za ten błąd przez tydzień był z bólu, zanim to, co nim było, umilkło i przestało być raz na zawsze.

W przestronnej, trzcinowej chacie Agno było niewiele światła, a dużo tajemnic. Nie było ich natomiast dla Jerry'ego, który po prostu wiedział albo nie wiedział o różnych rzeczach i nigdy nie martwił się tym, czego nie wie. Zasuszone głowy oraz inne wędzone i zbutwiałe części ludzkich zwłok nie robiły na nim większego wrażenia ad ususzonych aligatorów i ryb, które przyczyniały się do ozdobienia mrocznej siedziby Agno.

Jerry przekonał się, że opiekę ma dobrą. Po domu czarownika nie wałęsały się dzieci ani żony. Na grono domowników składało się kilka starych kobiet, jedenastoletnia dziewczynka, mająca obowiązek odpędzania much, oraz dwóch chłopców, którzy po pobycie w szopie młodzieży studiowali teraz wiedzę kapłańską pod kierunkiem swego zwierzchnika. Wszyscy oni opiekowali się Jerry'm. Dostawał najwymyślniejsze jedzenie. Kiedy Agno napoczął wieprzka, z kolei obsługiwano Jerry'ego. Nawet obaj akolici oraz dziewczyna jadali po nim, zostawiając resztki starym kobietom. W przeciwieństwie do dzikich psów, które schronienia przed deszczem szukały pod liśćmi drzew, Jerry otrzymał suche miejsce pod dachem, u którego głowy tubylców i zapomnianych kupców, handlujących drzewem sandałowym, wisiały pośród zakurzonego kłębowiska suszonych wnętrzności rekinów, krokodyli oraz czaszek i szkieletów szczurów z Wysp Salomona, które to szkielety mierzyły dwie trzecie jarda od czubka kości nosowej do czubka ogona.

Mając całkowitą swobodę ruchów, Jerry wielokrotnie wymykał się i biegł przez wioskę do chaty Lumaiego. Ani razu jednak nie zastał tam chłopca, który od czasów Kapitana był pierwszą ludzką istotą, jaka poruszyła jego serce. Jerry nigdy nie zachodził tam jawnie, ale ukryty w gęstych paprociach nad brzegiem strumyka, obserwował dom i węchem rozpoznawał z dala jego mieszkańców. Ani razu nie zwiertzył Lumaiego, toteż ,po pewnym czasie poniechał tych jałowych odwiedzin i uznał chatę czarownika za swój dom, a jego samego za pana.

Jednakże nie żywił miłości do tego pana. Agno, który w swym tajemniczym domu od dawna rządził terrorem, nie znał miłości. Ani czułość, ani pogoda nie leżały w jego naturze. Nie miał poczucia humoru, był okrutny i zimny jak sople lodu. Władzę ustępował Basztiemu i przez całe życie gryzło go to, że nie jest pierwszy. Dla Jerry'ego nie był łagodny. Obawiał się go skrzywdzić tylko dlatego, że czuł strach przed Basztim.

Mijały miesiące; Jerry miał już mocne, solidne drugie zęby, rozrósł się i przybrał na wadze. Niewiele brakowało, by stał się psem bardzo zepsutym. Chroniony przez tabu, wprędce nauczył się traktować z góry ludzi Somo i przeprowadzać we wszystkim swoją wolę. Nikt nie śmiał zamierzyć się na niego kijem albo kamieniem. Agno go nienawidził; o tym Jerry wiedział, lecz jednocześnie sycił się świadomością, że Agno boi się i nie ma odwagi go skrzywdzić. Jednakże Agno był chłodnym filozofem i umiał czekać, tym różniąc się od Jerry'ego, że posiadał ludzką zdolność przewidywania i umiał dopasowywać swe czyny do odległych celów.

Ze skraju laguny, do której nigdy nie odważał się wchodzić, pomny na krokodylowe tabu, które poznał już na Meringe, Jerry zapuszczał się do wioski leżących na kresach posiadłości Basztiego. Wszyscy ustępowali mu z drogi. Wszyscy karmili go, gdy zażądał pożywienia. Albowiem chroniony był przez tabu i mógł bezkarnie korzystać z ich legowisk czy tykw z jedzeniem. Wolno mu było awanturować się do woli, okazywać zuchwalstwo przekraczające wszelkie granice przyzwoitości, a nikt nie śmiał niczego mu wzbronić. Baszti ogłosił nawet, że jeśli Jerry'ego napadną dorosłe dzikie psy, ludność Somo ma obowiązek stanąć po jego stronie i skopać, obrzucić kamieniami i pobić przeciwników. W ten sposób jego czworonożni kuzyni nauczyli się, że Jerry jest tabu.

Jerry prosperował. Łatwo mógł popaść w całkowite, gnuśne ogłupienie, gdyby nie jego wyczulone nerwy i nienasycona, zachłanna ciekawość. Mogąc swobodnie krążyć po całym Somo, ustawicznie przebiegał okolicę, poznawał wszystkie zakamarki oraz życie dzikich stworzeń, które

zamieszkiwały bagna i lasy i nie uznawały jego tabu.

Miewał rozliczne przygody. Stoczył dwie bójki z leśnymi szczurami, które niemal dorównywały mu rozmiarem, a że były dojrzałe, dzikie i doprowadzone przezeń do ostateczności, więc wydały mu taką walkę, jakiej jeszcze nigdy nie pokosztował. Pierwszego zabił nie wiedząc, że to szczur stary i słaby. Natomiast drugi, który był w pełni sił, tak go poturbował, że Jerry, ledwo trzymając się na nogach, dopełznął do chaty czarownika, gdzie pod ususzonymi emblematami śmierci lizał się później z ran przez tydzień, zwolna powracając do życia i zdrowia.

Kiedyś podkradł się do dugonga i z radością wprawił w popłoch to głupie, strachliwe stworzenie niespodziewanym, zażartym atakiem, który jak sam wiedział — był tylko hałaśliwym popisem furii, ale który bawił go i rozśmieszał dzięki świadomości, że idzie tu o udany kawał. Przepędzał pod zwrotnikowe kaczkę z ich zmyślnie ukrytych gniazd, przezornie omijał krokodyle, które wypełzały z wody, ażeby uciąć drzemkę na brzegu, czołgał się pod sklepieniem dżungli i śledził śnieżnobiałe kakadu, zajadłe jastrzębie, ciężkolotne sokoły, rybołowy i prześmieszne gadatliwe, karłowate papuzki.

Trzykrotnie spotkał poza granicami Somo drobnych czarnych tubylców z dżungli, którzy tropiąc dzikie świny poruszali się tak bezszelestnie i niedostrzegalnie, że bardziej przypominali duchy niż ludzi, i za każdym razem o mały włos nie ubili go włóczniami. Podobnie jak leśne szczury nauczyły Jerry'ego ostrożności, tak i te dwunożne istoty, przyczajone w półmroku dżungli, dały mu dobrą naukę. Nie stanął do walki z nimi, choć próbowali ugodzić go dzidami. Szybko zmiarkował, że to ludzie odmienni od mieszkańców Somo, że jego tabu ich nie obowiązuje, że — chociaż pośledniejsi — są przecie dwunożnymi bogami i noszą w ręku latającą śmierć, co sięga dalej od ich dłoni i umie skracać odległość.

Podobnie jak przebiegał dżunglę, Jerry myszkował po wsi. Żadne miejsce nie było dlań uświęcone. Do domów czarowników, gdzie mężczyźni i kobiety czołgali się zdjęci drzeniem i lękiem w obliczu tajemnicy, Jerry wchodził zjeżony, na sztywnych łapach, zawisły tam bowiem ostatnio świeże głowy — głowy, które jego oczy i wrażliwe nozdrza rozpoznawały jako należące do niegdyś żywych krajowców, znanych mu z pokładu „Arangi”. W największej chacie czarownika natrafił na głowę Borckmana i wspomniawszy walkę, jaką stoczył na statku z podchmielonym oficerem, zawarczał na nią, nie otrzymując jednak odpowiedzi.

Raz w domu Basztiego natknął się na jedyny szczątek, jaki pozostał na ziemi po Kapitanie. Baszti żył bardzo długo, żył nader mądrze, wiele rozmyślał i był w pełni świadom, że dawno przekroczył przeciętny wiek człowieczy, wobec czego niewiele mu już czasu zostaje. A ciekaw był wszystkiego — sensu i celu istnienia. Uwielbiał życie i świat, na którym wiodło mu się tak szczęśliwie, zarówno jeśli idzie o zdrowie, jak i pozycję, był bowiem wyniesiony wysoko ponad kapła nów i lud. Nie czuł lęku przed śmiercią, ale zastanawiał się, czy mógłby żyć ponownie. Lekcewał sobie głupie poglądy oszukańczych kapłanów i czuł się bardzo osamotniony w chaosie tych zawiłych problemów. Żył już tak długo i szczęśliwie, że zauważył w sobie zanik, i obumieranie wszelkich żywotnych pożądań i apetytów. Miał w życiu żony i dzieci, zaznał dojmującego, młodzieńczego głodu. Patrzył, jak jego potomstwo dorastając przeobrażało się w mężczyzn i kobiety, jak zostawało ojcami i dziadkami, matkami i babkami. Ale pokosztowawszy kobiet, miłości, ojcostwa i rozkoszy podniebienia, miał już to wszystko za sobą. Jedzenie? Jadł tak niewiele, że prawie nie był świadom jego znaczenia. Głód, który kłuł go niczym ostroga, 'kiedy był młody i (pożądliwy, od dawna przestał pobudzać go i nękać. Basati jadł z poczucia obowiązku i z konieczności; niezbyt dbał o to, co je, wyjąwszy jedną jedyną rzecz: jaja megapodów, które te ptaki składały we właściwej porze roku w jego własnej, osobistej, chronionej ścisłym tabu zagrodzie. Była to ostatnia rozkosz cielesna, jaka mu pozostała. Poza tym żył

wyłącznie życiem umysłowym, sprawując rządy nad swoim ludem i gromadząc przesłanki, z których wysnuwał prawa mogące uczynić ten lud silniejszym i bardziej przywiązany do istnienia.

Jednakże zdawał sobie jasno sprawę z różnicy między ową abstrakcją — plemieniem, a najkonkretniejszą z rzeczy — jednostką. Plemię trwało, jego członkowie przemijali. Plemię było pamięcią o historii i obyczajach wszystkich poprzednich członków, którą ci przekazywali dalej, dopóki sami nie przeminęli, nie stali się historią i wspomnieniem dla owej nieuchwytniej całości — plemienia. On, jako członek plemienia, musiał odejść prędzej czy później — a to „później” było już bardzo blisko. Ale odejść dokąd? W tym sęk. Dlatego też niekiedy wypędzał wszystkich ze swojej trzcinowej chaty i pozostawszy sam na sam z tym zagadnieniem ścigał z podtrzymujących dach belek owinięte matami głowy ludzi, których niegdyś znał za życia, a którzy odeszli w tajemną nicość śmierci.

Zbierał je bynajmniej nie jak skąpiec i nie jak skąpiec przeliczający ukryty skarb dumał nad rozwiniętymi z mat głowami, kiedy je trzymał w obu rękach lub składał sobie na kolanach. Chciał wiedzieć. Chciał się dowiedzieć tego, co jak przypuszczał, mogą wiedzieć ci, którzy od dawna już wkroczyli w mrok spowijający kres życia.

Różne były te głowy, którym Baszti zadawał pytanie trzymając je w dłoniach lub na kolanach, w półmroku swojej trzcinowej chaty, podczas gdy nad nią gorzało słońce, a ucichający południowo-wschodni powiew wzdychał pomiędzy liśćmi palm i konarami drzew chlebowych. Była tam głowa pewnego Japończyka — jedyne, jakiego w życiu znał czy też widział. Głowę tę zdobył ojciec Basztego jeszcze przed urodzeniem syna. Była lichy spreparowana, zniszczona i przybrudzona ze starości i wskutek niedbalstwa. Mimo to badał jej rysy rozmyślając, że niegdyś miała dwie wargi tak samo żywe jak jego własne i usta równie głośno mówiące i głodne, jak niejednokrotnie on sam w odległej przeszłości. Miała dwoje oczu, nos, strzechę włosów i uszy podobne do jego uszu. Ongiś musiała mieć także ciało, dwie nogi, różne pragnienia i żądze. Mówił sobie, iż dawno temu płonęła zapewne gniewem i miłością, gdy jeszcze nie przychodziło jej na myśl, że kiedyś umrze.

Tą, która go mocno intrygowała, której dzieje sięgały epoki dawniejszej od czasów ojca i dziadka Basztego, była głowa pewnego Francuza, o czym zresztą Baszti nie wiedział. Nie wiedział też, że głowa ta należała do La Perouse'a, owego junackiego starego żeglarza, który na brzegach kanibalskich Wysp Salomona pozostawił swe kości, wraz ze szczątkami załóg i obu fregat, „Astrolabe” i „Boussole”. Inna głowa — albowiem Baszti był zawołanym kolekcjonerem głów — sięgała czasów o dwa stulecia wcześniejszych od La Perouse'a i miała pewien związek z Hiszpanem Alvaro de Mendana. Należała mianowicie do jednego ze zbrojmistrzów Mendany, który utracił ją podczas nadbrzeżnej walki z dalekim przodkiem Basztego.

Jeszcze inna, posiadająca nie wyjaśnioną historię, należała do białej kobiety. Niesposób odgadnąć, którego żeglarza żoną była owa kobieta, ale złote kolczyki ze szmaragdami tkwiły jeszcze w jej wyschniętych uszach, a długie na dwie trzecie sążnia włosy spływały falą połyskliwego, złotego jedwabiu z czaszki, pod którą niegdyś żyły rozum i wola tej, co wedle przypuszczeń Basztego musiała za dawnych czasów być chybką do miłości w ramionach mężczyzny.

Głowy pospolite, należące do mieszkańców dżungli i tubylców z plemion nadmorskich, a nawet głowy zapijaczonych białych ludzi, takich jak Borckman — Baszti relegował do szop na czółna i chat czarowników. Był bowiem znawcą głów. Między innymi przyciągała go bardzo głowa pewnego Niemca. Miał rudą brodę i rude włosy, ale nawet ususzony po śmierci zachował jakąś żelazną siłę w rysach twarzy oraz masywne czoło, które mówiło o posiadaniu tajemnic przekraczających pojęcie Basztego. Baszti nie wiedział, że człowiek ów był Niemcem, ani też że głowa ta należała do niemieckiego profesora astronomii i że w swoim czasie nosiła w sobie głęboką wiedzę o gwiazdach

bezkresnego nieba,

o szlakach okrętów kierujących się na morzu gwiazdami

i o drodze, jaką przemierza ziemia w swym gwiazdnym obiegu wskroś przestrzeni przekraczającej miliard milionów razy wszelkie wyobrażenia Basztiego na ten temat.

Wreszcie była jeszcze jedna, która najgłębiej wgryzała się w myśli Basztiego, a mianowicie głowa Van Horna. I właśnie tę głowę Van Horna, złożoną na kolanach, oglądał Baszti w zadumie, gdy Jerry, korzystając ze swobody poruszania się po całym Somo, wbiegł do jego trzcinowej chaty. Zwiertzył i rozpoznał śmiertelny szczątek Kapitana i naprzód zawył z żalości, a potem zjeżył się rozwścieczony.

Zrazu Baszti nie zauważył go, gdyż był głęboko zatopiony w rozmowie z głową Van Horna. Rozmyślał, że ledwie kilka miesięcy temu głowa ta była żywa, pełna bystrego rozumu, złączona z dwunogim ciałem, które stało prosto i przechadzało się owinięte przepaską biodrową ze zwisającym na rze mieniu pistoletem, dzięki któremu miało większą moc od Basztiego, a mimo to było mniej przemyślne. Bo czyż Baszti za pomocą starodawnego pistoletu nie zagasił światła pod ową czaszką, gdzie miał siedlisko rozum, i nie oddzielił tej głowy od zwiotczalego rusztowania z ciała i kości, na którym się wspierała stąpając po ziemi i pokładzie „Arangi”?

Cóż stało się z tym rozumem? Czy tylko nim był zuchwały, wyniosły Van Horn i czy zgasł, tak jak gaśnie migotliwy płomyk na drzazdze drewna, gdy ta się wypali na garstkę popiołu? Czy wszystko, co było Van Hornem, zniknęło jak ów płomyk? Czy odszedł na zawsze w mrok, w który odchodzi każde zwierzę — przeszyty włócznią krokodyl, złowiona na hak bonita, schwytany w siatkę mułak, zarżnięty wieprz, utuczony na pożarcie? Czy ów mrok Van Horna jest taki sam jak mrok ogarniający muchę-robacznicę, którą dziewczynka Basztiego jednym uderzeniem miazdzy w powietrzu? Taki sam jak mrok, co ogarnia znajdującego tajemnicę latania moskita, którego mimo całej doskonałości jego lotu on, Baszti, niemal bezwiednie rozgłaska trzepnięciem dłoni we własny kark?

Baszti wiedział, że to, co odnosi się do głowy tego białego człowieka, który jeszcze tak niedawno był żywy, stapał prosto i dumnie, odnosi się również do niego samego. To, co spotkało tego białego po przekroczeniu mrocznych wrót śmierci, spotka także i jego. Dlatego też zadawał pytanie tej głowie, jak gdyby jej nieme wargi mogły przemówić z głębi tajemnicy, wyjawić mu sens życia i sens śmierci, która je nieuchronnie niweczy.

Przeciągłe, żalosne wycie Jerry'ego, gdy ujrzał i zwiertzył to, co pozostało z Kapitana, zbudziło Basztiego z zadumy. Spojrzał na krzepkiego, złotobrunatnego psiaka i natychmiast włączył go do swych rozważań. Ten pies był żywy. Taki sam jak człowiek. Znał głód i ból, gniew i miłość. W żyłach, podobnie jak człowiek, miał krew, która od pchnięcia nożem mogła trysnąć czerwienią i wypłynąć, przyprowadzając go o śmierć. Na podobieństwo ludzi kochał takie same, jak on, istoty, wydawał na świat i karmił młode. I przemijał. Tak, przemijał, albowiem wiele psów, równie jak ludzi, pożarł Baszti w czasach bujnej młodości i apetytu, kiedy to znał jeno ruch i siłę i z biesiadnych tykw czerpał dla nich po-” żywkę.

Ale żalość Jerry'ego przeszła w gniew. Podkradł się na sztywnych łapach, z warczeniem wykrzywającym mu pysk, z sierścią jeżącą się co chwila na grzbiecie, łopatkach i szyi. Nie skradał się ku głowie Kapitana, na której skupił całą swą miłość, lecz ku Basztiemu, który tę głowę trzymał na kolanach. Podobnie jak dziki wilk na górskim pastwisku podchodzi do klaczy stojącej z nowonarodzonym źrebięciem, tak Jerry podsuwał się do Basztiego. A Baszti, który przez całe swe długie życie nigdy nie bał się śmierci i który zaśmiewał się niczym z dobrego kawału, kiedy skałkowy pistolet urwał mu palec — teraz uśmiechnął się wesoło. Wesołość ta była intelektualna i zaprawiona podziwem dla tego niedorosłego psiaka, którego teraz trzepnął po nosie krótkim kijem

zmuszając do zatrzymania się z dala. I chociaż Jerry ciągle od nowa przyskakiwał zajadle do niego, starzec odpierał owe napaści kijem i głośno chichotał, widząc odwagę szczeniaka i dziwiąc się głupocie życia, która wciąż popychała go do nadstawiania nosa na bolesne ciosy kija i nakazywała mu przez pamięć o nieżyjącym człowieku narażać się ciągle od nowa na ból.

To także jest życie — rozmyślał Baszti, zrećnie odpędzając od siebie piszczącego psa. Czworonożne to było życie, młode, głupie, żarliwe, kierujące się sercem na podobieństwo młodzieńca, który o zmierzchu pieści dziewczynę lub walczy z innym na zabój z powodu jakiejś namiętności, urażonej dumy czy zawiedzionych pragnień. Baszti zdał sobie sprawę, że podobnie jak w martwej głowie Van Horna czy któregośkolwiek z ludzi, tak i w tym żywym szczeniaku może tkwić klucz do istnienia i rozwiązania zagadki.

Nadal więc odpędzał Jerry'ego uderzeniami po nosie i dziwił się uporowi owej żywotnej siły, która kazała mu wciąż przyskakiwać do kija zadającego ból i zmuszającego do odwrotu. Wiedział, że jest to dzielność i energia, siła i nieroztropność, podziwiał je ze smutkiem i zazdrością, myśląc, że gdyby tylko był jakiś sposób po temu, chętnie wymieniłby za nie całą swoją zawiądlą, siwowłosą mądrość.

„To ci pies nie lada!” — mógłby powiedzieć na modłę Van Horna. Miast tego pomyślał w *bêche-de-mer*, który przyswoił sobie tak samo jak własną mowę Somo:

„Daję słowo, ten pies nie mieć strach do mnie!”

Jednakże starość pierwsza znużyła się igraszką i Baszti przerwał zabawę wymierzając psu za ucho silny cios, od którego Jerry legł ogłuszony. Widok szczeniaka, który jeszcze przed chwilą był pełen życia i zaciekłości, a teraz leżał jak martwy, poruszył wyobraźnię Basztego. Jedno tęgie uderzenie kijem dokonało owej przemiany. Gdzież podział się gniew i rozum psiaka? Czy nie było nic więcej prócz tego płomyka na drzazdze, który mógł zgasnąć od pierwszego przypadkowego podmuchu? Przed chwilą Jerry wściekał się i cierpiał, warczał i skakał; wola kierowała jego czynami. W następnym momencie leżał bezwładny, pogrążony w małej śmierci nieprzytomności. Baszti wiedział, że po niedługim czasie świadomość, zdolność odczuwania, poruszania się i kierowania sobą wpłyną na powrót w to zwiotczale, drobne ciało. Ale tymczasem dokądże pierzchły pod uderzeniem kija świadomość, wrażliwość i wola?

Baszti westchnął ze znużeniem i ociężale zawinął w pokrowce z mat wszystkie głowy z wyjątkiem jednej — Van Horna. Wywindował je w górę, ku belkom dachu, na których miały wisieć jeszcze długo po jego śmierci, podobnie jak inne wisały tam na długo przed przyjściem na świat jego ojca i dziada. Głowę Van Horna zostawił na ziemi, a sam wysunął się z chaty, aby przez szparę podpatrzeć, co szczeniak robi.

Jerry zrazu drgnął, a nim upłynęła minuta, dźwignął się z wysiłkiem na łapy, stanął i zachwiał się jak otumaniony. Tak oto Baszti, przyłożywszy oko do szpary, ujrzał cud życia wpływającego na powrót w bezwładne ciało, usztywniającego zwiotczale nogi; widział, jak świadomość, owa najwyższa ze wszystkich tajemnic, przenika do okrytej sierścią czaszki, jak tli się i rozpala w otwierających się oczach, każe wargom obnażyć zęby, a krtani wibrować warczeniem przerwany przez cios kija, który pogrążył Jerry'ego w mroku.

I jeszcze coś zobaczył Baszti. W pierwszej chwili Jerry rozejrzał się za swym przeciwnikiem warcząc i jeżąc się na karku. A potem, miast wroga ujrzał głowę Kapitana, podpełznął bliżej i począł całować językiem zdrewniałe policzki, zamknięte powieki, których miłość jego nie mogła już rozewrzeć, nieruchome wargi, które nie miały już wyrzec ani jednego z tych czułych słów, jakimi niegdyś przemawiały.

Następnie, pogrążony w głębokiej rozpacz, przysiadł przed głową Kapitana, zadarł nos ku

wyniosłej kalenicy i zawył żałośnie, przeciągle. W końcu, rozbity i zgnębiony, wysunął się na dwór i powlókł ku chacie swojego pana — czarownika, gdzie przez następną dobę na przemian drzemał i budził się, i prześnił całe stulecia koszmarów.

Odtąd już do końca pobytu w Somo Jerry bał się trzcinowej chaty Basztiego. Sam Baszti nie budził w nim lęku. Strach Jerry'ego był nieuchwytny i nie dawał się objąć myślą. W tej chacie znajdowała się owa nicość, która niegdyś była Kapitanem. Stanowiła symbol ostatecznej zagłady, jaka spotyka życie i tkwi utajona w każdej komórce żywej istoty. Dalszy krok na owej drodze uczynili ludzie z plemienia Somo, którzy oglądając śmierć, wytworzyli sobie pojęcie duchów zmarłych, żyjących nadal w niematerialnych i ponadmysłowych krainach.

Odtąd Jerry gorąco znienawidził Basztiego, jako pana życia i śmierci, który posiadał i kładł sobie na kolanach ową nicość będącą Kapitanem. Jerry nie wyrozumował sobie tego. Było to przyćmione i niejasne, było przeżyciem, emocją, uczuciem, instynktem, intuicją — nazwijcie to, jak chcecie, w mglistej nomenklaturze mowy, której słowa stwarzają oszukańcze pozory czegoś określonego i kłamią mózgowi wmawiając mu zrozumienie nie będące bynajmniej jego udziałem.

Minęły trzy miesiące; północno-zachodni monsun, który wiał już od pół roku, ustąpił miejsca południowo-wschodniemu pasatowi. Jerry nadal mieszkał w domu Agno i poruszał się swobodnie po całej wiosce. Przybrał na wadze, urósł, a chroniony przez tabu, stał się tak pewny siebie, że niemal zuchwał. Ale nie znalazł pana. Ani razu serce nie zabiło mu żywiej dla Agno. Zresztą Agno wcale nie starał się pozyskać go sobie. Chłodny jak zawsze, nie zdradzał też niczym swej nienawiści do niego.

Ani owym kilku starym kobietom z domu Agno, ani obu akolitom i dziewczynie od tępienia much nie śniło się nawet, że czarownik nienawidzi Jerry'ego. Nie miał o tym pojęcia i sam Jerry. Dla niego Agno był kimś obojętnym, kimś, kto się nie liczy. Uświadamiał sobie, że domownicy są niewolnikami albo sługami Agno, kiedy zaś go karmili, wiedział, że jedzenie pochodzi od Agno i że jest jego własnością. Oprócz Jerry'ego, którego chroniło tabu, wszyscy bali się- czarownika, a jego dom był prawdziwym przybytkiem strachu, w którym nie mogła rozkwitnąć miłość do przybłąkanego szczeniaka. Jedenastoletnia dziewczynka byłaby pewnie pozyskała przywiązanie Jerry'ego, gdyby jej od początku nie odstręczył sam Agno, który ją skarcił surowo za to, że ośmiela się dotykać czy pieścić psa chronionego tak wysokim tabu.

Tym, co odwlekło o pół roku monsumu intrygę uknutą przez Agno przeciw Jerry'emu, był fakt, że pora składania jaj przez megapody hodowane w osobistej zagrodzie Basztiego rozpoczynała się dopiero w okresie południowo-wschodnich pasatów. Agno, od dawna już obmyśliwszy ten spisek, wyczekiwał owej chwili z właściwą sobie cierpliwością.

Otóż megapod z Wysp Salomona jest dalekim kuzynem dzikiego indyka z Australii. Nie większy od sporego gołębia, składa jaja wielkości jaj kaczki domowej. Nie znając uczucia strachu, jest tak głupi, że już przed setkami wieków uległby unicestwieniu, gdyby go nie chroniło tabu ustanawiane przez wodzów oraz kapłanów. Wodzowie obowiązani byli przeznaczać dla ptaków wykarczowane, piaszczyste tereny i ogradzać je dla ochrony przed psami. Megapody zagrzebywały jaja na dwie stopy głęboko i wylęg pozostawiały już ciepłu słońca. Zagrzebawszy jaja, składały nowe i znowu zagrzebywały i składały, choć o parę kroków dalej krajowiec wybierał je z piasku.

Zagroda megapodów należała do Basztiego. W okresie składania jaj żywił się niemal wyłącznie nimi. W rzadkich wypadkach kazał sobie zabijać na *kai-kai* te megapody, co przestawały już znosić jaja. To jednak był tylko kaprys, do którego skłaniała go duma z wyłącznego prawa do owego pożywienia, dostępnego jedynie osobie tak wysoko postawionej. W gruncie rzeczy nie przepadał za mięsem megapodów ani za żadnym innym. Wszystkie rodzaje mięsa miały dlań jednakowy smak, albowiem apetyt na mięso był jedną z przebrzmiałych przyjemności w otchłani jego pamięci.

Natomiast jajka! Te bardzo lubił. Były jedynym rodzajem pokarmu, jaki mu przypadał do gustu. Dawały mu dreszczyk wspomnień o dawnych pożądliwościach podniebienia z czasów młodości. Był rzeczywiście głodny, kiedy mu podawano jaja megapodów, a widok takiego jajka, przygotowanego do spożycia, pobudzał na nowo nieomal już wyschnięte źródła śliny i soków trawiennych. Dlatego też on jeden z całego Somo, korzystając ze ścisłego tabu, jadł jaja megapodów. Ponieważ zaś tabu było w swojej istocie sprawą religijną, więc Baszti zlecił Agno kapłański obowiązek strzeżenia, pielęgnowania i sprawowania pieczy nad królewską zagrodą.

Ale Agno nie był już młody. Piekąca kąśliwość głodu od dawna go opuściła i on także jadł właściwie tylko z poczucia obowiązku, a wszystkie rodzaje mięsa miały dla niego jednaki smak.



Tylko jaja megapodów zaostrzały mu apetyt i pobudzały soki trawienne. Dlatego właśnie łamał tabu ustanowione przez siebie samego i w tajemnicy, ukryty przed wzrokiem wszystkich mężczyzn, niewiast i dzieci, zjadał jaja kradzione z osobistych zasobów Basztego.

I otóż kiedy nadszedł sezon, a Baszti i Agno, po sześciu miesiącach wstrzemięźliwości, byli srodze spragnieni jaj megapodów, Agno powiódł Jerry'ego ścieżką tabu, która biegła pośród mangrowców. Stąpali z korzenia na korzeń nad bagnem wieczyście parującym i cuchnącym w zastałym powietrzu, w miejscu, do którego nigdy nie przenikał wiatr.

Jerry nie znał dotychczas tej ścieżki, która nie była zwyczajną ścieżką i którą człowiek przemierzał długimi krokami, stawianymi z korzenia na korzeń, pies zaś skacząc na wszystkich czterech łapach. Ponieważ była tak niezwykła, Jerry podczas swoich wycieczek po Somo nigdy jej nie odkrył. Łaskawość Agno, który go tu zaprowadził, sprawiła mu rozkoszną niespodziankę, toteż nie zastanawiając się nad tym doznał pierwszego, niejasnego przeczucia, że a nuż Agno może choć w drobnym stopniu okazać się owym panem, którego ustawicznie poszukiwała jego psia dusza.

Minąwszy porośnięte mangrowcami moczary wyszli na połąć piasku wciąż jeszcze tak nasyconego solą i niegościnnego z uwagi na pozostałe w nim morskie osady, że żadne większe drzewa nie zapuściły tu korzeni i nie osłoniły go od słońca swoimi koronami. Wchodziło się tam przez prymitywną furtkę, ale Agno nie tędy wprowadził Jerry'ego. Przeciwnie; dziwacznymi, świegotliwymi słowami zachęty i podniety nakłonił psa do wygrzebania sobie podkopu pod palisadą. Dopomógł mu własnoręcznie, wygarniając sporo piasku, ale zmusił Jerry'ego do pozostawienia niewątpliwych śladów psich łap i pazurów.

Kiedy zaś Jerry znalazł się w środku, Agno wszedłszy przez furtkę zwabił go i zachęcił do wykopania jaj z piasku. Jednakże Jerry nie miał na nie ochoty. Toteż Agno wyszał ich osiem na surowo, a dwa wetknął sobie pod pachy, aby je zabrać do swojej chaty czarownika. Skorupki tamtych ośmiu porozgniatał na kawałki, tak jak mógłby to zrobić pies, ażeby zaś dopełnić z dawna uplanowanego obrazu, zachował cząstkę ósmego, którą umazał Jerry'emu nie tylko pysk, gdyż psiak mógłby oczyścić go sobie językiem, ale i łeb dokoła oczu oraz ponad nimi, gdzie ślady musiały pozostać i świadczyć przeciw psu zgodnie z ukartowaną przez Agno intrygą.

Posunął się jeszcze dalej w owym najwyższym kapłańskim świętokradztwie, zachęcił bowiem Jerry'ego do zaatakowania kury megapoda, która właśnie składała jajo. Kiedy zaś Jerry ją zadusił, Agno wiedząc, że raz rozbudzona żądza zabijania nakaże psu dalej mordować głupie ptaki, wyszedł z zagrody i co sił pognął przez porośnięte mangrowcami moczary, aby przedłożyć Basztiemu kapłański dylemat.

Dowodził, że tabu chroniące Jerry'ego nie pozwoliło mu przeszkodzić uświęconemu psu w napastowaniu uświęconych składaczek jaj. Nie potrafił rozstrzygnąć, które tabu ma większą wagę. A Baszti, który od pół roku nie kosztował jaj megapodów i tęsknił do tego jedyne powrotnego dreszczu odległej młodości, jaki mu jeszcze pozostał, ruszył przodem poprzez moczary w tak niesłychanym tempie, że jego arcykapłan, o wiele lat odeń młodszy, zasapał się okrutnie.

Przybywszy do zagrody Baszti zdybał Jerry'ego w chwili, gdy z okrwawionymi łapami i pyskiem mordował czwartą kurę. Dokoła oczu i na czole nosił jeszcze ślady żółtka tego jedyne jaja, którym Agno usmarował go i które miało symbolizować wiele innych. Na próżno Baszti rozglądał się, czy nie ocalało choćby jedno, czując, że na widok tej klęski sześciomiesięczny głód doskwiera mu silniej niż kiedykolwiek. A Jerry uważając, że ma przyzwolenie i zachętę Agno, merdał do Basztego ogonem oczekując pochwały za sprawność i śmiał się swym ociekającym krwią pyskiem i zalepionymi żółtkiem oczami.

Baszti nie wpadł w furję, jakby się to zapewne stało, gdyby był sam. Nie raczył zniżyć się do

czegoś tak prostackiego pod okiem swego arcykapłana. Tak to zawsze bywa z ludźmi wysoko postawionymi, którzy nie kwapią się do okazywania naturalnych odruchów i stale maskują własną pospolitość pozorami obojętności. Tak więc Baszti niczym nie zdradził strapienia z racji zawodu, jaki go spotkał. Agno był odrobinę mniej opanowany, bo nie potrafił stłumić radosnego ognika w oczach. Baszti zauważył go, ale wziął to za zwykłą ciekawość i nie odgadł właściwej przyczyny. To zaś z kolei świadczy o dwóch rzeczach, jeśli idzie o ludzi wysoko postawionych: po pierwsze, że mogą wywodzić w pole tych, co znajdują się niżej, a po drugie, że mogą być wywodzeni w pole przez tych, co znajdują się niżej.

Baszti przypatrzył się ironicznie Jerry'emu, jak gdyby chodziło tu o dobry kawał, i mimochodem rzuciwszy kapłanowi spojrzenie z ukosa, zauważył wyraz rozczarowania w jego oczach. „Aha! — pomyślał. — Zwiodłem go!”

— Które tabu jest wyższe? — zapytał Agno w języku Somo.

— Po co pytasz? Jasne, że megapod.

— A pies? — brzmiało następne pytanie Agno.

— Pies musi zapłacić za złamanie tabu. To jest wysokie tabu! Moje tabu. Ustanowione zostało przez Somo, praojca i pierwszego naszego władcę, i odtąd zawsze było tabu wodzów. Pies musi zginąć.

Przerwał i zadumał się nad tą sprawą, a tymczasem Jerry zaczął drapać pazurami piasek w miejscu, gdzie zapach wydawał mu się obiecujący. Agno chciał temu przeszkodzić, ale Baszti go powstrzymał.

— Zostaw go — powiedział. — Niech pies sam się pognębi w moich oczach.

Jerry uczynił to istotnie; odgrzebał dwa jajka, rozbił je i wychłęptał tę cząstkę ich drogocennej zawartości, która nie rozlała się i nie wsiąkała w piasek. Oczy Basztego były całkiem matowe, gdy pytał:

— Czy to dziś jest uczta z psów?

— Jutro w południe — odparł Agno. — Już przynoszą psy. Będzie ich co najmniej z pięćdziesiąt.

— Pięćdziesiąt jeden — brzmiał werdykt Basztego, który wskazał Jerry'ego ruchem głowy.

Kapłan drgnął odruchowo, chcąc zaraz pochwycić psa.

— Po co teraz? — zapytał wódz. — Będziesz musiał nieść go przez bagno. Niech wraca na własnych nogach; spętasz go, jak już będziemy przed szopą na czółna.

Kiedy idąc przez moczary zbliżali się do szopy, Jerry, który dreptał wesoło za obu mężczyznami, usłyszał wycia i skowyty licznych psów, świadczące o niewątpliwej żalości i cierpieniu. Natychmiast zrodziła się w nim nieufność, pozbawiona jednakże bezpośredniego niepokoju o siebie. I właśnie gdy nastawił uszy, a nosem szukał dalszych informacji, Baszti chwycił go za skórę na karku i uniósł w powietrze, podczas gdy Agno zaczął mu wiązać łapy.

Jerry nie zaskomlał, żadnym odgłosem czy znakiem nie zdradził, że się boi. Wydawał tylko zdławione, zaciekle pomruki, przeplatane gniewnym warczeniem, i wojowniczo wierzgał zadnimi łapami. Ale pies chwycony z tyłu za skórę na karku nie może uporać się z dwoma ludźmi obdarzonymi ludzką inteligencją i zręcznością, mającymi po dwie ręce, a u nich po cztery palce, które zwierają się z piątym.

Związano mu razem i na krzyż wszystkie cztery łapy i poniesiono głowę w dół na pobliskie miejsce rzezi i pieczenia, po czym rzucono na ziemię, między dwa albo trzy dziesiątki podobnie spętanych i bezradnych psów. Było już dobrze po południu, a wiele ich leżało tak na gorącym słońcu od wczesnego rana. Były to wszystko dzikie psy, tak mało odważne, że pod wpływem pragnienia i fizycznego bólu zadawanego przez powrozy uciskające im żyły i arterie oraz niejasnego lęku przed

tym, co takie traktowanie zapowiadało, skomlały i wyły z rozpaczy i udręczenia.

Przez następne trzydzieści godzin Jerry przeżywał ciężkie chwile. Natychmiast rozeszła się wieść, że zdjęto zeń tabu i nie było mężczyzny czy chłopca, który zniżyłby się do okazania mu jakichkolwiek względów. Aż do zmierzchu otaczał Jerry'ego krąg dręczycieli i prześladowców. Lżyli go z racji jego upadku, drwili zeń i szydzili, pogardliwie tręcali go nogami, wreszcie wygrzebali w piasku dołek, z którego nie mógł się wygramolić, i ułożyli go w nim na grzbiecie, z czterema spętanymi łapami sterczącymi jak na urągowisko w górę.

Nie mógł nic zrobić poza warczeniem i miotaniem się w bezsilnej wściekłości. W przeciwieństwie bowiem do innych psów nie wył ani nie skowytał z bólu. Miał już rok; w ciągu ostatnich sześciu miesięcy bardzo dojrzał, w naturze zaś jego rasy leżały nieustraszoność i stoicyzm. A chociaż biali panowie długo uczyli go nienawiści i wzgardy dla Murzynów, przecie w ciągu tych trzydziestu godzin zaznał nienawiści szczególnie zaciętej i nieubłaganej.

Jego dręczyciele nie cofnęli się przed niczym. Przyprowadzili nawet dzikiego psa i poszczuli go na Jerry'ego. Jednakże było sprzeczne z naturą dzikiego psa napastować wroga nie mogącego się ruszyć, nawet jeżeli tym wrogiem był Jerry, który tak często maltretował go i tarnosił na statku. Gdyby Jerry miał złamaną nogę albo inne podobne obrażenia, ale zachował zdolność poruszania się, pies byłby go poturbował, kto wie, czy nie śmiertelnie. Ale ta całkowita bezsilność była czymś zgoła odmiennym, toteż spodziewane widowisko spaliło na panewce. Gdy Jerry warczał i pomrukiwał, dziki pies odpowiadał tym samym i obchodził go groźnie dokoła, ale żadnymi perswazjami krajowców nie dał się skłonić do zatopienia kłów w jego ciele.

Miejsce rzezi przed szopą było istnym przybytkiem grozy. Wciąż przynoszono i rzucono na ziemię nowe związane psy. Rozlegało się nieustanne wycie, w którym największy udział brały psy leżące od wczesnego rana na słońcu i pozbawione wody. Chwilami odzywały się wszystkie jednocześnie, gdyż opanowanie nawet najspokojniejszych pierzchało przed falą podniecenia i strachu, która raptem je oblewała. To wycie, wzmagające się i ucichające na przemian, trwało przez całą noc, a rano już wszystkie psy cierpiały od nieznośnego pragnienia.

Pałące słońce, które nieomal przypieкло rzucone na biały piasek zwierzęta, nie przyniosło im oczywiście ulgi. Krąg dręczycieli znowu otoczył Jerry'ego i znowu obrzucił go wzgardliwymi wymysłami za to, że utracił tabu. Do największego szaleństwa doprowadzały go nie ciosy ani fizyczne tortury, ale śmiechy. Żaden pies nie lubi, kiedy się zeń wyśmiewać, a Jerry najmniej ze wszystkich umiał powściągnąć gniew, gdy tamci drwili z niego gdcząc mu coś prosto w nos. Jakkolwiek ani razu nie zawył, przecie warczenie i pomruki, po społu z pragnieniem, wysuszały mu gardło i błony śluzowe pyska, tak iż nie był już w stanie wydać żadnego dźwięku, chyba że go szczególnie ostro prowokowano. Język miał wywieszony, a poranne słońce jeło go z wolna przypiekać.

Wtedy to właśnie skrzywdził go okrutnie jeden z chłopców. Wyturlał Jerry'ego z owego dołka, w którym pies leżał na grzbiecie całą noc, obrócił go na bok i podsunął mu niewielką tykwę z wodą. Jerry począł chłeptać tak zapamiętale, iż dopiero po minucie bez mała zorientował się, że chłopiec wycisnął do niej sporo palących strąków dojrzałego czerwonego pieprzu. Otaczający Jerry'ego krąg wrzasnął z radości, a dotychczasowe pragnienie okazało się fraszką w porównaniu z tym nowym, pomnożonym o dojmującą mękę, którą zadawał pieprz.

Następnym wydarzeniem — jak się okazało, wydarzeniem nader doniosłym — było przybycie Nalasu. Nalasu był to ślepy sześćdziesięcioletni starzec, podpierający się długim kijem, którym wymacywał sobie drogę. W wolnej ręce niósł niewielkiego wieprzka trzymając go za związane nogi.

— Podobno pies białego pana ma iść na mięso — zagadnął w języku Somo. — Gdzie on jest?

Pokażcie mi go.

Agno, który właśnie nadszedł, stanął przy nim, gdy stary pochylił się nad Jerry'm i począł go dotykać palcami. Jerry nie warknął ani nie spróbował go ugryźć, choć ręce niewidomego nie raz znalazły się w zasięgu jego zębów. Nie wyczuł bowiem wrogości w tych palcach, które tak miękko przesuwały się po nim. Następnie Nalasu pomacał swego wieprzka i kilkakrotnie, jak gdyby coś sobie obliczając, dotknął na przemian to jego, to psa.

Potem wyprostował się i wygłosił swój sąd:

— Wieprzak jest tak samo mały jak pies. Oba są jednej wielkości, ale na wieprzku jest więcej mięsa do jedzenia. Weźcie wieprzka, a ja wezmę psa.

— Nie — odparł Agno. — Pies białego pana złamał tabu. Musi iść na pożarcie. Weź innego psa, a zostaw wieprzka. Wybierz sobie jakiegoś dużego.

— Ja chcę psa białego pana — upierał się Nalasu. — Tylko tego; żadnego innego.

Sprawa utknęła na martwym punkcie, ale właśnie w tej chwili nadszedł Baszti i przystanąwszy zaczął się przysłuchiwać rozmowie.

— Weź psa, Nalasu — powiedział wreszcie. — To dobry wieprzek i zjem go sam.

— Ale ten pies złamał tabu, twoje wielkie tabu zagrody, więc musi iść na mięso ! — wtrącił pośpiesznie Agno.

Zanadto pośpiesznie — pomyślał Baszti, a w jego mózgu -zbudziło się niejasne podejrzenie, którego jeszcze nie umiał określić.

— Za tabu trzeba zapłacić krwią i pożarciem — ciągnął Agno.

— Dobrze — rzekł Baszti. — Więc zjem świniaka. Niech mu poderzną gardło, a mięso jego niech zazna ognia.

— Przez moje usta przemawia prawo tabu. Za jego złamanie trzeba zapłacić życiem.

— Istnieje jeszcze inne prawo — uśmiechnął się Baszti. — Od dawien dawna, odkąd Somo zbudował tę wieś, mówi ono, że życie można okupić życiem.

— Ale życiem mężczyzny albo kobiety — poprawił Agno.

— Ja prawo znam — obstawał przy swoim Baszti. — Ustanowił je Somo. Nigdzie nie powiedziano, że życia zwierzęcia nie można okupić życiem zwierzęcia.

— Tego nigdy nie praktykowano — rzucił czarownik.

— I nie bez powodu — odparował stary wódz. — Nigdy jeszcze nie znalazł się taki głupiec, który chciałby oddać wieprzka za psa. Ten wieprzek jest młody, tłusty i mięciutki. Weź sobie psa, Nalasu. Weź go od razu.

Ale czarownik nie dawał się przekonać.

— Jako rzekłeś, o Baszti, w swojej wielkiej mądrości, ten pies nosi w sobie zarodek siły i odwagi. Niechże więc idzie pod nóż. Kiedy się go upieczę, podzielimy jego mięso na wiele małych kawałków, ażeby każdy mężczyzna mógł go pokosztować i tym sposobem otrzymać swoją część siły i odwagi. Lepiej dla Somo, aby silnymi i dzielnymi byli jego mężczyźni, nie psy.

Ale Baszti nie chował urazy do Jerry'ego. Żył nazbyt długo i był za wielkim filozofem, aby potępiać psa za złamanie tabu, którego ten nie rozumiał. Rzecz jasna, psy często zarzynano za złamanie tabu. Ale na to przyzwalał, ponieważ psy jako takie nic a nic go nie obchodziły, a ich śmierć podkreślała tylko świętość tabu. Natomiast Jerry zainteresował go niemało. Odkąd pies rzucił się nań w obronie głowy Van Horna, Baszti nieraz medytował nad tym zdarzeniem. Choć było niepojęte, jak zresztą wszystkie przejawy życia, dało mu jednakże materiał do rozmyślań. Co więcej, żywił podziw dla psa za jego odwagę i za to coś niewytłumaczalnego, co mu wzbraniało skowytac pod bolesnymi uderzeniami kija. A chociaż nie myślał o tym jako o piękności, to jednak piękność

sylwetki i maści Jerry'ego przejmowała go niepostrzeżenie uczuciem satysfakcji. Przyjemnie było patrzeć na tego psa.

Znalazłaby się inna jeszcze przyczyna postępu Basztiego. Zastanawiał się, dlaczego jego czarownik tak gorąco pragnie śmierci zwykłego psa. Przecież tyle jest innych psów, czemu więc wziął się właśnie na tego? Było widoczne, że coś ma na wątrobie, ale co — tego Baszti nie mógł zmiarkować, chyba że szło tu o zemstę, która wylęła się w owym dniu, gdy nie pozwolił Agno zjeść psa. Jeżeli tak było w istocie, to Agno znajdował się w stanie ducha, którego Baszti nie mógł tolerować u żadnego z członków swego plemienia. Jednakże bez względu na pobudki Baszti, mając się jak zawsze na baczności przed czymś niewiadomym, uznał za wskazane wziąć w karby swego kapłana i raz jeszcze pokazać, kto w Somo ma ostatnie słowo. Dlatego też odpowiedział:

— Żyłem długo i zjadłem wiele wieprzy. Któryż człowiek ośmieli się rzec, że znalazłszy się we mnie, uczyniły mnie wieprzem?

Przerwał i potoczył wyzywającym wzrokiem po kręgu słuchaczy, lecz żaden z nich się nie odezwał. Niektórzy uśmiechnęli się z zakłopotaniem i jęli przestępować z nogi na nogę, a wyraz twarzy Agno świadczył o zdecydowanej niewierze, by jego wódz miał w sobie coś świńskiego.

— Zjadłem wiele ryb — ciągnął Baszti. — Nigdy ani jedna rybia łuska nie wyrosła na mojej skórze. Nigdy na gardle nie pokazały mi się skrzela. Jak wszyscy przekonaliście się na własne oczy, u kręgosłupa nie wykluły mi się płetwy. Nalasu, weź tego psa. Aga, zanieś wieprzka do mego domu. Zjem go dziś jeszcze. Agno, rozkaż, by rozpoczęto zarzynanie psów, ażeby ludzie z czółen nasycili się we właściwej porze.

A potem, zbierając się do odejścia, przeszedł na *bêche-de--mer* i rzucił surowo przez ramię:

— Daję słowo, ja być bardzo zły na ciebie.

Kiedy ślepiec Nalasu powoli włókł się przed siebie, jedną ręką wymacując drogę za pomocą kija, drugą zaś niosąc łbem w dół Jerry'ego, którego trzymał za spętane łapy, nagle dało się słyszeć wzmożone, dzikie wycie mordowanych psów, które pojęły, że wybiła dla nich ostatnia godzina.

Ale w przeciwieństwie do Lamaiego, któremu to nie przyszło do głowy, starzec nie niósł Jerry'ego aż do samego domu. Przy pierwszym strumieniu, spadającym z niewysokich wzgórz, przystanął i złożył psa na brzegu, aby mógł napić się wody. Jerry czuł tylko jedno: rozkoszną, chłodną wilgoć na języku, w pysku i gardle, lecz mimo to w jego podświadomości utkwilo wrażenie, że ten człowiek jest lepszy niż Lamai, niż Agno, niż Baszti, że jest najlepszym czarnym, jakiego napotkał w Somo.

Kiedy już nachleptał się tak, że nie mógł pić więcej, podziękował Nalasu językiem — nie gorąco ani z uniesieniem, jakby uczynił, gdyby lizał dłoń Kapitana, ale z należną wdzięcznością za ów życiodajny płyn. Stary zachichotał z zadowoleniem, zanurzył w strumieniu rozprężonego psa i trzymając jego łeb nad powierzchnią natarł mu wodą suchą skórę i pozwolił tak poleżeć przez długie, rozkoszne minuty.

Od strumienia do swojej dosyć odległej chaty Nalasu niósł nadal Jerry'ego ze związanymi łapami, ale już nie głową w dół, lecz przytrzymując go jedną ręką przy piersi. Albowiem Nalasu, który długie lata przeżył w samotności i mroku, wiele rozmyślał o otaczającym świecie i znał go znacznie lepiej, niż gdyby mógł widzieć. Potrzebował psa dla swoich własnych, specjalnych celów. Wypróbował już kilka dzikich psów, ale te, jak się okazało, nie doceniały jego dobroci i pouciekały co do jednego. Ostatni pozostał najdłużej, gdyż Nalasu traktował go z największą łaskawością, ale i ten czmychnął, nim starzec odpowiednio go wytresował. Słyszał natomiast, że pies białego pana jest inny. Nigdy nie uciekał ze strachu i był podobno mądrzejszy od psów miejscowych.

Wieść o pomysle Lamaiego, który uwiązał Jerry'ego za pomocą kija, rozeszła się po wsi i w chacie Nalasu pies uwiązany został w ten sam sposób. Jednakże z pewną różnicą: ślepiec nigdy nie tracił cierpliwości, codziennie godzinami przesiadywał w kucki i gładził Jerry'ego. Ale gdyby nawet tego nie robił, Jerry, który od niego dostawał pożywienie i już przywykł do zmiany panów, byłby i tak uznał Nalasu za pana. Co więcej, od momentu, gdy czarownik związał go i rzucił między inne bezbronne psy na miejscu rzezi, dla Jerry'ego stało się jasne, że wszelkie władztwo Agno jest już skończone, a ponieważ od pierwszej chwili życia nie był nigdy bezpieczny, czuł więc natarczywą potrzebę posiadania pana.

Toteż owego dnia, gdy odwiązano go z kija, Jerry dobrowolnie pozostał w chacie Nalasu. Kiedy starzec nabrał pewności, że już mu nie ucieknie, rozpoczął tresurę Jerry'ego.

Stopniowo przedłużał lekcje, aż wreszcie poświęcał im całe godziny.

Przede wszystkim Jerry otrzymał nowe imię, a mianowicie Bao, i nauczył się reagować na nie z coraz większej odległości, choćby je najciszej wypowiedano. Nalasu wymawiał to imię coraz mniej dosłyszalnie, aż wreszcie przestało być wołaniem, a zamieniło się w szept. Jerry miał dobre uszy, ale uszy Nalasu, dzięki długiemu ćwiczeniu, były nieomal równie dobre. Co więcej, Jerry wyostrzył sobie słuch jeszcze bardziej. Siedząc obok Nalasu lub stojąc z dala od niego, uczył się łowić uchem najbardziej nieuchwytnie dźwięki i szelesty w gęstwinie. Wreszcie nauczono go rozróżniać odgłosy dżungli oraz rozmaitymi warknięciami ostrzegać Nalasu. Jeśli poznawał, że dany szelest powoduje świnia lub kura, nie warczał wcale. Jeżeli nie mógł go rozpoznać, powarkkiwał z cicha. Natomiast jeżeli szelest czynił mężczyzna lub chłopiec, który poruszał się cicho, a co za tym idzie w sposób

podejrzany — Jerry warczał donośnie. Jeśli zaś usłyszał głośnie i niedbałe kroki, wydawał stłumione warczenie.

Nigdy nie przyszło mu do głowy zastanawiać się, czemu go tego uczą. Robił to jedynie dlatego, że taka była wola jego najnowszego pana. Tego wszystkiego i wielu innych rzeczy wyuczył go starzec kosztem niezmiernej cierpliwości i czasu; rozszerzył jego słownictwo tak znacznie, że mogli z oddalenia przeprowadzać szybkie i dokładnie określone rozmowy.

Tak więc z odległości pięćdziesięciu stóp Jerry wyszczeniwał ciche: „Uaff!” na znak, że słyszy nie znany mu odgłos, a Nalasu syknięciem nakazywał, by się nie ruszał i poszczeniwał ciszej albo też zamilkł; by wrócił doń bez hałasu, wszedł w gąszcz i zbadał pochodzenie obcego odgłosu bądź wreszcie atakował z donośnym ujadaniem.

Czasami, kiedy tylko Nalasu ułowił wyostrzonym uchem jakiś nieznany szelest z przeciwnego kierunku, pytał Jerry'ego, czy także go słyszał. Jerry zaś, czujnie nasłuchując na wyprężonych łapach, drobną zmianą w ilości albo jakości swych „uaffów” odpowiadał Nalasu, że nie słyszał, potem że już słyszy, a wreszcie, że to obcy pies albo szczur leśny, mężczyzna lub chłopiec. Wszystko to oznajmiał cichutkimi warknięciami, które były właściwie tchnieniem, monosylabą, prawdziwą stenografią mowy.

Nalasu był dziwnym starcem. Żył samotnie w trzcinowej chatce na skraju wsi. Najbliższa chata znajdowała się w dość znacznej odległości, a jego własna stała na polance wśród gęstej dżungli, która z żadnej strony nie podchodziła bliżej niż na sześćdziesiąt stóp. Ową wykarczowaną polankę stale oczyszczał z szybko pniącej się roślinności. Najwyraźniej nie miał żadnych przyjaciół. Przynajmniej nikt go nigdy nie odwiedzał. Minęły lata, odkąd zniechęcił do tego ostatniego z gości. Co więcej, nie miał krewnych. Żona jego dawno umarła, a trzech jeszcze nie żonaci synowie postradali głowy w utarczce poza granicami Somo, gdzieś na puszczańskich ścieżkach pośród wysokich wzgórz, i zostali pożarci przez mieszkańców buszu, z których ręki zginęli.

Jak na ślepcę, Nalasu był bardzo ruchliwy. Nikogo nie prosił o łaskę i sam dawał sobie radę. Na polanie przy chacie hodował yamy, słodkie pataty i taro. Na drugiej — jako że jego polityką było nie mieć drzew blisko domu — rosły pizangi, palmy bananowe i pół tuzina palm kokosowych. Owoce i jarzyny wymieniał we wsi na mięso, ryby i tytoń.

Sporo czasu poświęcał na edukację Jerry'ego, a w wolnych chwilach sporządzał łuki i strzały, tak wysoko cenione przez jego współplemieńców, że miał zapewniony stały na nie popyt. Rzadkie były dni, w których sam nie ćwiczył się w strzelaniu z łuku. Strzelał jedynie na słuch i ilekroć rozległ się jakiś odgłos czy szelest w dżungli, a Jerry powiadomił starca o jego pochodzeniu, Nalasu posyłał strzałę w tym kierunku. Wówczas Jerry miał obowiązek przynieść ją ostrożnie z powrotem, jeśli chybiła celu.

Osobliwością Nalasu było, że nie sypiał dłużej niż trzy godziny na dobę, że w ogóle nie spał w nocy i że jego krótkie, dzienne drzemki nie odbywały się nigdy w domu. W najbardziej niedostępnym "zakamarku pobliskiej dżungli znajdowało się coś w rodzaju gniazda, do którego nie prowadziła żadna ścieżka. Nalasu nigdy nie szedł tam ani nie wracał tą samą drogą, tak że podzwrotnikowa roślinność, pniąca się na żyznej glebie i deptana tak rzadko, stale zacierała najmniejsze nawet ślady jego przejścia. Ilekroć układał się do snu, obowiązkiem Jerry'ego było trzymać straż i nie zasypiać.

Istniały wystarczające przyczyny, które tłumaczyły owe niesłychane środki ostrożności. Najstarszy z trzech synów Nalasu zabił niegdyś w kłótni niejakiego Ao. Ten Ao był jednym z sześciu braci z rodu Anno zamieszkującego w położonej wyżej wiosce. Zgodnie z prawami Somo rodzina Anno miała przywilej egzekwowania krwawego długu od rodziny Nalasu, co jednak udaremniła śmierć trzech jego synów w dżungli. Ponieważ zaś kodeks Somo brzmiał: życie za życie, a Nalasu

pozostał ostatni z rodziny, przeto w całym plemienu wiadomo było, że Annowie nie spoczną, póki nie wydrą życia ślepcowi.

Ale Nalasu słynął niegdyś jako nieustraszony wojownik i rodzic bitnych synów. Po dwakroć usiłowali Annowie dochodzić swoich pretensji — pierwszy raz, gdy jeszcze nie stracił wzroku. Nalasu wykrył zasadzkę, okrążył ich i natarłszy od tyłu, zabił samego ojca Anno, w ten sposób podwajając krwawy dług.

A później zdarzył mu się wypadek. Kiedy nabijał po wielekroć używane ładunki do strzelby, wybuch dymnego prochu pozbawił go obojga oczu. Zaraz potem, gdy jeszcze lizał się z ran, napadli go Annowie, czego się zresztą spodziewał. Jakoż poczynił odpowiednie przygotowania. Owej nocy dwaj stryjowie i jeszcze jeden brat nadeptali na zatrute ciernie i zmarli straszliwą śmiercią. W ten sposób ogólna suma istnień ludzkich, jakie Nalasu był winien rodzinie Annów, wzrosła do pięciu, a można ją było wyegzekwować tylko od tego jednego ślepca.

Odtąd Annowie za bardzo lękali się zatrutych cierni, by ryzykować ponownie, aczkolwiek tliło się w nich ciągle pragnienie zemsty i żyli nadzieją, że kiedyś głowa Nalasu ozdobi kalenicę ich chaty. Tymczasem zaś stan rzeczy nie przypominał zawieszenia broni, ale impas. Starzec nie mógł ich atakować, a oni bali się atakować jego. I dopiero w jakiś czas po tym, jak Nalasu zaopiekował się Jerry'm, nadszedł dzień, kiedy jeden z Annów wpadł na pomysł, jakiego jeszcze nie znano na całej wyspie Malaita.



Tymczasem mijały tygodnie za tygodniami, południowo-wschodni pasat wydmuchał się do syta, znów zaczął wiać monsun, a Jerry'emu przybyło sześć miesięcy wieku, wagi, wzrostu i krzepy w kościach. Przez te pół roku dobrze mu się żyło u ślepcy, jakkolwiek Nalasu ściśle przestrzegał dyscypliny i tresował go dzień w dzień o wiele dłużej, niż to przypada w udziale większości psów.

Ani razu go nie uderzył, ani razu nie powiedział mu ostrego słowa. Ten człowiek, który zabił czterech Annów — z czego trzech już po stracie wzroku — i jeszcze wielu innych wrogów za czasów swej dzikiej młodości, nigdy nie podniósł w gniewie głosu na Jerry'ego i wychowywał go środkami, z których najsurowszym było łagodne strofowanie. Owa gruntowna edukacja, otrzymana w okresie późnego szczeniństwa, na całe życie wzbogaciła rozum Jerry'ego. Być może jeszcze żaden pies na świecie nie potrafił tak dobrze porozumiewać się z człowiekiem, co wynikało z trzech przyczyn: inteligencji Jerry'ego, talentu pedagogicznego Nalasu i poświęcania długich godzin na naukę.

Stenograficzny słownik Jerry'ego był jak na psa zdumiewający. Można nieledwie powiedzieć, że Jerry godzinami potrafił rozmawiać ze swym panem, jakkolwiek abstrakcje, o których mogli mówić, były nieliczne i proste. W rozmowach swoich mało wspominali o bezpośredniej, konkretnej przeszłości, a prawie wcale o bezpośredniej, konkretnej przyszłości. Jerry nie umiał opowiedzieć Nalasu ani o Meringe czy „Arangi”, ani o swojej wielkiej miłości do Kapitana, ani o przyczynach, dla których nienawidził Basztiego. Z tych samych powodów Nalasu nie mógł opowiedzieć Jerry'emu o krwawej waśni z Annami ani też o tym, jak utracił wzrok.

Właściwie wszelkie ich rozmowy ograniczały się do bezpośredniej teraźniejszości, choć mogli nimi objąć po trosze i najbliższą przeszłość. Nalasu udzielał Jerry'emu różnych wskazówek, jak na przykład, by samotnie udał się na zwiady, poszedł do jego gniazda, okrążył je z dala, a potem udał się na drugą polanę, na której rosły drzewa owocowe, przebiegł na przelaj przez dżunglę do głównej ścieżki i podążył nią w kierunku wioski aż do wielkiego drzewa banianowego, po czym wrócił dróżką do Nalasu i jego domu. Wszystko to Jerry wykonywał skrupulatnie, a po powrocie składał sprawozdanie. Na przykład, że przy gnieździe nie było nic niezwykłego, oprócz sokoła, który siedział w pobliżu; że na drugiej polanie spadły z drzewa trzy kokosowe orzechy — Jerry bowiem umiał bezbłędnie liczyć do pięciu — że między polaną a główną ścieżką widział cztery świnie, że na głównej ścieżce minął psa, więcej niż pięć kobiet i dwoje dzieci, a na małej dróżce prowadzącej do domu zauważył kakadu i dwóch chłopców.

Nie mógł jednakże odmalować Nalasu stanu swojego umysłu i serca, który nie dozwalał mu cieszyć się w pełni obecną sytuacją. Albowiem Nalasu nie był białym bogiem, lecz tylko zwykłym bogiem-Murzynem, Jerry zaś żywił nienawiść i wzdarcę do wszystkich Murzynów z wyjątkiem Lamai i Nalasu. Tolerował ich, a do Nalasu był nawet spokojnie, czule przywiązany. Natomiast kochać go nie mógł i nie kochał.

W najlepszym razie byli to drugorzędni bogowie, a Jerry nie mógł zapomnieć wielkich białych bogów, takich jak Kapitan, Mister Haggin czy pochodzący z tej samej rasy Derby i Bob. Ci byli czymś innym, odmiennym, lepszym od tych ciemnoskórych dzikusów, wśród których żył. Przebywali gdzieś wysoko i daleko, w niedosiężnym raju, który Jerry pamiętał tak żywo, za którym tęsknił, nie znając do niego drogi, i który — jak się domyślał w niejasnym przeczuciu końca oczekującego wszystko na świecie — musiał roztopić się w ową ostateczną nicość, co już pochłonęła „Arangi” i Kapitana.

Daremnie starzec usiłował pozyskać sobie miłość Jerry'ego. Nie mógł przełamać jego

rozlicznych oporów i wspomnień, aczkolwiek zdobył bezwzględną wierność i lojalność psa. Jerry gotów był walczyć do śmierci za Nalasu, z poświęceniem, choć bez tej pasji, z jaką walczyliby za Kapitana. I stałemu nie śniło się nawet, że nie posiadał w pełni serca Jerry'ego.

Nadszedł dzień, kiedy jeden z Annów wpadł na wspomniany już pomysł, którym były grube plecione sandały chroniące stopy przed zatrutymi cierniami, co już odebrały życie trzem spośród nich. Dzień ów, mówiąc ściślej, był nocą, czarną nocą, tak czarną pod przesłoniętym chmurami niebem, że nie podobna było dojrzeć pnia drzewa, choćby go się miało o ułamek cala przed nosem. Wtedy to do polany Nalasu podkradło się kilkunastu Annów, zbrojnych w strzelby, pistolety, toporki i maczugi bojowe. Choć mieli grube sandały, stąpali ostrożnie, lękali się bowiem cierni, których Nalasu już teraz nie sadił.

Jerry, kiwając się sennie między kolanami swojego pana, pierwszy ostrzegł starego, który siedział przed chatą i czujnie nasłuchiwał, podobnie jak przez wszystkie noce od lat wielu. Nalasu wytężył słuch jeszcze bardziej, ale przez długie minuty nic nie mógł dosłyszeć. Jednocześnie szeptem wypytywał Jerry'ego i nakazywał mu odpowiadać cicho, a Jerry warknięciami, pomrukami i całą stenografią mowy, której go nauczono, ostrzegał, że podchodzą ludzie, wiele ludzi, więcej niż pięciu.

Nalasu sięgnął po leżący obok łuk, napiął strzałę i czekał.

Wreszcie i jego uszy złowiły ledwo dosłyszalne szelesty to tu, to tam, przybliżające się kołem ze wszystkich stron. Mówiąc wciąż szeptem, zażądał potwierdzenia od Jerry'ego, któremu pod dotknięciem jego wrażliwych palców zjeżyła się sierść na karku i który teraz badał nocne powietrze zarówno nosem, jak uszami. Nie mniej cicho powiadomił raz jeszcze starego, że idą ludzie, wiele ludzi, więcej niż pięciu ludzi.

Z niecierpliwością właściwą podeszłemu wiekowi Nalasu siedział bez ruchu, dopóki nie dosłyszał szelestu czynionego przez jakiegoś pojedynczego człowieka już całkiem blisko, na samym skraju gęstwiny, w odległości sześćdziesięciu stóp. Napiął łuk, wypuścił strzałę i z radością usłyszał sapnięcie i jęk. Najpierw powstrzymał Jerry'ego, który chciał przynieść strzałę, wiedział bowiem, że trafiła w cel. Potem założył następną na cięciwę.

Minęło w ciszy piętnaście minut; ślepiec siedział jakby wykuty z kamienia, a pies, drżąc z niecierpliwości pod wymownym dotknięciem jego palców, posłusznie zachowywał milczenie. Albowiem Jerry wiedział równie jak Nalasu, że w otaczającym mroku czyha i skrada się śmierć. I znów, bliżej niż przedtem, usłyszeli jakiś ruch, lecz wypuszczona strzała chybiła. Rozległo się jej uderzenie o pień drzewa, a potem gmatwanina cichych szelestów wywołana śpiesznym odwrotem celu.

Po dłuższej chwili ciszy Nalasu milcząco nakazał Jerry'emu przynieść strzałę. Pies był do tego dobrze i z dawna przyuczony, toteż niedosłyszalnie nawet dla starego, który miał uszy bardziej wyostrzone niż ludzie widzący, pobiegł w kierunku miejsca, gdzie strzała uderzyła o drzewo, i przyniósł ją w pysku.

Nalasu znowu zaczekał, aż usłyszeli szelest wywołany przez ponowne zacieśnianie się kręgu; wtedy zebrał wszystkie strzały i razem z Jerry'm odszedł bezgłośnie w bok. Gdy odchodzili, huknął strzał wymierzony w kierunku miejsca, które opuścili przed chwilą.

I tak od północy do brzasku ślepiec i pies z powodzeniem stawiali opór dwunastu ludziom wyposażonym w grom prochu strzelniczego i rozplaszczające się, przenikające głęboko, grzybkowate pociski z miękkiego ołowiu. Ślepiec bronił się tylko łukiem i setką strzał. Wystrzelił kilkaset razy; Jerry przynosił wszystkie strzały z powrotem, on zaś wypuszczał je wciąż od nowa. Jerry pomagał mu dzielnie i skutecznie, przydając do wyostrzonego słuchu Nalasu swój własny, jeszcze bardziej wyostrzony, krążąc bezszelestnie dokoła chaty i donosząc, w którym punkcie atak zbliżał się

najbardziej.

Annowie zmarnowali dużo cennego prochu, gdyż było to coś na kształt igraszki niewidzialnych duchów. Przez cały czas nie było widać nic oprócz błyskawic ognia ze strzelb. Napastnicy ani razu nie dojrzeliby Jerry'ego, choć wprędce wyczuli w pobliżu jego obecność, gdy odnajdował strzały. Raz, gdy jeden z nich szukał po omacku tej, która go o włos chybiła, natrafił ręką na grzbiet Jerry'ego i dzikim rykiem przestraszył pokwitował zaciekle ugryzienie. Próbowali strzelać na brząk cięciwy Nalasu, ale po każdej wypuszczonej strzale stary natychmiast zmieniał miejsce. Kilkakrotnie, wyczuwszy bliskość Jerry'ego, dali do niego ognia, a raz nawet proch lekko osmalił mu nos.

Kiedy zaczęło świtać, Annowie wycofali się w owej przelotnej chwili podzwrotnikowej szarości, która stanowi przeskok od mroku do słońca. Nalasu schronił się przed światłem dziennym do wnętrza chaty, zachowując dzięki Jerry'emu jeszcze osiemdziesiąt strzał. Obrachunek wypadł na czysto tak, że Nalasu miał na rozkładzie jednego zabitego i nie wiedzieć ilu pokłutych strzałami rannych, którzy odczołgali się w gęstwinię.

Przez pół dnia Nalasu siedział w kucki nad Jerry'm głaszcząc i pieszcząc go za to, co uczynił. Potem wyszli razem i Nalasu opowiedział we wsi o potyczce. Nim dzień się skończył, odwiedził go Baszti i przeprowadził z nim poważną rozmowę.

— Mówię z tobą jak starzec ze starcem — zaczął. — Mam więcej lat niż ty, o Nalasu, i nigdy nie znałem lęku. Ale też nigdy nie byłem dzielniejszy od ciebie. Chciałbym, by każdy mężczyzna z plemienia dorównywał ci odwagą. Mimo to sprawiasz mi wielkie zmartwienie. Cóż po twojej odwadze i przebiegłości, jeżeli nie masz potomstwa, w którym odżyłaby owa przebiegłość i odwaga?

— Jestem już stary... — zaczął Nalasu.

— Nie taki stary jak ja — przerwał mu Baszti. — Nie za stary, aby wziąć sobie żonę i swoim potomstwem przydać siły plemieniu.

— Byłem żonaty, długo żonaty i spłodziłem trzech dzielnych synów. Ale zginęli. Nie będę żył tak długo jak ty. Wspominam dni swojej młodości, jak się wspomina po przebudzeniu miły sen. Więcej teraz myślę o śmierci i czekającym mnie końcu. O małżeństwie nie myślę w ogóle. Za stary jestem na to. Pora mi już gotować się na śmierć i bardzo jestem ciekaw, co się ze mną stanie, gdy umrę. Czy już na zawsze będę nieżywy? Czy może żyć będę znowu w krainie snów — sam będąc cieniem snu, pamiętającym czasy, gdy żyłem na ciepłym świecie, gdy w ustach czułem ostry smak głodu, a w piersi miłość do kobiety?

Baszti wzruszył ramionami.

— Ja także dużo o tym myślałem — powiedział — a jednak do niczego nie doszedłem. Nie wiem. I ty też nie wiesz. Obaj nie zdołamy się dowiedzieć, dopóki nie pomrzemy — jeżeli w ogóle będziemy coś wiedzieli, kiedy już przestaniemy być tym, czym jesteśmy teraz. Ale jedno wiemy, ty i ja: że plemię żyje. Plemię nie umiera nigdy. Dlatego też, jeżeli nasze życie ma mieć jakąś treść, musimy dać siłę plemieniu. Twoje zadanie w plemieniu nie jest zakończone. Musisz ożenić się, ażeby twoja przebiegłość i odwaga żyły po tobie. Mam dla ciebie żonę — nie, dwie żony, bo dni twoje są policzone i pewnie dożyję chwili, kiedy zawiśniesz wraz z moimi przodkami u kalenicy szopy na czółna.

— Nie myślę płacić za żonę — zaprotestował Nalasu. — Nie zapłacę za żadną w ogóle. Nie dałbym ani jednej cegiełki tytoniu czy pękniętego kokosa za najpiękniejszą kobietę w Somo.

— Nie martw się — ciągnął spokojnie Baszti. — Ja za ciebie zapłacę cenę żony, obu żon. Weź choćby Bubu. Kupię ci ją za pół skrzynki tytoniu. Jest rozłożysta, krzepka, ma krągłe nogi, szerokie biodra i pełne, obfite piersi. Albo Nena. Jej ojciec wyznaczył za nią wysoką cenę: całą skrzynkę

tytoniu. Ale ja ci ją kupię. Nie masz już wiele czasu. Trzeba się śpieszyć.

— A ja się nie ożenię — oświadczył z histerycznym uporem stary ślepiec.

— Ożenisz się. Rzekłem.

— Nie. Mówię i jeszcze raz powtarzam, że nie, nie i nie. Żona to utrapienie. Żony są młode i głowy mają nabite głupstwami. Miałą językiem czcze słowa. Jestem już człowiek stary, spokojny, opuściły mnie ognie życia. Wolę siedzieć samotnie w ciemnościach i rozmyślać. Chybabym zwariował, gdyby się przy mnie kręciły jakieś rozpaplane młódki, co mają tylko głupstwa w głowie i na języku. Z pewnością doprowadziłyby mnie do obłądu — takiego obłądu, że plułbym w skorupki ślimaków, wykrzywił się do księżyca, przegryzał sobie żyły i wył.

— A choćby nawet, to co z tego? Byleby ród twój nie wyginał. Zapłacę za te żony ich ojcom i przyślę ci je za trzy dni.

— Nie będę miał z nimi nic wspólnego I — zapewnił z uniesieniem Nalasu.

— I owszem — obstawał ze spokojem Baszti. — Bo jeśli nie, będziesz musiał mi zapłacić. A zobaczysz, że to przykry i uciążliwy dług. Każę ci wszystkie stawy poprzetrzącać, tak że będziesz jak galaretowata meduza, jak tłusta świnia po wyjęciu kości. A potem wystawię cię na samym środku placu, gdzie się zabija psy, abyś tam puchł w bólu na słońcu. To zaś, co z ciebie zostanie, rzucę psom na pożarcie. Twój ród nie może wyginać w Somo. Ja, Baszti, ci to powiadam. Za trzy dni przyślę ci obie twoje żony...

Przerwał i zaległo długie milczenie.

— No i co? — podjął znów Baszti. — Co wybierasz: żony czy leżenie z połamanymi kośćmi na słońcu? Wybieraj, ale namyśl się dobrze, zanim wybierzesz to drugie.

— W moim wieku, kiedy mam już tak daleko za sobą wszelkie młodzieńcze dokuczliwości! — skarżył się Nalasu.

— Wybieraj. Przekonasz się, że leżenie na środku placu do zabijania psów też bywa dokuczliwe, i to nie byle jak, kiedy słońce przypiecze ci obolałe członki, aż tłuszcz w twym chudym ciele zacznie skwierczeć niczym w smażonym prosiaku.

— Więc przyślij mi żony — wykrztusił Nalasu po dłuższej chwili. — Ale je przyślij za trzy dni, nie za dwa ani nie jutro.

— Dobrze — kiwnął poważnie głową Baszti. — Żyłeś jedynie dzięki tym, co cię poprzedzili, a teraz już od dawna odeszli w mrok, ale przyczynili się do tego, by" plemię żyło i abyś ty sam żył. Zapłacili cenę za ciebie. To jest twój dług. Przyszedłeś z nim na świat. Spłacisz dług, zanim ze świata odejdiesz. Takie jest prawo. Tak będzie dobrze.

Tak więc, gdyby Baszti przyspieszył o jeden czy dwa dni przysłanie żon, Nalasu wstąpiłby do małżeńskiego czyścica, którego tak się obawiał. Ale Baszti dotrzymał słowa, a trzeciego dnia zaprzął go zbyt doniosły problem, by mógł się zająć wysłaniem Bubu i Neny do ślepcy, który z lękiem oczekiwał ich przybycia. Albowiem trzeciego dnia z rana wszystkie szczyty wzgórz po zawiętrznej stronie wyspy Malaita zagadały dymami. Wieść głosiła, że u wybrzeży pojawił się okręt wojenny — wielki okręt wojenny, który zbliżał się płynąc między koralowymi wysepkami Langa-Langa. Wieść rosła. Okręt nie zatrzymał się przy Langa-Langa. Nie zatrzymał się przy Binu. Wziął kurs prosto na Somo.

Ślepy Nalasu nie mógł widzieć owych słów dymu wypiętych w powietrzu. Ponieważ chata jego stała na uboczu, nikt nie przyszedł go uprzedzić. Pierwszym dlań ostrzeżeniem były przenikliwe głosy zdjętych niewypowiedzianym strachem kobiet, krzyki dzieci i kwilenie niemowląt dolatujące ze ścieżki, która biegła od wioski ku górskiej granicy Somo. W odgłosach tych wyczytał jedynie popłoch i lęk i wywnioskował, że cała wieś pierzcha do swoich kryjówek w górach, ale nie mógł odgadnąć przyczyny tej ucieczki.

Zawołał Jerry'ego i kazał mu iść na zwiady do wielkiego drzewa banianowego, przy którym dróżka Nalasu łączyła się z główną ścieżką. Miał zaobserwować, co się tam dzieje, i wrócić ze sprawozdaniem. Jakoż Jerry usiadł pod drzewem banianowym i przypatrywał się ucieczce całego Somo. Mężczyźni, kobiety i dzieci, młodzi i starzy, niemowlęta przy piersi i sędziwi patriarchowie podpierający się laskami i kijami przechodzili przed nim w najwyższym pośpiechu i lęku. Biegły też skowycząc i skomląc nie mniej wystraszone psy wioskowe. Zaraza strachu silnie oddziaływała na Jerry'ego. Coś go pchało, żeby przyłączyć się do tej ucieczki przed jakąś niepojętą katastrofą, która wisiała w powietrzu — i budziła w nim instynktowny lęk przed śmiercią. Opanował jednak odruch dzięki poczuciu wierności wobec niewidomego człowieka, który go żywił i hołubił przez sześć długich miesięcy.

Wróciwszy do Nalasu siadł między jego kolanami i zdał relację. Nie umiał liczyć dalej niż do pięciu, jakkolwiek wiedział, że liczba uciekających ludzi po wielekroć przekraczała tę cyfrę. Wobec tego oznajmił, że było pięciu mężczyzn i więcej, pięć kobiet i więcej, pięcioro dzieci i więcej, pięć niemowląt i więcej, pięć psów i więcej — nie zapomniał nawet wspomnieć, że było pięć świń i więcej. Słuch powiedział Nalasu, że ludzi było wiele, wiele razy więcej, toteż zapytał o ich imiona. Jerry znał imiona Basztego, Agno, Lamaiego i Lumaiego. Nie wypowiedział ich jednak w sposób choćby trochę zbliżony do właściwego dźwięku, ale wyszczeakał ową stenograficzną mową, której wyuczył go Nalasu.

Nalasu wymienił jeszcze dużo imion, które Jerry znał ze słyszenia, ale których nie umiał odtworzyć głosem. Na większość z nich odpowiedział więc potwierdzająco jednoczesnym kiwaniem głowy i wysuwaniem prawej łapy. Kiedy padały inne imiona, nie poruszał się na znak, że ich nie zna. Przy tych, które poznawał, lecz których właścicieli nie widział, odpowiadał wysunięciem lewej łapy.

Nalasu nie tylko zrozumiał, że wisi w powietrzu coś strasznego — coś o wiele potworniejszego od napadu sąsiednich plemion nadmorskich, który Somo mogło łatwo odeprzeć spoza swych wałów — ale odgadł, że jest to z dawna oczekiwany, karny okręt wojenny. Mimo że liczył sobie już sześć dziesiątków lat, nigdy jeszcze nie przeżył bombardowania wioski. Słyszał mgliste relacje o tym, co działo się we wsiach ostrzeliwanych z armat, ale nie mógł sobie tego wyobrazić, domyślał się tylko, że muszą to być pociski znacznie większe od kul do strzelby i że można je wyrzucać na odpowiednio

większą odległość.

Jednakże miało mu być dane zakosztować przed śmiercią ognia działowego. Baszti, który od dawna oczekiwał krążownika niosącego pomstę za zniszczenie „Arangi” i ucięcie głów dwóm białym i który już dawno obliczył sobie przypuszczalne straty, wydał swojemu ludowi rozkaz ucieczki w góry. Na czele straży przedniej dwunastu młodzieńców niosło owinięte w maty głowy z kolekcji Basztego. Właśnie przechodzili ostatni zapóźnieni maruderzy owego exodusu i Nalasu, przyciskając do piersi swój łuk i osiemdziesiąt strzał, postawił za nimi pierwszy krok mając przy nodze Jerry'ego — kiedy powietrze rozdarł potworny huk.

Nalasu raptem siadł na ziemi. Był to jego pierwszy granat i okazał się po tysiącokroć straszliwszy, niż stary sobie wyobrażał. Ten trzask gromowy, od którego niebo pękało, był niby odgłos rozdzierania na dwoje jakiejś kosmicznej tkaniny rękami potężnego boga. Przywodził na myśl brutalne rozszarpywanie płótna grubego jak kołdra, wielkiego jak ziemia i szerokiego jak niebo.

Nalasu nie tylko siadł pod progiem, ale wtulił głowę między kolana i osłonił ją przygiętymi ramionami. A Jerry, który nigdy dotąd nie słyszał ognia działowego, a tym bardziej nie mógł go sobie wyobrazić, przeraził się tej okropności. Było to dla niego coś na kształt żywiołowej katastrofy, jaka wydarzyła się „Arangi”, kiedy ryczący wichur rzucił statek na bok. Jednakże Jerry, wierny swojej naturze, nie przypadł do ziemi pod wyciem tego pierwszego pocisku. Przeciwnie, najeżył się i począł warczeć szczerząc groźnie zęby na to coś, co było tak straszliwie obecne, a jednak niewidzialne dla oczu.

Gdy granat wybuchł gdzieś dalej, Nalasu skulił się jeszcze bardziej, a Jerry znów zjeżył się i zawarczał. Obaj powtarzali to samo przy każdym nowym granacie, bo chociaż nie ryczały one głośniejsz, jednak rozrywały się w dżungli coraz bliżej. I oto staremu Nalasu, który tak dzielnie wśród tylu niebezpieczeństw przeżył swe długie życie, przeznaczone było umrzeć tchórzem, w strachu przed tą rzeczą nieznaną — chemicznie wprawianym w ruch pociskiem białych panów. Kiedy padające granaty zaczęły rozrywać się coraz bliżej i bliżej, stracił resztki panowania nad sobą. Ogarnął go taki popłoch, że mógłby przegryźć sobie żyły i wyć. Z obłądnym rykiem zerwał się na równe nogi i wpadł do chaty, jak gdyby trzciniowa strzecha mogła ochronić jego głowę przed tak olbrzymimi pociskami. Zawadził o obramienie drzwi i zanim Jerry zdążył poskoczyć za nim, okręcił się i runął na środek klepiska, w sam czas, aby otrzymać następny granat prosto na głowę.

Jerry dopadł progu w chwili, gdy pocisk eksplodował. Chata rozerwała się na szczątki, a razem z nią rozerwany został na szczątki Nalasu. Jerry'ego, który był w progu, uderzył podmuch eksplozji i odrzucił go o kilkadziesiąt stóp. W tym samym ułamku sekundy trzęsienie ziemi, fala potopu, wybuch wulkanu, grom z nieba i błyskawica trzasnęły weń pozbawiając go świadomości.

Nie miał pojęcia, jak długo leżał. Pięć minut upłynęło, nim zdołał po raz pierwszy poruszyć kurczowo łapami, a kiedy wreszcie dźwignął się i zachwiał otumaniony, nie mógł zdać sobie sprawy z upływu czasu. Zatracił w ogóle poczucie czasu. Rzecz oczywista, jedyną myślą, która stała się teraz nieświadomą podstawą jego działania, było, że niespełna sekundę przedtem zadano mu cios straszliwy, niezliczoną ilość razy silniejszy od uderzenia kijem przez krajowca.

Gardło i płuca wypełniał mu ostry, dławiący dym prochowy, w nozdrzach miał ziemię i pył, począł więc prychać i kichać zapamiętałe; skakał tu i tam, przewracał się jak pijany, znów dawał susa w powietrze, zataczał się na tylnych nogach, ścisnął nos przednimi łapami wetknawszy między nie łeb, nawet tarł nosem o ziemię. Myślał tylko o jednym, żeby pozbyć się z pyska gryzącego bólu, a z płuc uczucia duszenia.

Cudem nie trafiły go lecące odłamki żelaza, a dzięki silnemu sercu uniknął śmierci od szoku eksplozji. Dopiero po pięciu minutach obłądnych zmagania, podczas których zachowywał się jak

zarzynane kurczę, poczuł się nieco znośniej. Szczytowy punkt duszenia i męki przeminął i chociaż Jerry był nadal słaby i zamroczony, powlókł się ku chacie i Nalasu. Ale nie było już ani chaty, ani Nalasu — tylko zmieszane szczątki obojga.

Podczas gdy granaty wyły i rozrywały się ciągle to bliżej, to dalej, Jerry zaczął badać sytuację. Chata nie istniała, a z równą pewnością nie istniał też Nalasu. Na jedno i drugie spadła ostateczna zagłada. Cały otaczający świat wydawał się także skazany na zagładę. Życie mogło być tylko gdzie indziej — na wysokich wzgórzach, w dalekim buszu, do którego pierzchło już całe plemię. Jerry był wierny swemu żywicielowi — panu, którego słuchał od tak dawna, choć miał on kolorową skórę, który go karmił tak długo i do którego szczerze się przywiązał. Ale tego pana już nie było.

Odszedł więc, ale odszedł bez pośpiechu. Przez jakiś czas warczał jeszcze na każdy wyjący w powietrzu granat i na każdy wybuch w gęstwinie. Ale potem, choć nadal napępniały go one niepokojem, sierść na karku nie jeżyła mu się więcej, i Jerry przestał warczeć i pokazywać zęby.

Kiedy zaś rozstał się z tym, co było, a co przestało istnieć, nie rzucił się ze skowytom do ucieczki jak dzikie psy. Przeciwnie, podreptał dróżką krokiem miarowym i pełnym godności. Gdy znalazł się na głównej ścieżce, stwierdził, że jest pusta. Ostatni z uchodźców już przeszedł. Ścieżka, zawsze uczęszczana od świtu do zmroku, tak niedawno jeszcze zatłoczona ludźmi, teraz w swym opustoszeniu przejęła go do głębi poczuciem skończoności wszystkiego na tym ginącym świecie. Toteż nie usiadł pod drzewem banianowym, lecz pobiegł przed siebie, daleko za ostatnimi ludźmi z plemienia.

Nosem odczytywał przebieg ucieczki. Raz tylko napotkał coś, co świadczyło o jej potworności. Była to cała grupka rozerwana granatem. Leżał tam zabity pięćdziesięcioletni mężczyzna, który szedł o kulach, gdyż za młodu rekin odgryzł mu nogę, dalej trup kobiety z martwym niemowlęciem u piersi, nieżywe trzyletnie dziecko trzymające ją za rękę i wreszcie dwie wielkie, tłuste świny, która pędziła przed sobą w bezpieczne miejsce.

Węch powiedział także Jerry'emu, że strumień uciekających rozszczepiał się i opływał z obu stron to miejsce, by potem złączyć się znowu. Natrafiał na ślady ucieczki: wpół zżuty kawałek trzciny cukrowej, upuszczony widać przez czyjeś dziecko, glinianą fajeczkę z cybuchem przykrótkim wskutek kolejnych złamań, pojedyncze pióro z włosów jakiegoś młodzieńca, tykwę pełną ugotowanych *yamów* i patatów, złożoną ostrożnie obok ścieżki przez kobietę, dla której snadź okazała się za ciężka.

Gdy Jerry dreptał przed siebie, ogień armatni ustał; po jakimś czasie rozległy się strzały z karabinów; to lądujący oddział wybijał domowe świny na uliczkach Somo. Jerry nie słyszał jednak zrąbywania palm kokosowych, a nie zawrócił już więcej, aby obejrzeć szkody poczynione przez topory.

Albowiem w tym właśnie momencie zdarzyła się z nim rzecz zdumiewająca, której nie potrafią wyjaśnić żadni myśliciele świata. W jego psim mózgu objawił się ów niezawisły czynnik życia, który wszystkie generacje metafizyków uznawały za dowód istnienia Boga, a który wodził za nos wszystkich filozofów hołdujących determinizmowi na przekór ich wyraźnym oświadczeniom, że jest to czyste złudzenie. Co Jerry zrobił, to zrobił. Nie miał natomiast pojęcia, po co i dlaczego to robi, padofanie jak filozof nie wie, po co i dlaczego wybiera na śniadanie owsiankę ze śmietanką, a nie dwa jaja na miękko.

Uległ mianowicie nakazowi mózgu i nie uczynił tego, co mogłoby się wydać najprostsze i najzwyczajniejsze, ale to, co zdawało się trudniejsze i bardziej niezwykle. Ponieważ łatwiej jest znieść coś znanego niż uciekać w nieznanne, ponieważ zarówno nieszczęście, jak strach lubią towarzystwo — więc pozornie najprostszą rzeczą dla Jerry'ego byłoby podążyć za plemieniem Somo do jego kryjówek. A jednak Jerry zboczył z linii odwrotu, ruszył ku północy, ku granicy Somo, i szedł tak

dalej na północ, w obcą krainę Nieznanego.

Gdyby Nalasu nie powaliła owa ostateczna nicość, Jerry byłby pozostał przy nim. To jest prawda i może dla kogoś, kto zastanawia się nad swoimi czynami, taki byłby tok jego rozumowania. Ale Jerry nie wyrozumował sobie tego, nie rozumował w ogóle; działał pod wpływem impulsu. Umiał zrachować pięć przedmiotów i wymienić je z nazwy i liczby, ale nie był zdolny wyrozumować sobie, że pozostanie w Somo, jeżeli Nalasu będzie żył, a odejdzie z Somo, jeżeli Nalasu umrze. Odszedł z Somo jedynie dlatego, że Nalasu już nie żył; straszliwy ogień działowy szybko oddalił się w przeszłość jego świadomości, podczas gdy teraźniejszość nabrała jak zawsze barw życia. Nieomal na palcach Jerry pobiegł ścieżkami dzikich mieszkańców buszu, cały napięty od lęku przed czyhającą na owych ścieżkach śmiercią, z uszami czujnie nastawionymi na wszelkie odgłosy dżungli oraz oczami, które im pomagały rozeznaczyć, skąd owe odgłosy pochodzą.

Kolumb, hazardujący wszystko w zetknięciu z Nieznanem, nie był dzielniejszy ani bardziej zuchwały niż Jerry, kiedy zapuszczał się w mroczną dżunglę czarnej Malaity. A tego zdumiewającego czynu, tego na pozór wielkiego dzieła wolnej woli dokonał bardzo podobnie jak ludzie, których po całej ziemi gna swędzenie stóp i łaskotanie fantazji.

Wprawdzie Jerry już nigdy więcej nie ujrzał Somo, ale Baszti ze swym plemieniem wrócił jeszcze tego samego dnia i począł obliczać straty uśmiechając się i chichocząc. Granaty uszkodziły zaledwie kilka trzcinowych chat. Zrąbano tylko parę palm kokosowych. Co zaś się tyczy ubitych świń, to jeśli się nie zepsują, wyprawi z nich wielką ucztę. Jeden pocisk wybił dziurę w jego nadmorskim wale. Kazał ją poszerzyć i uczynić tam torowisko do spuszczenia łodzi na wodę, a boki obłożyć umocowywanymi na sucho skałkami koralowymi. Poleciał też wybudować dodatkową szopę na czółna. Trapiła go jedynie śmierć Nalasu oraz zniknięcie Jerry'ego — owych dwóch zamierzonych przezeń eksperymentów z dziedziny pierwotnej eugeniki.



Jerry spędził tydzień w buszu; nie mógł przedostać się do gór, gdyż wszystkich ścieżek strzegli tubylcy. Źle byłoby z nim, jeżeli idzie o pożywienie, gdyby nie to, że drugiego dnia napotkał samotnego prosiaka, który snadź odbił się od stadka. Były to dla Jerry'ego pierwsze łowy mające na celu zdobycie pokarmu i przez to nie poszedł dalej, wierny bowiem swojemu instynktowi, pozostał przy zdobyczy, póki jej prawie doszczętnie nie pożarł.

Co prawda, przebiegł wzdłuż i wszerz najbliższą okolicę, nie znalazł jednak innego pokarmu. Ale zawsze wracał do ubitego prosiaka, dopóki go tylko starczyło. Mimo wszystko nie cieszył się swobodą. Był zbyt ucywilizowany, zbyt oswojony. Za wiele tysięcy lat upłynęło od chwili, gdy jego przodkowie biegali dziko samopas. Czuł się osamotniony. Nie mógł dać sobie rady bez człowieka. Zbyt długo on i pokolenia jego przodków żyły w bliskich związkach z dwunogimi bogami. Zbyt długo jego plemię kochało człowieka, służyło mu z miłości, cierpiało i ginęło z miłości, będąc w zamian nie doceniane, niedostatecznie rozumiane i darzone zdawkowym uczuciem.

Tak wielka była samotność Jerry'ego, że nawet czarny dwunogi bóg wydawał mu się pożądany, skoro biali bogowie od dawna już zapadli się w przeszłość i zapomnienie. Gdyby umiał snuć domysły, doszedłby zapewne do wniosku, iż wszyscy istniejący biali bogowie wyginęli. Uznając, że czarny bóg jest lepszy od żadnego, Jerry zjadłszy resztki prosiaka zboczył w lewo ze swojej drogi i skierował się w dół ku morzu. Uczynił to znowu nie rozumując, po prostu dlatego, że na subtelne funkcje jego mózgu oddziaływało doświadczenie. A z doświadczenia znał tylko życie w pobliżu morza; ludzi spotykał zawsze na jego brzegu, a droga idąca w dół niezmiennie prowadziła do morza.

Wyszedł na brzeg osłoniętej rafami laguny, w miejscu, gdzie porozbijane chaty trzcinowe świadczyły, iż niegdyś żyli tu ludzie. Wszędzie panoszyła się dżungla. Dokoła rosły grube na sześć cali drzewa, dźwigając na koronach przegniłe szczątki trzcinowych strzech, przez które przebiły się ku słońcu. Rosnąc szybko osłoniły swym cieniem poświęcone bóstwom słupy, tak że bałwany i totemy siedzące w rzeźbionych paszczach rekinów śmiały się zielono i potwornie z marności losu człowieka przez powłokę mchów i cętkowanych grzybni. Od korzeni palm kokosowych aż do spokojnej, wody biegł nędzny, mały, rozsypujący się wał nadmorski, który nigdy nie należał do najmocniejszych. Na ziemi gniły banany, pizangi i owoce chlebowców. Wszędzie wały się kości, ludzkie kości; Jerry rozpoznał je węchem, uświadamiając sobie, czym są — symbolem nicości życia. Czaszek nie znalazł, albowiem czaszki, należące niegdyś do tych rozrzuconych kości, zdobyły teraz chaty czarowników w położonych na wyżynie puszczańskich wioskach.

Słona woń morza uradowała jego nozdrza, prychnął też z zadowolenia czując odór moczarów porośniętych mangrowcami. Ale — niczym nowy Robinson, natrafiający na ślad stopy Piętaszka — drgnął jakby tknięty iskrą elektryczną, kiedy nos, a nie oczy, powiedział mu, że ziemi dotykała tu niedawno stopa człowieka. Stopa ta należała do Murzyna, ale była żywa, bliska; kiedy zaś przeszedł po tropie kilkanaście jardów, natrafił na ślad innej stopy, tym razem niewątpliwie stopy białego człowieka.

Gdyby w pobliżu znajdował się jakiś widz, pomyślałby, że Jerry nagle oszalał. Począł biegać opętańczo tu i tam, zawracać, kręcić się w kółko z nosem to przy ziemi, to znowu w powietrzu, skomlał zapamiętale, raptownie dawał susa pod prostym kątem w bok, gdy dolatywał go nowy wiatr, skakał tam i sam, jak gdyby grając w berka z niewidzialnym towarzyszem zabawy.

Ale przez cały ten czas odczytywał dokładne sprawozdanie, które liczni ludzie wypisali na ziemi.

Dowiedział się, że był tu biały człowiek i wielu czarnych. Tam Murzyn wdrapał się na palmę kokosową i postrzącał orzechy. Ówdzie obrano drzewo bananowe z kiści owoców, a dalej widniały ślady świadczące, że to samo przydarzyło się drzewu chlebowemu. Ale jedna rzecz go zaskoczyła: nowy dlań zapach, który nie pochodził ani od czarnego, ani od białego. Gdyby Jerry posiadał niezbędną wiedzę i zdolność obserwacji, zauważyłby, że ów trop był mniejszy od męskiej stopy, a ślady palców różniły się od tych, jakie pozostawiały Murzynki, gdyż były nie tak szeroko rozstawione i płycej odcisnięte na ziemi. W węszeniu przeszkadzała mu nieznajomość talku. Drażnił on wprawdzie nozdrza, ale Jerry nigdy nie spotkał podobnego zapachu, odkąd po raz pierwszy w życiu zwietrzył ślady stóp. Oprócz niego wyczuwał jeszcze inne, słabsze wonie, równie dlań obce.

Ale niedługo zastanawiał się nad tą tajemnicą. Zwęszył przecie trop białego człowieka i wskroś wikłaniny wszystkich innych śladów pobiegł za nim jednym poprzec lukę w nadbrzeżnym wale aż na zmielony przez morze, obmywany falami piasek koralowy. Tutaj zbiegały się najświeższe ślady wielu stóp, w miejscu, gdzie dziób łodzi wspierał się na piasku i gdzie ludzie wysiedli z niej, a potem wsiedli na powrót. Węchem odczytał cały przebieg wydarzeń, a potem stanąwszy przednimi łapami w wodzie, tak że sięgała mu barków, popatrzył na lagunę, w której gubił się trop.

Gdyby zjawił się o pół godziny wcześniej, zobaczyłby mknącą po spokojnej wodzie łódź bez wiosła, napędzaną benzyną. Teraz ujrzał tylko drugi „Arangi”. Co prawda był on znacznie większy niż tamten, którego Jerry znał, ale był również biały, długi, z masztami, i unosił się na powierzchni morza. Miał trzy wystrzelające w niebo maszty, wszystkie tej samej wysokości; jednakże Jerry nie posiadał na tyle wyrobionego oka, by zauważyć różnicę między nimi a wysokim i niskim masztem „Arangi”. Jedyńm znanym mu światem nawodnym był biało malowany „Arangi”. A ponieważ bez najmniejszej wątpliwości miał teraz przed sobą „Arangi”, więc też na pokładzie winien był znajdować się jego ukochany Kapitan. Jeżeli mogły zmartwychwstawać „Arangi”, to mogli zmartwychwstawać i Kapitanowie. Toteż w bezwzględny przeświadczeniu, że na pokładzie biało malowanego, nawodnego świata zostanie ową unicestwioną głowę, którą widział na kolanach Basztiego, znów połączoną z tułowiem i dwiema nogami, Jerry pobrodził głębiej i rzucił się śmiało w pław.

Było to ogromne zuchwalstwo, albowiem puszczając się na wodę łamał jedno z największych i najdawniej poznanych tabu, W swoim słowniku nie miał określenia na „krokodyla”, lecz w jego myślach, równie wyraźnie jak wszelkie dające się wypowiedzieć słowa, trwał obraz straszliwy — obraz pływającej kłody, która kłodą nie była, która żyła, umiała pływać po powierzchni, pełzać po lądzie, miała potężne kły, ogromną paszczkę i groziła niechybną śmiercią psu, który znalazł się w wodzie.

Miano to dalej nieulekłe łamał tabu. W przeciwieństwie do człowieka, który może jednocześnie doświadczać dwóch różnych stanów ducha i który płynąc czułby zarazem strach i wielką odwagę, pozwalającą mu ten strach pokonać — Jerry płynąc myślał tylko o jednym, a mianowicie o tym, że płynie do „Arangi” i do Kapitana. Zanim po raz pierwszy zagarnął wodę łapami i utracił grunt, uprzytomnił sobie całą straszliwość owego tabu, które świadomie łamał. Ale kiedy już puścił się w pław, powziął decyzję i obrał linię najmniejszego oporu — opanowała go tylko jedna myśl, jedno uczucie: że płynie do Kapitana.

Choć nie był doświadczoneym pływakiem, płynął ze wszystkich sił, zawodząc cichym skomlaniem pieśń żarliwej miłości do Kapitana, który niezawodnie musiał znajdować się na białym jachcie stojącym o pół mili. Ta cicha pieśń miłości, stopionej z dojmującym niepokojem, dotarła do uszu mężczyzny i kobiety, którzy odpoczywali na leżakach pod markizą. Bystrooka kobieta pierwsza dostrzegła złotą głowę Jerry'ego i obwieściła to krzykiem.

— Każ spuścić szalupę, Panie Mężu — powiedziała. — Tam płynie jakiś psiak. Nie dajmy mu utonąć.

— Psy tak łatwo nie toną — brzmiała odpowiedź „Pana Męża”. — Da sobie doskonale radę. Ale co, u diaska, może tu robić pies?... — Podniósł do oczu lornetkę i patrzył chwilę. — I to pies białego człowieka na dobitkę I

Jerry zagarniał wodę łapami i wciąż posuwał się naprzód, wpatrując się usilnie w rosnący jacht, gdy wtem wyczuł bliskie niebezpieczeństwo. Poraziło go tabu. Podpływała doń owa kłoda, która była nie kłoda, lecz żywą, groźną istotą. Ujrzał ją częściowo nad powierzchnią; sunęła gnuśnie i zanim znikła pod wodą, uświadomił sobie, że jest jakaś inna niż tamte.

Potem coś otarło się o niego, on zaś przyjął to warczeniem i gwałtownymi uderzeniami łap. Okręcił nim wir powstały po przepłynięciu tej stwory, a spowodowany niespokojnym strzepnięciem jej ogona. Nie był to krokodyl, lecz rekin, który nie przepłynąłby tak potulnie, gdyby nie fakt, że miał pełny żołądek po niedawnym spożyciu żółwia morskiego, nazbyt słabego ze starości, aby uciekać.

Jakkolwiek Jerry nie mógł go widzieć, wyczuł, że to narzędzie nicości czyha na niego w pobliżu. Nie widział też prującej wodę i zbliżającej się doń od tyłu płetwy grzbietowej. Wtem od strony jachtu usłyszał strzały, które padły szybko jeden po drugim. Od tyłu dobiegł jego uszu paniczny plusk. To było wszystko. Niebezpieczeństwo minęło i poszło w zapomnienie. Jerry nie kojarzył strzałów z jego przeminięciem. Nie wiedział i nie miał się nigdy dowiedzieć, że osobnik znany ludziom pod nazwiskiem Harleya Kennana, a nazywany „Panem Mężem” przez kobietę, którą sam zwał „Żoneczką”, właściciel trójmasztowego jachtu „Ariel”, ocalił mu życie przeszywając u nasady płetwę rekina kulą ze sztucera Marlin 30.

Jerry miał jednak poznać Harleya Kennana, i to niebawem, bo właśnie Harley Kennan, przewiązany pod pachami linką i spuszczonego przez kilku marynarzy po wysokiej burcie „Ariela”, pochwycił za skórę na karku gładkowłosego teriera irlandzkiego, który, pionowo zanurzony w wodzie, nie spojrzał- nawet na niego, gdyż żarliwie wpatrywał się w rząd twarzy widocznych nad relingiem, szukając między nimi tej jednej jedynej.

Kiedy go postawiono na pokładzie, nie zatrzymał się, by podziękować. Otrząsnął się tylko instynktownie i pognął szukając Kapitana. Mężczyzna i jego żona roześmieli się na ten widok.

— Zachowuje się tak, jakby zwariował z radości, że go uratowano — zauważyła pani Kennan. A pan Kennan powiedział:

— To. nie to. Jemu chyba brakuje piątej klepki. Może dostał kręćka i będzie tak biegał, póki się nie wybiega.

Tymczasem Jerry wciąż ganiał od burty do burty, od dziobu do rufy i z powrotem, merdając krótkim ogonkiem i uśmiechając się przyjaźnie do rozlicznych dwunogich bogów, których napotykał po drodze. Gdyby potrafił myśleć o rzeczach abstrakcyjnych, zdumiałaby go ilość białych bogów. Było ich co najmniej trzydziestu, nie licząc innych bogów, ni to czarnych, ni białych, którzy jednakże mieli po dwie nogi, stali pionowo, nosili ubranie i ponad wszelką wątpliwość byli bogami. Gdyby zaś umiał zdobyć się na takie uogólnienie, uznałby również, że nie wszyscy biali bogowie pograżyli się w nicość. Ale i tak zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, wcale o tym nie wiedząc.

Kapitana jednak nie było. Jerry wetknął nos do luku na forkasztelu, obwąchał kuchnię, w której dwaj chińscy kucharze coś doń niezrozumiale zagadali, obwąchał zejście kajutowe i świetlik maszynowni, gdzie po raz pierwszy zwiertzył ropę i oliwę, ale choć niuchał wszędzie, gdzie tylko pobiegł, nie wyczuł nigdzie zapachu Kapitana.

Byłby usiadł na rufie przy kole sterowym i wyciem oznajmił o swoim strasznym rozczarowaniu, gdyby nie zagadał do niego jakiś biały bóg, najwyraźniej sprawujący tu komendę, a ubrany w białe

mundur i złotem ozdobioną czapkę. Jerry, dżentelmeński jak zawsze, natychmiast położył uprzejmie uszy po sobie, pomerdał ogonem i podbiegł. Ręka wielkiego boga już, już miała go pogłaskać, gdy wtem na pokładzie rozległ się głos kobiety mówiący coś, czego Jerry nie rozumiał. Słowa i określenia były dla niego obce. Ale wyczuł w tym głosie rozkazującą siłę, co zaraz potwierdził fakt, że biało-złoty bóg szybko cofnął rękę, która już miała dotknąć Jerry'ego. Bóg zeszywniał, jakby tknięty iskrą elektryczną, wskazał Jerry'emu pokład i zachęcając go słowami, których znaczenie psiak mógł jedynie odgadnąć, skierował go ku owej kobiecie, co wydała mu rozkaz mówiąc:

— Niech go pan do mnie przyśle, kapitanie Winters.

Jerry zwinął się cały z radosnej gorliwości i byłby lojalnie nadstawił głowę pod wyciągniętą pieszczotliwie dłoń, gdyby go nie powstrzymało coś, co w tej kobiecie było dlań dziwne i nieznanne. Zatrzymał się w pół kroku i pokazawszy zęby, warcząc zaczął się cofać przed spódnicą, którą poruszał wiatr. Jedynymi kobietami, jakie znał, były nagie Murzynki.

Ta rozrzepotana na wietrze spódnica przypominała mu groźny grot-żagiel „Arangi”, który łopotał, strzelał i przelatywał nad jego głową. Odgłosy wydawane przez usta kobiety były łagodne i przytulne, ale owa straszliwa spódnica wciąż jednak trzepotała na wietrze.

— Ty śmieszny psiaczku! — roześmiała się kobieta. — Przecież cię nie ugryzę.

Jej mąż szorstko, pewnie sięgnął po Jerry'ego i przyciągnął go do siebie. Jerry aż zwinął się upojony pieszczotą boga i ucałował jego dłoń liźnięciem, różowego języka. Następnie Harley Kennan popchnął go ku siedzącej na leżaku kobiecie, która pochyliła się i wyciągnęła ręce na powitanie. Jerry usłuchał. Zbliżył się ze stulonymi uszami i uśmiechniętym pyskiem, lecz zanim go dotknęła, wiatr znowu zatrzepotał spódnicą i Jerry cofnął się warcząc.

— On się nie ciebie boi, Villa, ale twojej spódnicy — powiedział mężczyzna. — Może w ogóle jeszcze nigdy nie widział spódnicy?

— To znaczy uważasz, że tutejsi ludożercy i łowcy głów prowadzą księgi rodowodów i utrzymują psiarnie? — zadrwiła Villa Kennan. — Bo przecież ten zabawny psi awanturnik to rasowy terier irlandzki. To równie pewne, jak to, że nasz „Ariel” zbudowany jest z oregońskiej sośniny.

Harley Kennan roześmiał się potakująco. Villa Kennan zaśmiała się także, a Jerry poznał, że ma przed sobą parę szczęśliwych bogów, więc także zaczął się śmiać razem z nimi.

Z własnej inicjatywy podszedł znów do bogini, zwabiony aromatem talku oraz innymi, słabszymi woniami, w których rozpoznał już owe dziwne zapachy, napotkane na plaży. Ale nieszczęsny pasat znowu poruszył spódnicą i Jerry znów odskoczył — tym razem jednak już nie tak daleko, o wiele mniej zjeżony na karku i grzbiecie, nie warcząc i tylko na pół odsłaniając zęby.

— Boi się twojej spódnicy — powtórzył Harley. — Przypatrz mu się. Chce do ciebie podejść, ale odstrasza go spód nica. Przytrzymaj ją, żeby nie trzepotała, i zobacz, co się stanie.

Villa Kennan usłuchała tej rady, a Jerry podszedł ostrożnie, pochylił łeb i wsunął się pod jej rękę, zarazem obwąchując nogi w pończochach i trzewikach. Poznał, że są to te same stopy, które kroczyły boso po zarośniętych ścieżkach nadbrzeżnej wioski.

— Nie ma żadnej wątpliwości — oświadczył Harley. — Ten pies urodził się wśród białych i przez nich został wyhodowany. Ma swoją historię. Zznał niejednej przygody. Gdyby potrafił opowiedzieć swoje dzieje, siedzielibyśmy zasłuchani przez wiele dni. Z pewnością widywał nie tylko czarnych w swym życiu. Sprawdźmy to na Johnny'm.

Johnny, którego Kennan przywołał, został mu wypożyczony przez urzędującego w Tulagi komisarza-rezydenta brytyjskich Wysp Salomona i przybył do Kennana raczej jako pilot i przewodnik niż filozof i przyjaciel. Podszedł teraz z uśmiechem, a Jerry zmienił się natychmiast. Zeszywniał cały pod dłonią Villi Kennan, odsunął się od niej i począł na sztywnych łapach zbliżać się do Murzyna.

Dokonując oględzin Johnny'ego i obwąchując jego łydki, aby go zapamiętać na przyszłość, nie tulił uszu i nie uśmiechał się przyjaźnie. Okazał mu najwyższe lekceważenie i po nader krótkiej inspekcji zawrócił do Villi Kennan.

— A nie mówiłem? — zatryumfował jej mąż. — Zna się na kolorze skóry. To jest pies białego człowieka i wyuczono go tego.

— Daję słowo — odezwał się Johnny. — Ja znać ten pies. Ja znać jego tata i mama. Wielki biały pan, Mister Haggin, być na Meringe, a tata i mama ten pies być z nim.

Harley Kennan wykrzyknął gwałtownie:

— No, oczywiście! Przecież komisarz opowiadał mi o tym. Statek „Arangi”, zagarnięty przez plemię Somo, odpłynął po raz ostatni z plantacji Meringe. Johnny poznaje, że pies pochodzi z tego samego ,chowu co para, którą zapewne ma Haggin na Meringe. Ale to było już dawno temu. Musiał wtedy być małym szczeniakiem. Jasne, że to pies białego człowieka I

— A jednak przeoczyłeś najważniejszy tego dowód — docięła mu Villa Kennan. — Przecież pies ma go na sobie.

Harley uważnie przypatrzył się Jerry'emu.

— Dowód niezbity — podkreśliła.

Po dłuższych oględzinach Kennan potrząsnął głową.

— Niech mnie licho, jeżeli widzę coś tak niezbitego, by wykluczało wszelkie wątpliwości.

— Ogon! — wykrzyknęła jego żona. — Krajowcy z całą pewnością nie przycinają ogonów swoim psom. Prawda, Johnny? Czy czarny człowiek na Malaita odcinać ogon pies?

— Nie odcinać — przyznał Johnny. — Mister Haggin na Meringe odcinać. Daję słowo on odciąć ogon ten pies.

— Więc to jest jedyny ocalały rozbitek z „Arangi” — zakonkludowała Villa Kennan. — Zgadzasz się, panie Sherlocku Holmesie Kennan?

— Gratuluję, szanowna pani Holmes — potwierdził kurtuazyjnie mąż. — Pozostaje pani tylko zaprowadzić mnie prościuteńko do miejsca, gdzie znajduje się głowa samego La Perouse'a. Kroniki żeglarskie mówią, że pozostawił ją gdzieś na tych wyspach.

Nie domyślali się nawet, że Jerry żył na poufałej stopie z niejakim Basztim i że ów Baszti w tej właśnie chwili, o kilka mil brzegiem od tego miejsca, siedział w swojej trzcino wej chacie w Somo i medytował nad trzymaną na wychudłych kolanach głową, która ongiś należała do tego wielkiego żeglarza, choć dziejów jej nie pamiętali już potomkowie wodza, który ją zdobył.

Piękny, trzymasztowy szkuner „Ariel”, płynący z San Francisco w rejs dookoła świata, był w drodze już od roku, gdy Jerry wstąpił na jego pokład. Jako świat, świat białych bogów, nie mógł się z niczym równać w oczach Jerry'ego. Nie był mały, jak „Arangi”, ani też zatłoczony ciżbą Murzynów od dziobu do rufy, na pokładzie i pod nim. Jedynym czarnym, jakiego Jerry tu znalazł, był Johnny; cały przestronny statek zapełniali głównie biali bogowie.

Napotykał ich wszędzie: stali u koła sterowego i na dziobie, polerowali mosiężne okucia, wspinali się na olinowanie, po sześciu na raz pracowali przy takelunku. Istniały jednak między nimi pewne różnice. Byli tam bogowie i bogowie, i Jerry wkrótce pojął, że w hierarchii nieba białych bogów z „Ariela” ci, którzy pełnią funkcje żeglarskie i pracują na statku, znajdują się znacznie niżej od kapitana i jego dwóch biało-złotych oficerów. Oni zaś z kolei zajmowali miejsce niższe niż Harley Kennan i Villa Kennan; Jerry bowiem szybko zrozumiał, że rozkazuje im Harley. Niemniej istniała pewna rzecz, o której się nie dowiedział i nie miał nigdy dowiedzieć — a mianowicie, kto był najwyższym bogiem na „Arielu”. Aczkolwiek nie próbował tego zgłębić, nie będąc zdolnym do sięgania myślą tak daleko, przecie nie zorientował się nigdy, czy to Harley Kennan wydaje rozkazy Villi, czy też na odwrót. Nie trapiąc się tym problemem uznał, że ich panowanie nad owym światem jest władzą dualistyczną. Jedno nie stało nad drugim. Wedle wszelkich pozorów rządzą na równej stopie, podczas gdy wszyscy inni chylili przed nimi czoła.

To nieprawda, że karmieniem psa zdobywa się jego serce. Harley czy Villa ani razu nie karmili Jerry'ego, a przecie do nich postanowił należeć, ich kochać i im służyć, nie zaś japońskiemu stewardowi, który regularnie go żywił. Bo Jerry, jak zresztą każdy pies, potrafił odróżnić zwykłego bezpośredniego dawcę pokarmu od źródła wyżywienia. To znaczy podświadomie rozumiał, że źródłem wyżywienia nie tylko jego samego, ale wszystkich, którzy znajdowali się na pokładzie statku, są ów mężczyzna i kobieta. To oni żywili wszystkich i wszystkimi rządzą. Kapitan Winters mógł wprawdzie wydawać rozkazy marynarzom, ale sam przyjął je od Harleya Kennana, Jerry wiedział o tym ponad wszelką wątpliwość i bez wahania dostosowywał do tego swoje postępowanie, aczkolwiek nigdy nie powstała mu w głowie owa myśl jako element świadomej wiedzy.

I tak jak przywykł przez całe życie — jak było z Mister Hagginem, Kapitanem, a nawet Basztim i głównym czarownikiem z Somo — Jerry związał się z najwyższymi bogami i dzięki temu cieszył się szacunkiem pomniejszych. Podobnie jak Kapitan na „Arangi” i Baszti w Somo ustanawiali rozmaite tabu, tak mężczyzna i kobieta na „Arielu” chronili Jerry'ego. Otrzymywał jedzenie tylko i wyłącznie od Sano, stewarda-Japończyka. Od żadnego marynarza z osady szalupy czy motorówki nie wolno mu było przyjąć kawałka suchara bądź zaproszenia na spacer po wybrzeżu, i żaden mu tego nie proponował. Nikomu też nie było wolno spoufalać się tak dalece, by baraszkować z nim lub bawić się na pokładzie czy nawet przywoływać go gwizdnięciem.

Ponieważ z natury był „psem jednego pana”, więc odpowiadało mu to najzupełniej. Istniały tu oczywiście pewne gradacje, ale nikt nie wyczuwał ich subtelniej i wyraźniej od samego Jerry'ego. A więc na przykład obaj oficerowie mogli witać go słowem „Hello!”, albo: „Jak się masz?” czy nawet pogłaskać go krótko, przyjaźnie po głowie. Natomiast z kapitanem Wintersem dopuszczalna była większa poufałość. Kapitan Winters mógł drapać go za uszami, brać za łapę, skrobać po grzbiecie, a nawet szorstko chwytać za pysk. Ale kapitan Winters natychmiast ustępował pola, ilekroć na pokładzie zjawił się tamten jedyny mężczyzna lub ta jedyna kobieta.

Na różne poufałości, rozkoszne, swawolne poufałości z owym mężczyzną i kobietą mógł sobie pozwalać tylko i wyłącznie Jerry, a z drugiej strony sam na nie pozwalał jedynie tym dwojgu. Wszelkie niepocziwości, jakie Villi Kennan podobało się z nim wyprawiać, przyjmował z żarliwą ochotą — na przykład wywracanie mu uszu na drugą stronę wraz z jednoczesnym sadzaniem go na tylnych łapach, tak że przebierał w powietrzu przednimi, usiłując utrzymać równowagę, albo też łobuzerskie dmuchanie w pysk i nozdrza. Równie złośliwa była sztuczka stosowana przez Harleya Kennana, który zdybawszy go drzemiącego na brzeżku sukni Villi, łechttał mu włosy między palcami, skutkiem czego Jerry mimowolnie zaczynał wierzgać przez sen, póki nie zbudził się przy akompaniamencie chichotów i wybuchów śmiechu.

Wieczorem zaś, na pokładzie, kiedy Villa zaczynała przebierać pod kocem palcami stóp, pozorując łażenie jakiegoś dziwnego, pełzającego stworu, Jerry ośmielał się udawać, że wyprowadzono go w pole, i bez mała rozwalał jej łóżko wściekłym atakiem na to coś, co jak dobrze wiedział, było jedynie jej palcami. Wśród huraganów śmiechu, zmieszanych z okrzykami na wespół prawdziwego lęku, gdy Jerry już, już chwycił zębami jej palce, Villa zawsze kończyła zabawę porywając go w objęcia i śmiejąc się do syta wprost w jego uszy stulone z uciechy i miłości. Któż inny ze wszystkich przebywających na „Arielu” odważyłby się na podobne brewerie z łóżkiem polowym bogini? Nigdy nie przyszło Jerry'emu do głowy, by zadać sobie takie pytanie, lecz mimo to był w pełni świadom, jak szczególnymi cieszył się łaskami.

Na inną igraszkę wpadł zupełnym przypadkiem. Wysunąwszy kiedyś miłośnie pysk, uderzył Villę niechcący w twarz swym twardym nosem tak silnie, że aż odskoczyła z okrzykiem. Kiedy innym razem całkiem niewinnie powtórzył to samo, uświadomił sobie skutek i potem, ilekroć zaczynała w zabawie przekomarzać się z nim zbyt obcesowo i swawolnie, trącał ją pyskiem w twarz zmuszając Villę do odrzucenia w tył głowy. Po pewnym czasie, nauczywszy się, że jeśli będzie wciąż to powtarzał, Villa rozładuje sytuację chwytając go w objęcia i szepcząc coś pieszczotliwie do ucha — wziął sobie za zasadę powtarzać tę sztuczkę, dopóki nie osiągnął rozkosznej kapitulacji i radosnego punktu kulminacyjnego.

Nigdy w owej zabawie nie uraził nawet przypadkiem bro dy czy policzka Villę tak dotkliwie, jak swój własny, wrażliwy nos, ale i w tym bólu znajdował więcej uciechy niż przykrości. Wszystko to było zabawą, a na dodatek zabawą pełną miłości. A taki ból był jeszcze czymś więcej niż zabawą. Taki ból był rozkoszą serca.

Wszystkie psy czczą jakiegoś boga. Jerry, szczęśliwszy od innych, pozyskał sobie dwoje bogów, którzy choć wiele rozkazywali, kochali więcej jeszcze. Jakkolwiek jego nos mógł czasem boleśnie trącić w policzek umiłowaną boginię, Jerry prędzej dałby sobie utoczyć krwi z kochającego serca, niż by jej zrobił prawdziwą krzywdę. Żył nie dla- pokarmu, schronienia czy wygodnego miejsca w otaczającym go, mrocznym świecie. Żył miłością. I równie chętnie, jak żył dla tej miłości, byłby też dla niej umarł.

Na Somo jego wspomnienia o Kapitanie i Mister Hagginie bynajmniej nie zbladły szybko. Życie w wiosce ludożerców nie mogło go zadowolić. Za mało tam było miłości. A tylko miłość może zatrzeć wspomnienie innej miłości czy raczej żal za utraconą miłością. Natomiast na pokładzie „Ariela” nastąpiło to prędko. Jerry nie zapominał Kapitana i Mister Haggina. Ale w chwilach, gdy ich wspominał, doznawana przy tym tęsknota była mniej dojmująca i bolesna. Między owymi chwilami następowały coraz dłuższe przerwy, a Kapitan i Mister Haggin już nie tak często przyoblekali realny kształt w jego snach; albowiem Jerry, jak wszystkie psy, śnił często i bardzo ywo.

„Ariel” z wolna płynął na północ wzdłuż brzegów Malaity, przemierzając rozigraną barwami lagunę, która dzieliła rafy przybrzeżne od zewnętrznych, i zapuszczał się w przesmyki tak wąskie i pełne skał koralowych, iż kapitan Winters utrzymywał, że co dzień przybywa mu tysiąc siwych włosów. Rzucano kotwicę przed każdą zatoczką pomiędzy zewnętrznymi rafami, przed każdym porośniętym mangrowcami bagniskiem, które zdawało się zapowiadać bliskość krajowców. Albowiem Harleyowi i Villi Kennan nie śpieszyło się wcale. Byle podróż była ciekawa, nie dbali, jak długo przyjdzie płynąć z jednego punktu do drugiego.

Przez ten czas Jerry nauczył się swego nowego imienia — a raczej całej serii imion. Wynikało to z niechęci, jaką miał Harley Kennan do przemianowywania czegoś, co było już ochrzczone.

— Przecież musiał się jakoś nazywać — dowodził Villi. — Haggin musiał nadać mu jakieś imię, zanim wyprawił go na „Arangi”. Dlatego też powinien pozostać bezimienny, póki nie wrócimy do Tulagi i nie dowiemy się, jak go naprawdę wołano.

— A czyż imię ma jakieś znaczenie? — przekomarzała się z nim Villa.

— Zasadnicze! — odparował mąż. — Wyobraź sobie tylko, że ktoś cię ratuje z katastrofy okrętu i zwraca się do ciebie per „pani Riggs” czy „mademoiselle de Maupin”, czy wreszcie po prostu „Topsy”. Albo pomyśl, że mnie nazywają „Benedyktem Arnoldem”, „Judaszem” czy... czy... „Hamanem”. Nie, nie nadawaj mu żadnego imienia, dopóki nie poznamy właściwego.

— Przecież muszę go jakoś nazywać — zaprotestowała. — Nie mogę o nim myśleć bez nazwy.

— To go nazywaj różnymi imionami, ale nigdy dwa razy tym samym. Dziś mów do niego „piesku”, jutro „panie psie”, a pojutrze jeszcze inaczej.

Jakoż Jerry, raczej wnioskując z tonu, akcentowania i sytuacji niż z czego innego, zaczął niejasno utożsamiać siebie z takimi nazwami, jak: Piesek, Pan Pies, Awanturnik, Siłacz, Głuptasek, Anonimek, Kochające Serduszko. Była to ledwie część imion nadawanych mu szczerze przez Villę. Harley ze swojej strony zwracał się do niego per: Psisko, Nieprzekupny, Rycerz, Brytan, Złocisty, Satrapa z Mórz Południowych, Nemrod, Szatanek i Pogromca Lwów. Krótko mówiąc, mąż i żona prześcigali się wzajem w nadawaniu mu jak największej ilości nazw, które się nigdy nie powtarzały. Jerry nie tyle po dźwięku i sylabach, co po drgającym w głosie uczuciu wprędce nauczył się rozpoznawać siebie pod każdym z owych imion, jakimi go obdarzali. Już teraz nie myślał o sobie jako o Jerry'm, ale jako o każdym 'dźwięku, który brzmiał przyjemnie lub czule.

Największym jego rozczarowaniem (jeżeli można słowem „rozczarowanie” określić nie uświadomioną niezdolność osiągnięcia spodziewanych skutków) była sprawa języka. Nikt na pokładzie, nawet Harley i Villa, nie mówił tak, jak Nalasu. Całe rozległe słownictwo Jerry'ego, cała jego biegłość w posługiwaniu się nim, która mogłaby go wynieść ponad wszystkie inne psy jako istny cud opanowania mowy — marnowała się na „Arielu”. Tutaj nie używano, a nawet nie odgadywano owej stenografii warknięć, której nauczył go Nalasu i którą Trą po jego śmierci znał jeden Jerry ze wszystkich żyjących stworzeń na świecie.

Daremnie wypróbowywał ją na bogini. Przysiadał i złożony łeb na jej rękach gadał i gadał, nie mogąc nigdy uzyskać ni słowa odpowiedzi. Cichymi piskami i cienkim skomleniem, prychnięciami i gardłowym powarkiwaniem usiłował opowiedzieć jej coś niecoś ze swoich dziejów. Ona cała rozpływała się z czułości; przysuwała ucho tak blisko do rozgadanej mordki, że niejako tonął w falach aromatu jej włosów — a mimo to mózg nie przekazywał jej nic z tego, co Jerry mówił, choć serce bez wątpienia wyczuwało intencję.



— Słuchajże, Panie Mężu ! — wołała wtedy. — Ten pies mówi. Jestem tego pewna. On mi o sobie opowiada. Gdybym tylko mogła rozumieć, poznałabym historię jego życia. Mówi mi o sobie prosto w te moje nieszczęsne, upośledzone uszy, a ja nie potrafię nic z tego uchwycić.

Harley zapatrywał się na to sceptycznie, lecz jego żona trafnie wszystko odgadła kobiecą intuicją.

— Ja to wiem! — zapewniała męża. — Mówię ci, że opowiedziałby nam o wszystkich swoich przygodach, gdybyśmy tylko umieli to zrozumieć. Jeszcze żaden pies nie gadał do mnie w taki sposób. To jest jakaś opowieść. Czuję ją wyraźnie. Czasami jestem prawie pewna, że mówi mi o radości, kochaniu, wielkich uniesieniach i walce. A potem wyczuwam jakieś oburzenie, urazę, rozpacz i smutek.

— Naturalnie — przyznał spokojnie Harley. — Pies białego człowieka rzucony między kanibali powinien doświadczać wszystkich takich uczuć; a — rzecz równie naturalna — kobieta białego człowieka, Żoneczka kochana, najmilsza Villa Kennan może sobie imaginować takie przeżycia psa i uznawać jego zabawne poszczekiwanie za opowieść, nie widząc w tym odzwierciedlenia swojego uroczego, wrażliwego, czulego ja. Zupełnie jak ta pieśń morza, którą rzekomo słyszy się w muszli... Phi! To jest pieśń o morzu, którą sami stwarzamy i wkładamy w muszlę.

— A jednak...

— Zawsze ta sama — przerwał jej z galanterią. — Zawsze ma rację, zwłaszcza kiedy najbardziej się myli. Oczywiście nie w sprawach nawigacji ani w takich rzeczach, jak tabliczka mnożenia, gdzie powszednie prawidła rzeczywistości wytyczają drogę okrętu wśród morskich raf i mielizn — ale ma słuszość, gdy głosi prawdę nad prawdami, prawdę wyższą od wszystkich prawd, a mianowicie prawdę intuicyjną.

— Teraz wyśmiewasz się ze mnie z tą swoją dufną, męską mądrością — odparowała. — Ale ja wiem... — Przerwała szukając dość silnych słów, lecz słów jej zabrakło, tak że szybki gest ręki podniesionej do serca musiał zaświadczyć o pewności silniejszej od wszelkiej mowy.

— Zgadzą się... Kłaniam się nisko — przystał rozbawiony. — Przecież to właśnie mówiłem. Nasze serca prawie zawsze potrafią zagadać nasze głowy, a na domiar zawsze mają rację wbrew statystykom mówiącym, że najczęściej się mylą.

Harley Kennan nie wierzył i nie uwierzył nigdy w twierdzenie żony o opowieściach Jerry'ego. I przez wszystkie dni swoje, aż po ostatni dzień życia uważał całą sprawę za miłą wytwór fantazji i sentymentalną poetyczność Villi.

Ale Jerry, chociaż był tylko czworonożnym, gładkowłosym terierem irlandzkim, miał zdolności do języków. Wprawdzie nie mógłby języków wykładać, ale potrafił ich się nauczyć. Szybko i bez wysiłku, nieomal bez lekcji zaczął przyswajać sobie język „Ariela”. Niestety nie była to szczekana, psia mowa, taka, jaką wymyślił Nalasu. Aczkolwiek Jerry rozumiał wiele z tego, co na „Arielu” mówiono, sam mówić nie potrafił. Na określenie bogini znał co najmniej trzy wyrazy: „Villa”, „Żoneczka” i „Pani Kennan”, bo tak ją na przemian nazywano w jego obecności. Ale sam nie mógł jej tak nazywać. Te słowa należały wyłącznie do mowy bogów, którą posługiwali się tylko bogowie. Nie była ona podobna do wymyślonego przez Nalasu języka, który stanowił kompromis między mową bogów a mową psów, tak że i bóg, i pies mogli używać go jako wspólnego środka porozumienia.

Podobnie nauczył się wielu nazw mężczyzny-boga: „Pan Kennan”, „Harley”, „Kapitan Kennan” i „Kapitan”. Tylko w chwilach poufałego przebywania we trójkę słyszał Jerry, jak Kennana nazywano: „Pan Mąż”, „Mój mężczyzna”, „Cierpliwy”, „Najdroższy”, „Kochanek” i „Mój skarb”. Ale Jerry zwracając się do mężczyzny czy do kobiety nie mógł żadną miarą wymówić tych imion. A przecież dawniej, w spokojne noce, kiedy wiatr nie poruszał drzewami, często z odległości kilkudziesięciu

stóp szeptał w swoim języku do Nalasu.

Któregoś dnia kobieta pochyliła się nad nim; owionęły go jej włosy schnące po kąpeli w słonej wodzie, przytrzymała go oburącz za łeb i pysk, tak że całująca wstążka języka nie mogła sięgnąć jej nosa, i zanuciła: „Nie wiem, jakie masz imię, aleś cały jak róża...”

Kiedy indziej powtórzyła to samo i zaśpiewała mu większą część piosenki. I wtedy Jerry ją zadziwił. Równie prawdziwie można by powiedzieć, że zadziwił sam siebie. Nigdy jeszcze nie uczynił świadomie czegoś podobnego. Zrobił to mimo woli. Nie miał wcale takiego zamiaru. Właściwie mówiąc, sam jego postępek jednocześnie zmuszał go do tego. Było to tak natarczywe, że nie mógł się powstrzymać, podobnie jak od otrząśnięcia się po wyjściu z wody czy przebierania przez sen łapami, kiedy go w nie łechtano.

W miarę jak śpiewny głos kobiety wibrował miękko w jego uszach, Jerry doznawał wrażenia, że bogini rozplywa mu się przed oczami i że pod wpływem słodkiej, przejmującej pieśni on sam niejako przenosi się gdzie indziej. Było to tak wyraźne, że uczynił tę rzecz zaskakującą. Usiadł raptownie, jakby zahipnotyzowany, wysunął głowę z rąk kobiety i spomiędzy wikłaniny jej włosów, i uniósłszy nos pod kątem czterdziestu pięciu stopni, począł drżeć i głośno oddychać w rytm pieśni. A potem nagłym, półprzytomnym szarpnięciem zadarł nos prosto w niebo, pysk mu się rozchylił i po- -płynęła z niego fala dźwięków, wznosząca się szybkim *crescendo* i zwolna opadająca, gdy pieśń ucichła.

To było początkiem i doprowadziło do nazywania Jerry'ego „Śpiewającym Głuptaskiem”: Villa Kennan bowiem od razu zauważyła, że jej - śpiew skłania psa do tego zawodzenia, i zaczęła w nim to rozwijać. Jerry nigdy nie zwlekał, kiedy siadała i wyciągnąwszy przyjaźnie ręce zachęcała: „No, chodź, Śpiewający Głuptasku”. Przychodził wtedy, siadał czując w nozdrzach ulubiony aromat jej włosów, przytulał bokiem łeb do jej twarzy i wytknąwszy nos za ucho Villi, niemal natychmiast wtórował jej cichemu śpiewaniu. Szczególnie pobudzały go tony minorowe, a kiedy już raz zaczął, zawodził, póki tylko chciała.

Był to śpiew prawdziwy. Jerry, uzdolniony do wszelkich rodzajów mowy, rychło nauczył się zmiękczać i modulować swoje wycie, nadając mu soczystą, miodową barwę. Potrafił nawet ściszać je nieomal do szeptu, podnosić i zniżać, przyśpieszać i opóźniać w zgodzie i harmonii z jej głosem.

Jerry rozkoszował się własnym śpiewaniem, podobnie jak palacz opium rozkoszuje się swymi snami. Albowiem śnił istotnie, mgliście i niejasno, na jawie i z szeroko otwartymi oczyma, czując dokoła siebie delikatnie wonny obłok włosów bogini, słysząc jej głos zawodzący razem z nim. Jego świadomość roztopiała się wtedy w snach o innym świecie, które przyływały wraz z pieśnią i same były pieśnią. Jawiły się wspomnienia bólu, ale bólu tak dawno zapomnianego, że już przestał być bólem i raczej przejmował go rozkosznym smutkiem, unosił hen z „Ariela” (stojącego na kotwicy w jakiejś koralowej lagunie) ku nierzeczywistej krainie Inności.

W takich razach miewał widzenia. Zdawało mu się, że oto pośród zimnej, posępnej nocy siedzi gdzieś na nagim wzgórzu i wyje do gwiazd, podczas gdy z mroku, z oddali, przyływa ku niemu w odpowiedzi inne wycie. A potem odzywają się następne, dalekie i bliskie, aż wreszcie cała noc wypełnia się głosem jego plemienia. Bo było to jego plemię. Nie wiedząc wiedział o tym, o owym koleżeństwie z krainy Inności.

Nalasu, ucząc Jerry'ego szczekanej mowy, świadomie odwoływał się do jego inteligencji, natomiast Villa, nie domyślając się, co czyni, trafiła do jego serca, do serca jego dziedzictwa, poruszyła najgłębiej utajone struny pradawnych wspomnień i wydobyła z nich odzew.

Czasem na przykład mgliste kształty i mroczne cienie wynurzały się z nocy, a kiedy przemykały upiornie obok niego, słyszał niby we śnie krzyk polującego stada. I wtedy, w rytm przyśpieszonego tętna, budził 'się w nim instynkt łowiecki, a przyciszone, śpiewne wycie rozłamywało się na zajadłe

skowity. Wysuwał łeb spomiędzy włosów kobiety, zaczynał niespokojnie, kurczowo przebierać łapami, jak gdyby biegnąc, i w jednej błyskawicznej chwili przelatywał ponad czasem, z rzeczywistości w urojenie, i gnał wśród owych mrocznych kształtów w łowieckiej wspólnotce stada.

Podobnie jak ludzie zawsze pożąдали pyłu z maków i haszyszu z konopi, tak i Jerry pożył owych rozkoszy, których zaznawał, gdy Villa Kennan otwierała doń ramiona i śpiewem swym niosła go poprzez czas i przestrzeń w marzenia o praprzodkach.

Nie zawsze jednak doświadczał tego, kiedy razem śpiewali. Zazwyczaj doznawał tylko nieokreślonych wrażeń, smutnie słodkich zjaw wspomnień, którym nie towarzyszyły żadne widzenia. Kiedy indziej znów, pobudzone tym smutkiem, cisnęły mu się do mózgu obrazy Kapitana i Mister Haggina, a także Terencjusza, Bidy i Michaela oraz całego dawno minionego życia na plantacji Meringe.

— Moja droga — powiedział kiedyś Harley do Villi po zakończeniu któregoś z owych śpiewaczych popisów. — Całe szczęście dla niego, że nie jesteś specjalistką od tresowania zwierząt, czy może lepiej to nazwać „specjalistką od popisów tresury”, bo wtedy robiłabyś niezwykłą kasę we wszystkich *music-hallach* i kabaretach świata.

— Gdybym nią była — odparła — to na pewno strasznie by lubił ze mną występować...

— Co byłoby bardzo niezwykłe — wtrącił Harley.

— Dlaczego?

— Bo tylko w jednym wypadku na sto zwierzę lubi taką pracę i jest lubiane przez tresera.

— Myślałam, że już dawno skończono tu z wszelkim okrucieństwem — przyznała.

— Tak sądzi publiczność i myli się w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto.

Villa wydała głębokie westchnienie, pełne wyrzeczenia i powiedziała:

— Wobec tego widzę, że będę musiała zrezygnować z tak obiecującej i dochodowej kariery właśnie w chwili, kiedy ją dla mnie odkryłeś. A jednak wspaniale wyglądałyby afisze z moim nazwiskiem wydrukowanym olbrzymimi literami...

— Villa Kennan, Pieśniarka o Słowicznym Gardle i Śpiewający Głuptasek, Irlandzki Terier-Tenor — zaprojektował nagłówek jej mąż.

A Jerry z wywieszonym językiem i roztańczonymi oczami przyłączył się do ich śmiechu, nie dlatego, żeby rozumiał, o co chodzi, ale że odgadywał, iż są szczęśliwi, a miłość kazała mu dzielić ich szczęście.

Albowiem znalazł, i to w najwyższym nasileniu, coś, za czym tęskniła jego natura — miłość do boga. Dostrzegając dualizm władzy tych dwojga nad „Arielem”, kochał jedno i drugiej ale może dlatego, że kobieta przeniknęła najgłębiej do jego serca i swym czarodziejskim głosem przeniosła go do krainy Inności, kochał boginię bardziej niż kogokolwiek na świecie, nie wyłączając nawet Kapitana.

Jednej rzeczy nauczył się Jerry od razu na „Arielu”: a mianowicie, że napastowanie Murzynów nie jest dozwolone. Gorąco pragnąc przypodobać się i przysłużyć swym nowym bogom, skorzystał z pierwszej okazji, by rzucić się na krajowców, którzy przybyli czołnem na statek. Natychmiastowe napomnienie przez Villę i rozkaz Harleya sprawiły, że przystanął zdumiony. W przeświadczeniu, że się pomylił, począł znowu tarmosić czarnego, na którego napadł. Tym razem głos Harleya zabrzmiał stanowczo, a Jerry przybiegł do niego, błagając o przebaczenie merdaniem ogona i skręcaniem całego ciała i ucałował różaną wstążką języka wybaczącą dłoń, którą go Harley pogładził.

Potem zawołała go Villa. Ujawszy Jerry'ego z obu stron za pysk, przyciągnęła go blisko, oczy w oczy, nos w nos, i zaczęła mu poważnie objaśniać, jakim grzechem jest napastowanie Murzynów. Mówiła mu, że przecież nie jest pospolitym dzikim psem, lecz dobrze urodzonym dżentelmenem irlandzkim, i że żaden pies-dżentelmen nie robi takich rzeczy, jak atakowanie nikomu nie wadzących czarnych ludzi. Słuchał tego patrząc na nią poważnymi, skupionymi oczami i wprawdzie rozumiał niewiele, ale pojmował wszystko. „Niegrzeczny” — było w języku „Ariela” słowem, którego już się nauczył, a Villa użyła go teraz parokrotnie. Dla Jerry'ego „niegrzeczny” znaczyło: „nie wolno” i wyrażało jakieś tabu.

Ponieważ taki był ich obyczaj i taka wola, mógł przeto zadać sobie pytanie: „kimże jestem, aby nie słuchać ich nakazów czy też podawać je w wątpliwość?” Jeżeli nie wolno napastować Murzynów, nie będzie ich napastował, pomimo faktu, że niegdyś zachęcał go do tego Kapitan. Jerry nie w takich słowach rozważał tę sprawę, ale na swój sposób doszedł do tego wniosku.

Dla niego miłość do bogów oznaczała służbę. Miło mu było przypodobać im się usługami, a w jego wypadku kamieniem węgielnym służby było posłuszeństwo. Mimo to przez pewien czas bardzo ciężko mu przychodziło powstrzymać się od warczenia i kłapania zębami, kiedy po białym pokładzie „Ariela” stapały tuż koło niego łydki obcych i zuchwałych czarnuchów.

Ale mogło się różnie zdarzyć, o czym miał się przekonać, kiedy Villa Kennan zapragnęła kąpieli, prawdziwej kąpieli w słodkiej, deszczowej, bieżącej wodzie, i kiedy Johnny, czarny pilot z Tulagi, popełnił omyłkę. Na mapie zaznaczona była zaledwie mila rzeki Suli, w miejscu, gdzie wpadała ona do morza. Przyczyną, iż zaznaczono tam tylko milę, był fakt, że żaden biały człowiek nie zbadał dalej tej rzeki. Kiedy Villa zaproponowała kąpiel, mąż jej zasięgnął rady Johnny'ego. A Johnny pokiwał głową.

— Nikt nie być w to miejsce — oświadczył. — Nikt was tam nie zaczepić. Ludzie z busz być daleko za bardzo.

Toteż szalupa popłynęła do lądu i podczas gdy jej osada rozłożyła się w cieniu nadbrzeżnych palm kokosowych, Villa, Harley i Jerry podeszli ćwierć mili w górę rzeki, do pierwszego dogodnego jeziora.

— Nigdy nie można być zanadto ostrożnym — powiedział Harley wyjmując z kabury rewolwer i kładąc go na ubraniu, które przedtem złożył na brzegu. — Zawsze nas może zaskoczyć jakaś zabłąkana banda dzikusów.

Villa weszła po kolana do wody, popatrzyła na wysokie, cieniste sklepienie dżungli, przez które tylko z rzadka przenikały promienie słońca, i wzdrygnęła się.

— Doskonała sceneria dla ciemnych sprawek — uśmiechnęła się, po czym obryzgała chłodną wodą męża, który znurkował ku niej.

Jerry przez pewien czas siedział przy ich ubraniach i obserwował te igraszki. Później przyciągnął

jego uwagę przelotny cień ogromnego motyla, a wkrótce potem już węszył w dżungli na tropie szczura leśnego. Nie był to zbyt świeży trop. Wiedział o tym doskonale, ale gdzieś głęboko czaiły się w nim dawne instynkty — instynkt łowów, grabieży, ścigania żywych stworzeń, krótko mówiąc, chęć zabawy w zdobywanie mięsa, jakkolwiek od wieków zdobywał je dla niego i jego plemienia człowiek.

Tak więc wykorzystując właściwości, które nie były już do niczego potrzebne, ale żyły w nim i głośno domagały się zastosowania, podążył za starym śladem szczura leśnego, pełzając bezgłośnie z całą wytrawnością łowcy mięsa i biegle odczytując trop. Trop ów skrzyżował się z tropem świeżym, bardzo świeżym, najświeższym. Jak gdyby miał linkę uwiązaną do 'głowy, Jerry szarpnął łbem gwałtownie w bok, pod kątem prostym do ciała. W nozdrzach poczuł niewątpliwą woń czarnego człowieka. Co więcej, był to człowiek obcy, gdyż Jerry nie rozpoznał w owej woni żadnej z tych, które miał posegregowane w przegródkach swego mózgu.

Podążając za nowym tropem, zapomniał o zwierzętym szczurze. Pchały go naprzód ciekawość i chęć zabawy. Nie przyszło mu na myśl niepokoić się o Villę i Harleya — nawet wtedy, gdy dotarł do miejsca, gdzie czarny, najwyraźniej zaskoczony ich głosami, przystanął, by się namyślić, i przez to pozostawił nader silną woń. Od tego punktu trop zbaczał w kierunku jeziora. Jerry pobiegł dalej, w nerwowym podnieceniu i napięciu, ale nadal bez niepokoju, wciąż zabawiając się w tropienie.

Od jeziora dolatywały chwilami okrzyki i śmiechy, a za każdym razem Jerry słysząc je czuł mały, radosny dreszczyk. Gdyby go zapytano i gdyby potrafił wyrazić w kategoriach myślowych swoje odczucia, powiedziałby, że najśłodszym dźwiękiem na świecie jest każdy głos wydawany przez Villę Kennan, po nim zaś każdy głos wydany przez Harleya. Zawsze podniecały go owe głosy, przypominały, że kocha tych dwoje i że jest przez nich kochany.

Podejrzenia Jerry'ego obudziły się w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał obcego krajowca w pobliżu jeziora. Nie zachowywał się on tak, jak powinien się zachowywać zwykły Murzyn, nie żywiący żadnych złych zamiarów. Przeciwnie, postępował ze wszech miar jak człowiek, który knuje coś niedobrego. Przypadł do ziemi i zerkał ponad wielkim korzeniem drzewa. Jerry najeżył się i przycupnął obserwując go bacznie.

Raz czarny zaczął już podnosić karabin do ramienia, lecz w tejże chwili, pośród głośniego pluskania i śmiechu, nieświadome niczego ofiary usunęły się snadź z jego pola widzenia. Dziki miał nie jakiegoś staroświeckiego snidera, lecz nowoczesny, repetowany winchester, i najwyraźniej przywykł strzelać z ramienia, a nie z biodra, jak większość Malaitańczyków.

Snadź niezadowolony ze swego stanowiska za drzewem, opuścił karabin do boku i podczołgał się bliżej ku jezioru. Jerry rozpląszczył się na ziemi i popęztał za nim. Skradał się tak płasko, że głowa, wyciągnięta poziomo, znajdowała się znacznie niżej od łopatek, dziwacznie przygarbionych i stanowiących w tej chwili najwyżej wzniesioną część jego ciała. Ilekroć czarny się zatrzymywał, Jerry zastygał w bezruchu. Gdy tamten pełztał dalej, pełztał i on, tyle że szybciej, zmniejszając dzielącą ich odległość. A przez cały czas sierść na jego karku i barkach wciąż się jeżyła nowymi falami drapieżności i gniewu. Nie był to już ów pozłocisty psiak o uszach stulonych, co śmiał się w objęciach bogini, ani też Śpiewający Głuptasek, który pośród gęstwiny jej włosów zawodził pieśń o dawnych wspomnieniach — ale czworonożna, wojownicza istota, zabijaka zbrojny w kły, gotów nimi rozdzierać i niszczyć.

Jerry zamierzał zaatakować, gdy tylko znajdzie się dostatecznie blisko. Nie był pomny owego tabu z „Ariela”, które zakazywało napastowania Murzynów. W tej chwili nie istniało ono w jego świadomości. Wiedział jedynie, że coś złego grozi mężczyźnie i kobiecie i że knuje to ów czarny.

Znalazł się tak blisko swojej ofiary, że kiedy dziki znowu przykucnął gotując się do strzału, Jerry

uzna dzi, że może już skoczyć. Karabin podnosił się do ramienia, gdy Jerry rzucił się naprzód. Choć skoczył błyskawicznie, nie uczynił żadnego hałasu i jego ofiara połapała się dopiero wtedy, gdy Jerry całym ciałem grzmotnął ją niczym pocisk prosto między łopatki. W tym samym momencie kły psa wbiły się dzikiemu w kark, jednakże zbyt blisko jego nasady przy twardych mięśniach barkowych, by mogły przeniknąć do stosu pacierzowego.

W pierwszym odruchu przerażenia palce czarnego zacisnęły się na spuście, a z gardła wydarł mu się nieludzki ryk. Runął na twarz i począł zмагаć się z Jerry'm, który rozorał mu policzek i kość policzkową oraz rozerwał ucho, jako że terier irlandzki ma zwyczaj gryźć szybko raz po raz, a nie zwierać zęby jak buldog.

Kiedy Harley Kennan, nagi jak Adam i z rewolwerem w garści, przybiegł na miejsce, zastał psa i człowieka szepionych z sobą w walce i rwących leśną darń. Czarny, z twarzą zboczoną, dusił oburącz Jerry'ego, a Jerry prychając, dławiąc się i warcząc drapał go co sił pazurami tylnych łap. Nie były to już pazurki szczeniaka, ale tęgie pazury dorosłego psa, wzmocnione przez twarde mięśnie. Haratały od góry do dołu nagą pierś i brzuch, aż cały człowiek zaczął spływać krwią.

Walczący byli zwarci w tak ciasnym uścisku, że Harley Kennan nie miał odwagi ryzykować strzału. Podbiegł więc blisko i kolbą rewolweru trzasnął Murzyna w głowę. Uwolniony z rozwierających się rąk ogłuszonego dzikusa, Jerry błyskawicznie skoczył mu do odsłoniętego gardła i tylko ręka Harleya, która spoczęła na szyi psa, i ostry rozkaz sprawiły, że puścił czarnego. Dygotał z wściekłości i wciąż jeszcze warczał zaciekle, aczkolwiek od czasu do czasu milknął na chwilę, by zerknąć w górę, stulić uszy i pomerdać ogonem, ilekroć Harley mówił: „Dobry pies”

Wiedział, iż „dobry pies” oznacza pochwałę, a z faktu powtarzania tych słów przez Harleya wywnioskował ponad wszelką wątpliwość, że mu się przysłużył i to przysłużył dobrze.

— Wiesz, że ten łajdak chciał nas podejść? — zawołał Harley do Villi, która zjawiała się w pół ubrana, jeszcze naciągając suknię. — Już był o niecałe pięćdziesiąt stóp i nie mógłby spudłować. Tylko spójrz na ten winchester. To nie żadna staroświecka, gładka lufa. Człowiek mający taką broń na pewno umie się nią posługiwać.

— Ale czemu tego nie zrobił? Mąż pokazał jej Jerry'ego.

W oczach Villi zabłysło zrozumienie.

— Jak to, więc on... — zaczęła.

Kiwnął głową. — Właśnie. Śpiewający Głuptasek go nakrył. — Pochylił się, odwrócił na twarz leżącego człowieka i pokazał poszarpany kark. — Tu się z początku do niego dobrał; czarny musiał już mieć palec na cynglu i mierzył w nas, a prawdopodobnie najpierw we mnie, kiedy Głuptasek pokrzyżował mu plany.

Villa słuchała tylko jednym uchem, chwyciła bowiem Jerry'ego w objęcia i powtarzała: „Najdroższy piesek!” uciszając jego warczenie i przyglądając jeszcze zjeżoną sierść.

Ale Jerry zawarczał znowu i zebrał się do skoku, kiedy czarny poruszył się niespokojnie i usiadł otumaniony. Harley wyciągnął mu zza pasa nóż.

— Jak ty nazywać? — zapytał.

Ale Murzyn patrzył tylko na Jerry'ego i wytrzeszczał oczy ze zdumienia, aż wreszcie zdołał odtworzyć sobie sytuację, w miarę jak mu się rozjaśniało w głowie, i wtedy pojął, że pomieszało mu szyki to małe, krzepkie zwierzę.

— Daję słowo — wyszczerzył zęby do Harleya. — Ten pies mnóstwo na mnie napaść.

Pomacał rany na karku i twarzy i jednocześnie uświadomił sobie, że biały zabrał mu karabin.

— Ty dać mój strzelba — powiedział bezczelnie.

— Ja tobie dać w łeb — brzmiała odpowiedź Harleya.

— Mnie się nie zdaje, żeby to był prawdziwy Malaitańczyk — zwrócił się Harley do Villi. — Po pierwsze skądby wziął taki karabin? A poza tym pomyśl tylko, co to za czelność. Musiał przecież widzieć, jak rzucaliśmy kotwicę, a pewnie także wiedział, że szalupa stoi przy brzegu. Mimo to chciał nam uciąć głowy i drapnąć z nimi w busz...

— Jak ty nazywać? — powtórzył pytanie.

Dowiedział się jednak dopiero wtedy, gdy z plaży przybiegł zdyszany Johnny z osadą szalupy. Johnny'emu zabłyśły oczy, kiedy ujrzał jeńca. Zwrócił się do Kennana z Wyraźnym podnieceniem.

— Pan mi dać ten człowiek — poprosił. — Pan mi dać ten człowiek, dobrze?

— Dlaczego ty go chcesz?

Johnny przez dłuższy czas wzdragał się z odpowiedzią, a udzielił jej dopiero wówczas, gdy Kennan oświadczył, że nie stało się nic złego i że ma zamiar puścić dzikiego wolno. Słyszając to Johnny zaprotestował gwałtownie.

— Jak pan zawieźć ten człowiek do dom rządowy w Tulagi, dom rządowy dać dwadzieścia funtów. On zły człowiek mnóstwo za bardzo. On nazywać Makawao. Zły człowiek za bardzo. On człowiek z Queensland...

— Jak to z Queenslandu? — przerwał Kennan. — On tam mieszkać?

Johnny kiwnął głową.

— On najpierw mieszkać na Malaita. Bardzo za bardzo dawno, on popłynąć na szkuner pracować w Queensland.

— To jest taki, który wrócił z Queenslandu — przetłumaczył Harley Villi. — Bo wiesz, kiedy Australia zrobiła się „biała”, plantacje w Queenslandzie musiały odesłać wszystkich czarnych. Ten Makawao jest widocznie jednym z nich, a musiał porządnie nabroić, jeżeli to prawda, co gada Johnny, że wyznaczono za niego dwadzieścia funtów nagrody. To duża suma jak na Murzyna.

Johnny dalej ciągnął swoje wyjaśnienia, z których po przetłumaczeniu na zwykłą, normalną angielszczyznę wynikało, że Makawao był znanym złoczyńcą. W Queenslandzie przesiedział w sumie cztery lata w więzieniu za złodziejstwa, rabunki i usiłowanie morderstwa. Odesłany przez rząd australijski na Wyspy Salomona, zaciągnął się do pracy na plantacji Buli w celu — jak się później okazało — zdobycia broni i amunicji. Za próbę zamordowania nadzorcy plantacji otrzymał w Tulagi pięćdziesiąt plag i rok więzienia. Wróciwszy na plantację zabił jej właściciela pod nieobecność nadzorcy i uciekł szalupą.

Do szalupy zabrał wszystką broń i amunicję z plantacji, głowę właściciela, a oprócz tego dziesięciu krajowców z Malaity i dwóch z San Cristobal — tych ostatnich dlatego, że pochodzili z nadmorskiego plemienia i umieli obchodzić się z łodzią. On sam i dziesięciu Malaitańczyków, jako mieszkańcy buszu, byli zbyt nieobeznani z morzem, by ważyć się na długą przeprawę z Guadalcanaru.

Po drodze napadli na małą wysepkę Ugi, splądrowali tamtejszy magazyn i ucięli głowę samotnemu kupcowi, który był poczciwym mieszkańcem z wyspy Norfolk i wywodził się bezpośrednio od zamieszkałych na Pitcairn potomków słynnego McCoya z okrętu „Bounty”. Przybywszy zdrowo i cało na Malaitę, Makawao i jego towarzysze, nie potrzebując już dłużej obu Murzynów z San Cristobal, ucięli im głowy, a ciała zjedli.

— Daję słowo, on zły człowiek za bardzo — dokończył Johnny swej opowieści. — Rządowy dom w Tulagi mnóstwo zadowolony dać za niego dwadzieścia funtów.

— Mój kochany Śpiewający Głuptasku — szepnęła Villa do ucha Jerry'emu. — Gdyby nie ty...

— Makawao wracając do domu obnosiłby teraz w tryumfie po buszu twoją i moją głowę — dokończył za nią Harley. — Daję słowo, ten pies dobry za bardzo — dodał wesoło. — Parę dni temu nawymyślałem mu za napastowanie Murzynów, a on przez cały czas lepiej ode mnie wiedział, co

robi.

— Jeżeli ktokolwiek zgłosi się po niego... — zaczęła groźnie Villa.

Harley przytaknął kiwnięciem głowy.

— W każdym razie — powiedział z uśmiechem — byłaby jedna pociecha, gdyby twoją główkę poniesiono w busz...

— Pociecha?! — wykrzyknęła zachłystując się z oburzenia.

— No tak; bo wtedy i moja poszłaby za nią.

— Mój kochany, drogi Pan Mąż — szepnęła, a oczy jej zaćmiły się łzami. Objęła go czułym spojrzeniem tuląc zarazem Jerry'ego, który w uniesieniu radości ucałował jej wonny policzek rozkochaną wstąką języka.



Gdy „Ariel” odpłynął od Malu położonego na północno-zachodnim wybrzeżu Malaity, wyspa ta skryła się za krawędzią morza i na zawsze znikła z życia Jerry’ego jako jeszcze jeden przemijający świat, który w jego myślach zapadł się w tę ostateczną nicość, co pochłonęła Kapitana. Albowiem, choć Jerry nie zastanawiał się nad tym, Malaita była dla niego wszechświatem, który na kształt uciętej głowy spoczywał na kolanach jakiegoś zamyślonego, pomniejszego boga. Bóg ów był jednak znacznie potężniejszy niż Baszti, kiedy trzymał w zadumie na kolanach ususzoną na słońcu i w dymie głowę Kapitana i niespokojny, pełen wątpliwości usiłował wyczuć i rozwikłać otaczające go zewsząd podwójne, bliźniacze tajemnice czasu i przestrzeni, ruchu i materii.

Tylko że Jerry nie zastanawiał się nad tym problemem ani nie był świadom istnienia podobnych tajemnic. Po prostu przyjmował fakt, że Malaita jest jeszcze jednym światem, który przestał istnieć. Przypominał go sobie tak, jak pamiętał sny.

Będąc istotą żywą, materialną, posiadającą ciężar i wymiary, bezspornie rzeczywistą, poruszał się w przestrzeni, konkretny, zwawy, bystry i widomy, jako absolut czegoś otoczony cieniami i mrokami płynnej fantasmagorii niczego.

Przyjmował swoje światy jeden po drugim. I jeden po drugim rozwiewały się, unosiły i ginęły mu z oczu na kształt oparów w gorącym alembiku słońca, zapadały na wieki pod powierzchnię morza, tak nierzeczywiste i przemijające, jak senne przywidzenia. Maleńki, prosty świat ludzi, choć tak mikroskopijny i nieważki w całym gwiazdnym wszechświecie, był dla niego równie nieogarniony, jak ów gwiazdny wszechświat jest nieogarniony dla najśmielszych myśli i najbardziej otchłannej fantazji człowieczej.

Jerry nie miał już nigdy ujrzeć tej dzikiej, okrutnej wyspy, choć często jawiła mu się we snach jaskrawymi obrazami. Wówczas od nowa przeżywał spędzone na niej chwile, poczynając od zniszczenia „Arangi” i ludożerczej orgii na brzegu aż po ucieczkę od roztrzaskanej granatem chaty i zmasakrowanego ciała Nalasu. Owe przeżycia senne tworzyły dla niego nową krainę Inności, tajemniczą, nierzeczywistą i ulotną niby obłoki, co sunęły po niebie, czy owe mieniące się tęczowo banieczki, które pękały na powierzchni morza. Były delikatną pianą, które nikła szybko, kiedy się budził, i nie istniała podobnie jak Kapitan, jak głowa Kapitana złożona na wychudłych kolanach Basztego w strzelistej chacie trzcinowej. Malaita rzeczywista, Malaita konkretna i namacalna zniknęła na zawsze, tak jak zniknęło Meringe, jak zniknął Kapitan pogrążając się w nicość.

Z Malaity „Ariel” pożegłował na północo-zachód ku Ongtong Java i Tasmanowi — wielkim atolom, które prażyły się pod równikiem na wielkim pustkowiu południowo-zachodniego Pacyfiku. Z Tasmanu popłynął poprzez szeroką połąć oceanu ku wyniosłej wyspie Bougainville. A dalej, wzięwszy kurs na południowy wschód, żegłował zwolna ku nawietrznej, rzucając kotwicę nieomal w każdej przystani Wysp Salomona, od Choiseul i Ronongo do wysp Kulam bangra, Vangunu, Pavuvu i Nowej Georgii. Stanął nawet na kotwicy, przeraźliwie samotny, w Zatoce Tysiąca Okrętów.

Po raz ostatni na Archipelagu Salomona kotwica „Ariela” zazgrzytała i wgryzła się w koralowy piasek dna przystani w Tulagi, gdzie na wyspie Florida mieszkał i rządził komisarz rezydent.

Harley Kennan przekazał mu Makawao, którego osadzono w trzciniowym domku więziennym, pod dobrą strażą i z kajdanami na nogach, aby tam czekał na sąd a swoje rozliczne zbrodnie. Pilot Johnny, przed powrotem na służbę komisarza, otrzymał sporą część dwudziestu funtów nagrody, resztę zaś Kennan rozdzielił pomiędzy osadę szalupy, która przybiegła przez dżunglę na pomoc owego dnia, gdy Jerry rzucił się na kark Makawao, a ten, zaskoczony, pociągnął za cyngiel nie wycelowanej broni.

— Ja panu powiem, jak ten pies ma na imię — oświadczył komisarz, kiedy zasiedli na obszernej werandzie jego bungalowu. — To jest jeden z terierów Haggina, tego z laguny Meringe. Jego ojcem jest Terencjusz, a matką Bidy. On sam nazywa się Jerry, a wiem o tym, bo ochrzczono go przy mnie, nim jeszcze otworzył oczy. Mało tego; mogę panu pokazać jego brata. Ma na imię Michael i pilnuje Murzynów na „Eugenie”, tym dwumasztowym szkunerze, który stoi na kotwicy obok pańskiego statku. Dowódcą jest kapitan Kellar. Poproszę, żeby przywiózł Michaela na ląd. Bez wątpienia Jerry jest jedyną istotą, jaka ocalała z „Arangi”.

Jak będę miał trochę czasu i wolnych funduszków, złożę wizytę wodzowi Baszti — ale już nie na brytyjskim krążowniku. Wynajmę kilka handlowych keczów, zabiorę moją murzyńską policję i tylu białych, ilu nie zdołam powstrzymać od zgłoszenia się na ochotnika. Nie będzie wtedy żadnego bombardowania trzcinowych chat. Wysadzę moją ekspedycję gdzieś dalej na wybrzeżu, ruszymy w głąb lądu i zajdziemy Somo od tyłu, a jednocześnie nasze statki podpłyną od strony morza.

— I odpowie pan rzezią na rzeź? — zapytała Villa Kenzan.

— Odpowiem na rzeź prawem — odrzekł komisarz. — Nauczą Somo prawa. Mam nadzieję, że nie będzie ofiar. Ufam, że nikt nie straci życia po jednej i drugiej stronie. Ale wiem, że odbiorę im głowę kapitana Van Horna i jego oficera, Borckmana, i że przywiozę obie do Tulagi, by je pochować po chrześcijańsku. Wiem, że złapię starego Basztiego za kark, przyduszę go do ziemi i wpompuję w niego zasady prawa i uczciwości. No, oczywiście — wzruszył ramionami komisarz, wychowanek Oxfordu, starszy pan o ascetycznej powierzchowności, wąski w ramionach, spoglądający zmęczonymi oczami zza okularów upodabniających go do uczonego, którym był w istocie. — No, oczywiście, jeżeli nie da się przemówić im do rozsądku, może dojść do awantury i wtedy po obu stronach wynikną straty. Ale tak czy owak, skutek będzie ten sam. Stary Baszti nauczy się, że jest wskazane zostawiać białym głowy na karkach.

— Ale czy aby się nauczy? — spytała Villa Kennan. — Jeżeli okaże się na tyle sprytny, by z wami nie walczyć, a tylko siądzie i zacznie słuchać pańskich angielskich praw, wszystko to będzie dla niego po prostu wybornym kawałem. Zapłaci jedynie tę cenę, że wysłucha wykładu na temat potworności, które popełnił.

— Wprost przeciwnie, łaskawa pani. Jeżeli spokojnie wysłucha tego wykładu, nałożę na niego tylko grzywnę w wysokości stu tysięcy kokosów, pięciu ton orzechów indyjskich, stu sążni pieniędzy muszelkowych i dwudziestu tłustych świń. Jeżeli natomiast odmówi słuchania i wkroczy na ścieżkę wojenną, będę musiał — z wielką przykrością, zapewniam panią — najpierw spuścić cięgi jemu i jego wiosce, a potem potroić grzywnę i nauczyć go prawa odrobinę dosadniej.

— A jeżeli nie będzie walczył, zatka sobie uszy i odmówi zapłacenia grzywny? — upierała się Villa Kennan.

— Wtedy będzie moim gościem tutaj, w Tulagi, dopóki nie zmieni zdania, nie zapłaci i nie wysłucha całego kursu wykładów.

Tak więc zdarzyło się, że Jerry usłyszał swe dawne imię z ust Villi i Harleya i znowu ujrzał swojego brata, Michaela.

— Nic nie mów — szepnął Harley żonie, gdy w zbliżającej się do brzegu szalupie dojrzeli rudopłową sierść Michaela, który wyglądał nad dziobem. — Nie wiemy o niczym i nawet nie damy po sobie poznać, że ich obserwujemy.

Jerry, który udając ogromne zainteresowanie, wygrzebywał dziurę w piasku, jak gdyby właśnie zwiertzył tam świeżą woń, nie zauważył Michaela. Prawdę mówiąc, udawał tak dobrze, iż zapomniał, że to tylko zabawa, i naprawdę przejęty węszył i prychał radośnie na dnie wykopanej dziury. Była już tak głęboka, że sterczały z niej tylko jego tylne łapy, zadek oraz inteligentny, sztywno

wyprężony ogonek.

Nic więc dziwnego, że nie spostrzegli się nawzajem z Michael'em, który wyrwawszy się z ciasnego pokładu „Eugenie”, począł z niezmierną energią uganiać się po plaży, ogarnięty szalem radości. Biegając wietrzył setki swojskich zapachów lądowych, w podskokach zakreślał koła, kłapiąc dobrotliwie zębami dopadał krabów, które umykały mu z drogi do wody albo też (przysiadają grożąc potężnymi kleszczami i pluły pianą przez szczeliny między skorupami pyszczków).

Plaża *me* była tutaj zbyt długa. Sięgała tylko do miejsca, gdzie wznosiła się poszarpana skała przyładka. Podczas gdy komisarz przedstawiał państwu Kennan kapitana Kellara, Michael zawrócił i pognął z powrotem po wilgotnym, stwardniałym piasku. Wszystko tu interesowało go tak ogromnie, że nie zauważył owej niewielkiej części zadka Jerry'ego, widocznej nad równą powierzchnią plaży. Jerry'ego natomiast ostrzegły własne uszy i oto w chwili gdy pośpiesznie wyłaził tyłem z dziury, zderzył się z Michael'em. Jerry przekotłował się po piasku, Michael wywrócił się na niego i w tej chwili obaj warknęli zajadle. Potem zerwali się, zjeżyli i pokazawszy zęby zaczęli dumnie a godnie okrążyć się wzajem na sztywnych łapach, zakreślając groźne półkola.

Ale przez cały ten czas udawali tylko i zaczęli czuć niemałe zakłopotanie, bo w mózgach obydwu jawiły się wy różne obrazy domu na plantacji, osady i plaży Meringe. Wiedzieli już, lecz jeszcze nie chcieli pokazać, że się nawzajem poznali. Nie byli teraz szczeniakami, odczuwali niejaką dumę ze swej statecznej dojrzałości i usiłowali zachowywać się poważnie i godnie, choć wszystko ich pchało do tego, by razem pogonić w radosnym uniesieniu.

Pierwszy Michał, mniej bywały w świecie niż Jerry i z natury nie tak opanowany, odrzucił precz ową udaną godność i z przenikliwym piskiem wzruszenia zwinął się cały z radości, wywiesił czule język i szorstko otarł się bokiem o brata, chcąc być jak najbliżej niego.

Jerry równie skwapliwie odpowiedział pocałunkiem języka i szturchnięciem ramienia; potem odskoczyli od siebie i przyjrżeli się sobie nawzajem czujnie, badawczo, nieledwie wyzywająco. Uszy Jerry'ego nastawiły się niby dwa żywe znaki zapytania, zdrowe ucho Michaela sterczało też pytająco, a czubek okaleczonego zwisał jak zawsze do dołu. Jednocześnie pognali obaj dziko po plaży, bok w bok, śmiejąc się do siebie i od czasu do czasu trącając się łopatkami w biegu.

— Nie ma żadnych wątpliwości — zawyrokował komisarz. — Identycznie biegali ich ojciec i matka. Często im się przyglądałem.

Ale po dziesięciu dniach wspólnych uciech przyszło rozstanie. Michael składał właśnie pierwszą wizytę na „Arielu” i obaj z Jerry'm spędzili przezabawne pół godziny na jego białym pokładzie wśród gwaru i krzątania, wciągania szalup, żagli i kotwicy. Kiedy „Ariel” zaczął sunąć po wodzie i pochylił się pod rzeźwym pasatem, który wypełnił jego żagle, komisarz i kapitan Kellar uścisnęli po raz ostatni dłonie Kennanom i spuścili się po trapie do oczekujących szalup. W ostatniej chwili kapitan Kellar chwycił Michaela, wsadził go sobie pod pachę i zeskoczył na rufę łodzi.

Odrzucono cumy, a na rufach obu szalup stanęli samotni biali mężczyźni, uprzejmie obnażywszy głowy w palących promieniach tropikalnego słońca, i po raz ostatni pomachali dłońmi na pożegnanie. Michael, zarażony ogólnym podnieceniem, czekał i czekał, jak gdyby właśnie obchodzono święto bogów.

— Powiedz „do widzenia” swojemu braciszkowi, Jerry — szepnęła Villa Kennan do ucha Jerry'emu ściskając oburącz jego pulsujące boki i przytrzymując psa na relingu, na którym go posadziła.

Jerry, który nie rozumiał jej mowy, targany sprzecznymi pragnieniami, odpowiedział skruceniem całego ciała, szybkim podrzuceniem głowy i czerwonym błysnięciem całującego języka. W następnej chwili, wywiesiwszy łeb za reling, ażeby dojrzeć Michaela, który szybko malał w oddali, zawył

żałośnie i boleśnie, tak jak niegdyś jego matka, Biddy, wyła na plaży w Meringe, kiedy odpływał z Kapitanem.

Albowiem Jerry znał już rozstania, a to właśnie było ponad wszelką wątpliwość rozstanie. Nie śniło mu się tylko, że po latach znów spotka Michaela hen, w świecie, w bajecznej dolinie dalekiej Kalifornii, gdzie będą spędzać dni w objęciach kochających, umiłowanych bogów.

Michael, oparty przednimi łapami o burtę łodzi, szczeptał coś do niego pytająco i jakby ze zdziwieniem, a Jerry w odpowiedzi zaskomlał na znak, że rozumie. Bogini łagodnie ścisnęła go za boki, *on* zaś obrócił się i dotknął chłodnym nosem jej policzka. Jedną ręką przygarnęła go mocno do piersi, opierając na relingu drugą dłoń, na wpół rozchyłoną niby różanobiały kwiat, wonny i ponętny. Jerry popróbował wcisnąć w nią nos. To rozchylenie wprost zapraszało do wnętrza. Wtulał się w nią powoli, trąc ją i podbijając nosem, rozwarł lekko palce i wtedy wsunął mordę w rozkoszną cudność tej dłoni.

Znieruchomiał teraz, miękko ukrywszy w niej swój złoty pyszczek aż po oczy, i siedział spokojnie, niepomny, że „Ariel”, przechylony pod ciśnieniem wiatru, ukazuje słońcu miedziane blachy swego kadłuba i że Michael wciąż maleje w oddali, w miarę jak szalupa niknie za rufą. Villa stała rów nie spokojnie. Oboje pochłonięci byli tą zabawą, choć dla niej była ona czymś nowym.

Jerry trwał w bezruchu, póki mógł. Ale potem cała miłość wymknęła się spod jego władzy i dmuchnął nosem tak potężnie, jak niegdyś w tunelu dłoni Kapitana. I podobnie jak Kapitan odprężał się wówczas w czułym śmiechu, tak uczyniła teraz bogini. Roześmiała się radośnie. Jej palce zacisnęły się na pysku Jerry'ego niemal bolesną pieszczotą. Drugą ręką przygarnęła go do siebie tak mocno, że aż zabrakło mu tchu. Ale przez cały czas jego krótki ogonek merdał bez przerwy i kiedy wreszcie Jerry wyzwolił się z tego rozkosznego uścisku, położył po sobie jedwabiste uszy i liznąwszy szkarłatnym językiem policzek bogini, chwycił jej dłoń zębami i wycisnął na miękkiej skórze miłosny, bezbolesny ślad.

I tak zniknęło dla Jerry'ego Tulagi wraz z bungalowem komisarza na wzgórzu, statkami stojącymi na kotwicy w- przystani i jego bratem Michaelem. Jerry przywykł już do takiego znikania. Tak samo rozwiały się niczym senne miraże Meninge, Somo i „Arangi”. Tak samo znikwały wszystkie światy, przystanie, redy i laguny atolów, w których „Ariel” podnosił kotwicę, by płynąć dalej i dalej po horyzontach oceanu.

Przygotowano na podstawie bookini.pl